



**Stephanie Laurens**



*Sztuka  
uwodzenia*

## *Rozdział pierwszy*

Wezgłowie olbrzymiego łoża z baldachimem pozostało spowite cieniem, Maks zdawał sobie jednak sprawę, że z jakiegoś tajemniczego powodu jego nienagannie ułożony osobisty służący usiłuje go zbudzić. Podniósłszy głowę, otworzył jedno oko i zmarszczył czoło.

Widząc oznakę rychłego wybuchu gniewu pana, Masterton postanowił szybko wyłożyć sprawę. Do zakłócenia snu milorda o zupełnie nieludzkiej godzinie dziewiątej skłoniło go głosowanie wśród starszej służby Delmere House. Masterton dobrze wiedział, że podejmuje się wyjątkowo niebezpiecznego zadania. Maksowi Rotherbridge'owi, wicehrabiemu Delmere, służył dziewięć lat. Było wysoce nieprawdopodobne, że niedawne wyniesienie milorda do godności księcia Twyford przyniosło odmianę jego charakteru.

- Hillshaw chciał, abym powiadomił księcia, że czeka na niego młoda dama.
- Nie - rzucił Maks i zamknął oczy.

Położył się dopiero o świcie. Wieczór zaczął się dla niego jak najgorzej, z obowiązku musiał bowiem wziąć udział w balu wydanym przez ciotkę, lady Maxwell. Takie fety nudziły go śmiertelnie, więc rzadko na nich bywał. Co więcej, westchnienia uroczych panien, które słyszał, gdy wchodził na salę, mogły wyprowadzić z równowagi nawet człowieka o żelaznych nerwach. Uwodzenie debiutantek nie było już w jego stylu, skończył trzydzieści cztery lata.

Opuścił salę balową przy pierwszej nadarzającej się okazji i przeniósł się do stojącej na uboczu willi, w której mieszkała jego ostatnia kochanka. Niestety, piękna Carmelita była w kapryśnym nastroju. Skończyło się więc piekielną kłótnią i Maks nie pozostawił przyjaciółce cienia wątpliwości co do tego, że między nimi wszystko skończone.

Stamtąd poszedł do White'a, potem do Boodle'a. W tym gwarantującym dyskrecję klubie znalazł grupę znajomych i wspólnie udało im się przetrwać noc. Niczego nie wygrał, ale i nie przegrał, za to wypił sporo alkoholu.

Uniósł się na łokciach i powiedział:

- Jeśli przyszła do mnie kobieta, nie może być damą. Damy tutaj nie zachodzą.

Maks uznał, że sprawa jest zakończona, jego służący trwał jednak przy łożu niczym słupek soli. Zapadło milczenie.

- Widziałeś ją, Masterton?
- Przez chwilę, kiedy Hillshaw wprowadzał ją do biblioteki.

Uznawszy milczenie pana za znak pogodzenia się z losem, Masterton podszedł do szafy.

- Hillshaw wspomniał, jakoby ta młoda dama, panna Twinning, żywiła przekonanie, że jest z waszą księżącą wysokością umówiona.

- Panna Twinning? - Kompletnie nic mu to nie mówiło.

- Tak. - Masterton znów stanął przy łożu, trzymając przewieszane przez ramię różne części ubioru. Wyróżniał się wśród nich ciemnoniebieski surdut, niewątpliwie przedstawiony do akceptacji. - Ten strój powinien, jak sędzę, być odpowiedni?

\* \* \*

Caroline Twinning czekała piętro niżej, w bibliotece. Jeśli żywiła jakiegokolwiek wątpliwości co do stosowności obecnej sytuacji, to dobrze je skrywała. Ostatnie półtora roku spędziła z siostrami, co stanowiło upajające wolnością doświadczenie po wcześniejszej rutynie egzystencji klasztornej. Był jednak najwyższy czas, aby pomyśleć o przyszłości. Wcześniej siostronom odmówiono prawa wstępu do towarzystwa, a księżę Twyford był władny to zmienić. Słyszając w korytarzu zbliżające się kroki, Caroline uniosła głowę i przybrała pewny siebie wyraz twarzy.

Zanim Maks zszedł na parter, zdążył wykluczyć wszelkie nasuwające się hipotezy tłumaczące istnienie tajemniczej panny Twinning. Ubrał się szybko, nie zamierzał bowiem tracić czasu na ekstrawaganckie ozdoby. Szerokie ramiona i umięśnione uda doskonale mieściły się w kanonie ostatnio obowiązującej mody. Znakomicie skrojony surdut wyglądał niemal jak przyrośnięty do ciała, a na spodniach z kozłej skóry na próżno by szukać najmniejszego zagniecenia. Obrazu dopełniały nierzucająca się w oczy kamizelka, perfekcyjnie zawiązany fular i lśniące buty z cholewami. Kruczoczarne, schludnie przystrzyżone włosy otaczały śniadą twarz. Księżę Twyford nie obnosił się ze złotą galanterią; z ozdób nosił jedynie sygnet na lewej dłoni. Mimo to każdy, kto na niego spojrzał, wiedział od pierwszej chwili, że ma przed sobą modnego i bogatego członka elity.

Wszedł do biblioteki i omiótł pomieszczenie dość surowym spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu. Młoda dama, która siedziała w jego ulubionym fotelu przy kominku, odłożyła poranną gazetę na stolik i wstała. Maks nie umiałby znaleźć skazy na urodzie nieoczekiwanego gościa. Wszystko wydawało mu się urzekające, od niesfornych miedzianych pukli, otaczających twarz, po czubki

pantofelków, widocznych spod nieprzyzwoicie modnej sukni. Posturę panna miała godną Junony - była wysoka, bardzo kobieca, z obfitymi wdziękami i szerokimi biodrami. Brzoskwiniowy jedwab stosownie podkreślał wszystkie jej atuty. W twarzy zainteresowały go najpierw pełne wargi i dołeczek rysujący się przy kąciku ust, potem docenił również prosty nos, kształtne brwi i długie rzęsy. Dopiero na koniec spojrzął w szarozielone oczy.

- Kim pani właściwie jest? - spytał.

Uśmiech, do tej pory ledwie błędzący po jej wargach, rozkwitł w pełni, odsłaniając przed księciem rząd równych białych ząbków.

- Czekałam na księcia Twyford - odpowiedziała zjawą.

Głos miała niski i dźwięczny. Chcąc jak najszybciej przebrnąć przez powitalny rytuał, Maks odpowiedział machinalnie:

- Jestem księciem Twyford.

- Pan?

Caroline nie zdołała ukryć zaskoczenia. Nie posiadała się ze zdumienia, że tak może wyglądać przyjaciel jej ojca. Nawet jeśli nie brać pod uwagę wieku, stojący przed nią mężczyzna wydawał się wzorcowym przykładem dandysa. Trudno było jej powiedzieć, czy do takiego odczytania przez nią charakteru mężczyzny przyczyniło się pierwsze wrażenie; aroganckie spojrzenie, jakim zmierzył ją od stóp do głów, nie pozostawiało wątpliwości, czego należy się z jego strony spodziewać. Poczula się, jakby ktoś wyciągnął jej dywan spod stóp.

- Tak mnie Bóg pokarał - potwierdził Maks, który nie omieszkał zauważyć zdumienia młodej damy.

Coraz bardziej zakłopotany, wskazał gościowi krzesło przy wielkim mahoniowym biurku, a sam zajął miejsce po drugiej stronie. Zatrzymał wzrok na siedzącej naprzeciwko piękności. Teraz, gdy miał czas jej się przyjrzeć, uznał, że wcale nie jest taka młoda, jak mu się początkowo zdawało.

- Kim pani jest? - spytał, siłąc się na surowość.

- Nazywam się Caroline Twinning, a jeśli pan istotnie jest księciem Twyford, to ja niewątpliwie jestem pańską podopieczną - odparła.

Po tym oznajmieniu zapadło długie milczenie. Maks siedział nieruchomo, mierząc młodą damę przenikliwym spojrzeniem. Znosiła to dzielnie, w końcu jednak uniosła brwi, jakby chciała sprowokować go do reakcji. I rzeczywiście.

- Proszę mi wytłumaczyć sytuację - zażądał Maks. - Tylko bez komplikacji.

Caroline mimo woli się uśmiechnęła.

- Jeśli boli pana głowa, można spróbować zimnego okładu. Mnie to nie

będzie przeszkadzało.

Maksowi istotnie pękała głowa, ale jak można było mieć tyle zuchwałości, by to zauważyć, a w dodatku o tym wspomnieć! Najgorsze zaś, że ta panna miała rację, zimny okład na pewno dobrze by mu zrobił. Z ponurą miną sięgnął po dzwonek.

Hillshaw pojawił się natychmiast i bez dyskusji przyjął polecenie.

- Czy od razu, wasza księżęca mość? - spytał tylko.

- Naturalnie, że od razu! - Maks wzdrygnął się, słysząc brzmienie swojego głosu.

- Jak wasza księżęca wysokość sobie życzy.

Gdy służący odszedł, Maks przycisnął dłonie do skroni i zmierzył Caroline surowym spojrzeniem.

- Może pani mówić - oznajmił.

- Moim ojcem był sir Thomas Twinning - zaczęła, znów poczuwszy się swobodnie. - Przez wiele lat przyjaźnił się z księciem Twyford... poprzednim, jak sądzę.

- Moim wujem - potwierdził Maks, kiwając głową. - Po nim odziedziczyłem tytuł. Wuj Henry zginął niespodziewanie trzy miesiące temu razem z dwoma synami. Ten spadek całkowicie mnie zaskoczył, nie mam pojęcia, jakie umowy mogły łączyć pani ojca z niedawno zmarłym księciem.

Caroline skinęła głową i poczekała, aż Hillshaw, który właśnie przyniósł okład na srebrnej tacy, się wycofa.

- Rozumiem. Po śmierci mojego ojca półtora roku temu poinformowano nas, że wyznaczył on na naszego prawnego opiekuna księcia Twyford.

- Półtora roku? Co pani robiła tak długo?

- Przez pewien czas przebywałyśmy w majątku, który przeszedł na własność dalekiego kuzyna. On nawet był gotów zgodzić się, abyśmy tam zamieszkały, ale tkwienie bez końca na tym odludziu wydawało się bezcelowe. Księżę Twyford chciał, abyśmy niezwłocznie przeprowadziły się pod jego dach, lecz byłyśmy w żałobie. Namówiłam go, żeby pozwolił nam jechać do rodziny naszej zmarłej macochy w Nowym Jorku. Oni wiele razy nas zapraszali, a okazja wydawała się znakomita. Będąc w Nowym Jorku, obiecałam księciu listownie, że zawiadomimy go o naszym powrocie do Anglii i podamy przybliżoną datę. Księżę odpowiedział i zaproponował dzisiejszy termin. I oto jestem.

Maks prowadził w Londynie żywot hedonisty i szybko pojął, jak dużych środków potrzeba na utrzymanie takiego stylu funkcjonowania. Pilnował więc, by

wszystkie jego majątki przynosiły przyzwoity dochód. Delmere, odziedziczone po ojcu, stanowiło wzorzec nowoczesnego gospodarowania. Wuj Henry nigdy nie był zainteresowany swoimi dobrami.

Maks doszedł do wniosku, że radykalna zmiana sposobu zarządzania w posiadłościach wuja jest niezbędna, jeśli nie chce, aby wysały one wszystkie soki z Delmere. Przez ostatnie trzy miesiące nieustannie dochodziło do konfliktów z dzierżawcami poprzedniego księcia Twyford, którzy z niechęcią traktowali całkowicie odmienne wymagania nowego pana. Dopiero w tym tygodniu, po trzech miesiącach katorżniczej pracy, Maks dostrzegł perspektywę poprawy i nawet pozwolił swojemu sekretarzowi Joshui Cummingsowi na krótki wypoczynek. Tymczasem wyglądało na to, że zaczynają się kolejne kłopoty związane ze spadkiem.

- Wspomniała pani o siostrach. Ile ich jest?

- To są moje siostry przyrodnie. Trzy.

Swobodny ton tej odpowiedzi natychmiast obudził podejrzliwość Maksa.

- W jakim wieku?

Caroline wyraźnie się zawahała.

- Dwadzieścia lat, dziewiętnaście i osiemnaście.

- Chyba ich pani tutaj nie przyprowadziła?! - zawołał Maks.

- Nie. Zostawiłam je w hotelu.

- Dzięki Bogu. - Pochwyciwszy pytające spojrzenie Caroline, uśmiechnął się i wyjaśnił: - Gdyby ktokolwiek zobaczył, jak tu wchodzi, wkrótce rozniosłoby się po Londynie, że zakładam harem.

Maks zdecydowanie nie życzył sobie uchodzić za opiekuna czterech panien na wydaniu.

- Niech pani zacznie od początku. Kto był pani matką? Kiedy matka zmarła?

Caroline przyjechała nieprzygotowana na wypytywanie, wyobrażała sobie bowiem, że książę jest zaznajomiony z faktami. W tych okolicznościach nie mogła jednak odmówić odpowiedzi.

- Matka pochodziła z Farninghamów ze Staffordshire i miała na imię Caroline.

Maks skinął głową. Była to znana rodzina z tradycjami i koneksjami.

Caroline przebiegła wzrokiem po książkach na półce za plecami księcia i kontynuowała:

- Umarła wkrótce po moim urodzeniu. Nie znałam jej. Po kilku latach mój ojciec ożenił się ponownie, tym razem z córką miejscowej rodziny, która

wyjeżdżała do kolonii. Eleanor była dla mnie bardzo dobra i bardzo o nas dbała, ale sześć lat temu i ona umarła. Naturalnie ojciec przeżył srogię rozczarowanie, że nie doczekał się syna, a na naszą czwórkę rzadko kiedy zwracał uwagę, więc wszystko spoczywało na głowie Eleanor.

Im więcej Maks słyszał o sir Thomasie Twinningu, tym głębszego nabierał przekonania, że człowiek ten miał nie po kolei w głowie. Z pewnością nie spisał się jako rodzic. Maks ciekaw był jednak, czy trzy siostry przyrodnie są równie urodziwe jak Caroline, tyle że nie wiedział, jak sformułować pytanie, by uzyskać satysfakcjonującą odpowiedź.

- Jak to się stało, że żadna z was jeszcze nie debiutowała? Jeśli ojciec wykazał dostateczną troskę, by zapewnić wam opiekuna, to czy nie łatwiej byłoby mu znaleźć dla was stosownych mężów?

- Nigdy nie miałyśmy debiutu, ponieważ mój ojciec był jak najgorszego zdania o takim... o takim rozrzutnym spędzaniu czasu. Szczerze mówiąc, podejrzewam, że w ogóle był krytycznie nastawiony do kobiet.

Maks zrobił zdziwioną minę.

- Co do małżeństwa - ciągnęła Caroline - ojciec zorganizował to w typowy sposób. Miałam poślubić naszego sąsiada, Edgara Mulhalla. - Mimo woli skrzywiła się z niesmakiem.

- Czyżby nie był to dobry kandydat? - spytał rozbawiony jej miną Maks.

- Gdyby pan go znał, toby nie pytał. On jest... - Zmarszczyła nos, jakby mogło to pomóc w znalezieniu odpowiedniego słowa. - Zasadniczy - powiedziała w końcu.

- Czyli niewątpliwie wykluczony. - Maks się roześmiał. Caroline zignorowała jego prowokujący ton.

- Papa miał podobne plany co do moich sióstr, tylko nie zauważył, że dojrzały do zamążpójścia, a ja wolałam mu o tym nie przypominać. Tak więc i one nie mają mężów.

Maks odnotował w myślach, żeby uważać na skłonności panny Twinning do manipulacji.

- Przejdźmy do przyszłości. Jaka umowa łączyła panie z moim wujem?

- W gruncie rzeczy to był jego pomysł, ale mnie wydawał się bardzo rozsądny. Pański wuj chciał nas przedstawić w towarzystwie. Podejrzewam, że planował znalezienie dla nas stosownych mężów, aby w ten sposób uwolnić się od funkcji opiekuna. Zakładam, że takie obowiązki wygasają z chwilą zawarcia małżeństw przez podopieczne.

- To bardzo prawdopodobne - przyznał Maks. Pulsujący ból w głowie stopniowo ustępował. Całe szczęście, bo powinien dobrze się zastanowić nad następnym posunięciem. - Muszę się poradzić adwokatów, żeby rozstrzygnąć tę kwestię. Która kancelaria prowadzi pani sprawy?

- Whitney i White na Chancery Lane.

- To wszystko upraszcza. Ta sama kancelaria jest zaangażowana w sprawy Twyford i innych moich posiadłości. - Maks odłożył okład na bok i znów spojrzał na Caroline. - Gdzie pani się zatrzymała?

- W hotelu Grillon. Przyjechałyśmy wczoraj.

- A z czego panie żyły przez ostatnie półtora roku?

- Miałyśmy pieniądze po matkach. Z nich korzystałyśmy, a spadek po ojcu pozostał nietknięty.

- Rozumiem. Kto jednak sprawował nad paniami opiekę? Nie mogły pani samotnie przejechać połowy świata.

Pierwszy raz podczas tej dziwacznej rozmowy Maks dostrzegł u panny Twinning lekki rumieniec.

- Towarzyszyła nam służąca i woźnica, który pełnił również funkcję posłańca.

Tą wymijającą odpowiedzią nie zwiodła Maksa.

- Proszę mi pozwolić na uwagę, panno Twinning, mam zresztą do niej prawo jako pani potencjalny opiekun. Bez względu na to, jak traktowano taką sytuację w Ameryce, w Londynie jest ona nie do przyjęcia. - Urwał, uświadomiwszy sobie, że chyba pierwszy raz w życiu robi wykład o tym, co jest stosowne. - Dobrze, że zamieszkały panie w hotelu Grillon. Spotkam się niezwłocznie z Whitneyem, a o drugiej po południu złożę pani wizytę i dam znać, co ustaliliśmy. - Mówiąc to, Maks uzmysłowił sobie, że mogą wywołać niepotrzebne zainteresowanie postronnych osób, i dodał: - Lepiej będzie, jeśli zaproszę panią na przejażdżkę po Hyde Parku.

Pociągnął za sznur dzwonka i natychmiast zjawił się Hillshaw.

- Każ podstawić powóz. Panna Twinning wraca do hotelu Grillon.

- Naturalnie, wasza wysokość.

- Och, to niepotrzebny kłopot - zaprotestowała Caroline.

- Nie pozwolę na to, żeby moje podopieczne poruszały się po Londynie dorożkami. Zajmij się tym, Hillshaw.

- Dobrze, wasza książęca wysokość.



\* \* \*

Gdy tylko służący zatrzasnął drzwi i powóz ruszył, Caroline wbiła wzrok w okno. Niewiele jednak widziała, wciąż rozmyślała bowiem o zakończonym spotkaniu.

Była zaskoczona, gdy z Twyford House skierowano ją do Delmere House, jednak spodziewała się, że zobaczy dobrodusznego dżentelmena, jako że wcześniej książę bez zastrzeżeń przystał na jej korespondencyjnie zgłoszone propozycje. Wyobrażała sobie starzejącego się mężczyznę w peruce, podobnego do wielu przyjaciół jej ojca.

Tymczasem przyszło jej rozmawiać z młodym, bardzo przystojnym mężczyzną, niepokojąco bystrym i spostrzegawczym. Nedorzecznnością byłoby sądzić, że nowy książę nie wie, jak poradzić sobie z czterema młodymi kobietami. Przeciwnie, podejrzewała, że jako człowiek bez wątpienia doświadczony, okaże się całkowicie odporny na pochlebstwa i inne kobiece sztuczki. Nie była pewna, czy podoba jej się taki obrót spraw. Kiedy jednak przypomniała sobie minę księcia, mimo woli się uśmiechnęła. On też nie wydawał się uszczęśliwiony obowiązkami, które na niego spadły.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zawrzeć z księciem porozumienia, które byłoby niewątpliwie sprzeczne z wolą wyrażoną w testamencie ojca. Szybko jednak odrzuciła ten pomysł. Wprawdzie do tej pory nie debiutowała, ale w wydarzeniach towarzyskich uczestniczyła od dawna. I ona, i jej przyrodnie siostry miały w pewnym sensie pozycję dziedziczek. Ojciec był wyjątkowo skrajny w poglądach na temat wiedzy, jaka potrzebna jest kobiecie, i nie chciał rozmawiać o ich przyszłości, z drugiej jednak strony na niczym im nie zbywało. Spodziewała się więc, że odziedziczą dostateczne fundusze, by żyć zasobnie. Gdyby jednak miało tak się stać, to wolałyby nie narażać swoich sióstr na egzystencję w wielkim świecie bez opiekuna.

Pamiętała niepokojący błysk w oczach księcia, jednak uznała, że dopóki mają status jego podopiecznych, dopóty nic im z jego strony nie grozi. Inna sprawa, że nie była do końca pewna, czy naprawdę chciałyby czuć się w jego obecności bezpieczna. Rozważała tę kwestię dość długo, nagle jednak uświadomiła sobie, w jakim kierunku biegną jej myśli, i aż się wzdrygnęła. Wielkie nieba! Ledwie spotkała tego człowieka i już marzyła o nim jak naiwna pensjonarka. Ech! Rozsiadłszy się wygodniej w kącie luksusowego powozu, zaczęła się zastanawiać, co powie siostrze, spodziewała się bowiem szczegółowego przesłuchania.

\* \* \*

Wkrótce po odjeździe panny Twinning Maks wydał kilka poleceń, między innymi wezwał do Delmere House na jedenastą pana Huberta Whitneya, syna Josiaha, seniora w kancelarii adwokackiej Whitney i White na Chancery Lane. Hubert Whitney odwiedzał wszystkich zamożniejszych klientów, odkąd jego ojca choroba przykuła do łóżka. Gdy Hillshaw wprowadził go do biblioteki, odetchnął z ulgą, bynajmniej nie pierwszy raz, że to akurat Maks Rotherbridge odziedziczył Twyford. Darzył bowiem Maksa wielkim szacunkiem i żałował, że nie wszyscy potrafiały być równie prostolinijni i zdecydowani.

Stanąwszy twarzą w twarz ze swym ulubionym klientem, usłyszał natychmiast, że księciu Twyford wcale nie jest do śmiechu, odkąd dowiedział się, że został prawnym opiekunem czterech panien na wydaniu. Whitney na chwilę stracił kontenans; na szczęście miał przy sobie różne dokumenty związane z Twyford, a wśród nich papiery Twinningów.

Uspokoiwszy się, że książę nie zamierza go złać z powodu oczywistego zaniedbania, wiedział wszak dobrze, co przed nim przemilczał, zajął się streszczaniem ostatniej woli sir Thomasa Twinninga. Następnie przeszedł do testamentu niedawno zmarłego księcia.

Maks stał przy kominku i przyglądał się prawnikowi bez szczególnego zainteresowania. Lubił Whitneya, który nigdy nie zapominał języka w gębie i dobrze znał swój fach.

W końcu Whitney zdjął złote pincenez i zerknął na swego rozmówcę.

- Sir Thomas Twinning zmarł przed pańskim wujem, a warunki testamentu księcia są jasne: dziedziczy pan wszystkie jego zobowiązania.

- Czyli jestem skazany na rolę opiekuna?

- Nie posunąłbym się aż do takiego twierdzenia. - Whitney wyduł wargi. - Sądzę, że można zakwestionować to zobowiązanie, jest bowiem oczywiste, że sir Thomas nie zamierzał nim obarczyć pana osobiście. Temu bez wątpienia nikt nie zaprzeczy. Jeśli uda się unieważnić paragraf dotyczący pieczy nad tymi młodymi damami, to zostaną one całkiem bez opiekuna - zauważył Whitney i zapytał: - Czy dobrze zrozumiałem, że przebywa pan obecnie w Londynie i zamierza tu spędzić sezon?

Nie trzeba było wielkiej inteligencji, by zorientować się, do czego zmierza Whitney. Zirytowany apelem do jego uspiętego zwykle sumienia, Maks podszedł do okna.

- Człowieku, daj spokój! Nie uważasz chyba, że nadaję się na protektora dla

czterech uroczych turkaweczek?

Hubert Whitney był zdania, że książę świetnie by się do tego nadawał, gdyby tylko zechciał, nie wypowiedział jednak tej opinii.

- Pozostaje pytanie, kto zająłby pana miejsce.

Maks nie żywił wątpliwości, co stałoby się z czterema dobrze urodzonymi pannami, pozostawionymi na łasce bywalców salonów i łowców posagu.

- Do diabła, niech będzie, jak pan chce! Co powinienem wiedzieć?

Whitney uśmiechnął się dobrodusznie i zaczął relacjonować dzieje Twinningów, w dużej części powtarzając to, co wcześniej opowiedziała Caroline.

- To wszystko znam! - przerwał mu Maks. - Proszę mi wyjawić, ile każda z nich jest warta.

Pan Whitney wymienił liczbę, a Maksowi na chwilę odebrało mowę. Z wrażenia ponownie usiadł za biurkiem.

- Każda tyle? Whitney przytaknął.

- Sir Thomas był bardzo obrotnym człowiekiem interesu.

- Na to wygląda. Zatem każda z tych panien jest samodzielną dziedziczką.

Tym razem skinienie Whitneya było bardzo zdecydowane.

- Naturalnie - podjął prawnik, przeglądając dokumenty - pan ponosi odpowiedzialność jedynie za trzy młodsze panny.

- Jak to?

- Zgodnie z warunkami testamentu ich ojca panny Twinning trafiają pod opiekę księcia Twyford do ukończenia dwudziestego piątego roku życia lub do dnia zawarcia małżeństwa. Według moich danych najstarsza z panien Twinning skończy wkrótce dwadzieścia sześć lat. Jeśli więc sobie tego życzy, może rozpocząć samodzielne życie.

Maksowi ulżyło. Zaraz jednak uświadomił sobie coś ważnego. Caroline Twinning zauważyła, że zrobiła na nim wrażenie, przecież wcale nie ukrywał swojego zainteresowania. Jeśli teraz panna dowie się, że może być niezależna, będzie go trzymała na dystans. Lepiej więc byłoby pozostawić ją w przeświadczeniu, że on pozostaje jej prawnym opiekunem. Może wtedy uda mu się zjeść ciastko i dalej je mieć?

- Panna Twinning nie zna warunków testamentu - zwrócił się do prawnika. - Sądzi, że jest moją podopieczną, podobnie jak jej siostry. Czy pańskim zdaniem istnieje potrzeba, by poinformować ją o zmianie jej statusu?

Whitney próbował zrozumieć, do czego książę zmierza, zwłaszcza że zaledwie przed chwilą chciał całkowicie zrzec się narzuconej mu funkcji.

Zazwyczaj Maks Rotherbridge nie zdradzał takich wahań.

- Wszystko jedno, czy ma dwadzieścia cztery lata, czy dwadzieścia sześć - orzekł Maks, świadom wątpliwości adwokata. - Potrzebuje ochrony w nie mniejszym stopniu niż jej siostry. Gdyby stało się powszechnie wiadome, że nie jest moją podopieczną, byłoby jej niezwykle trudno pokazać się w moim towarzystwie. Ponieważ jej siostry zamieszkają w jednej z moich nieruchomości, sytuacja mogłaby stać się dość delikatna, nie sądzi pan?

- Owszem, wasza książęca wysokość. - Hubert Whitney miał jak najgorsze zdanie o zdolności młodych dam do zarządzania własnymi sprawami. - Tymczasem nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego konieczna byłaby zgoda panny Twinning. Nie widzę nic złego w tym, że pozostanie nieświadoma swego statusu aż do dnia zamążpójścia.

Wzmianka o małżeństwie panny Twinning ostudziła Maksa jak kubek zimnej wody, uznał jednak, że zastanowi się nad tą kwestią później. Miał jeszcze dużo do zrobienia w ciągu dnia.

- Jak zamierza pan się wywiązać z obowiązków opiekuna, jeśli wolno mi spytać? - zainteresował się prawnik.

Maks już zdążył się zastanowić nad tym dość drażliwym problemem. Przedstawienie panien w towarzystwie jako jego podopiecznych mogło zostać odebrane bardzo dwuznacznie.

- Niezwłocznie uczynię z Twyford House dom otwarty. Panny mogą tam zamieszkać. Poproszę moją ciotkę, lady Benborough, aby wystąpiła jako ich protektorka. Jestem pewien, że podejdzie do tego zadania z entuzjazmem. Będzie miała co robić w ciągu sezonu.

Hubert Whitney znał lady Benborough i podzielał opinię księcia.

Książę wstał, dając znak, że rozmowa dobiegła końca.

- Takie rozwiązanie wydaje się jak najbardziej stosowne - powiedział na pożegnanie Whitney i wykonał ukłon. - Jeśli nasza kancelaria może jeszcze w czymś pomóc waszej książęcej wysokości, będziemy zaszczytzeni.

Maks odpowiedział na tę oficjalną formułkę skinieniem głowy. Jako wprawny intrygant dostrzegł poważną niedoskonałość w swojej koncepcji, musiał więc szybko wnieść poprawkę.

- Gdyby miał pan sprawy do panny Twinning, proponuję, aby przekazywał je pan za moim pośrednictwem. Ponieważ formalnie zajmuje się pan obydwojma majątkami, nie będzie w tym niczego niestosownego. Trzeba zachować pozory dla dobra panny Twinning.

Whitney skłonił się ponownie.

- Nie przewiduję żadnych kłopotów, wasza wysokość.

## *Rozdział drugi*

Po wyjściu Whitneya Maks wydał szybko kilka bardzo jasno sformułowanych poleceń majordomusowi Wilsonowi, po czym służba wyruszyła w najróżniejsze zakątki Londynu, część do Twyford House, część do wybranych agencji pośrednictwa zajmujących się rekrutacją personelu do domów arystokracji. Jeden z lokajów został wysłany pod adres na Half Moon Street, z liścikiem, w którym książe prosił o niezwłoczną rozmowę swoją ciotkę ze strony ojca, lady Benborough.

Maks pojawił się w jej domu wczesnym popołudniem. Ciotkę zastał ubraną w niezwykle twarzową suknię z fioletowego jedwabiu. Na głowie sterczała jej niezaprzeczalnie modna peruka, wieńcząca twarz o władczych rysach. Maks skłonił się elegancko, mierząc kątem oka tę dziwną ozdobę.

- Hm... Muszę ją chyba odesłać, skoro robię na tobie takie wrażenie - powiedziała Augusta Benborough.

Maks uśmiechnął się i cmoknął ciotkę w podstawiony policzek.

- Przyznaję, że nie jest to jeden z twoich najlepszych pomysłów, ciociu.

- To ostatni krzyk mody, choć rzeczywiście nie jest w moim stylu.

Czekając, aż bratanek usiądzie w fotelu, Augusta zmierzyła krytycznym spojrzeniem jego elegancką sylwetkę. Doskonale wiedziała, że Maks nie dba o wygląd, dlatego całkowitą zagadką pozostawało dla niej, w jaki sposób osiąga tak perfekcyjny efekt. Słyszała, że osobisty służący Maksa to geniusz, lecz ona sama była raczej skłonna przypisać wyjątkową prezencję bratanka jego wyrazistej twarzy i harmonijnej budowie ciała.

- Mam nadzieję, że zaspokoisz moją ciekawość bez długiego kluczenia wokół tematu.

- Droga ciociu, czy kiedykolwiek zdarzyło mi się unikać konkretów?

Popatrzyła na niego bystro.

- Chcesz, abym wyświadczyła ci przysługę, prawda? Nie wiem, o co chodzi, ale lepiej proś szybko. Miriam ma wrócić przed pierwszą, a domyślam się, że wolałbyś nie opowiadać się w jej obecności. - Miriam Alford była zasuszoną starą panną, kuzynką lady Benborough, która mieszkając u niej, pełniła obowiązki damy do towarzystwa. - Posłałam ją do Hatcharda, kiedy dostałam twój liścik - wyjaśniła.

Ciotkę Benborough, najmłodszą siostrę ojca, Maks lubił najbardziej ze wszystkich licznych krewnych. Reszta rodziny, nie wyłączając własnej matki, prawiła mu kazania i odwoływała się do jego poczucia przyzwoitości, od którego konsekwentnie się odcinał.

Kiedy pierwszy raz przyjechał do Londynu, niemile zaskoczona rodzina szybko zdała sobie sprawę z tego, że pojawiło się nowe wcielenie drugiego wicehrabiego Delmere. Gdyby nawet połowa opowieści o dziadku Maksa była prawdziwa, wystarczyłoby to jako świadectwo jego całkowitego braku zasad i upadku moralności. Lady Benborough, która właśnie niedawno owdowiała, zaprosiła Maksa na herbatę, a przy tej okazji bez ogródek wytłumaczyła mu, co sądzi o jego zachowaniu.

Następnie szczegółowo omówiła wszystkie jego winy. Jednak aż do samego końca, gdy stwierdziła, że nie się spodziewa, by jej tyrada przyniosła jakikolwiek skutek, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby się tego spodziewać, Maks znosił reprimendę ze spokojem, którym wprowadziłby w osłupienie swoich przyjaciół. Ciotka zaś wreszcie odprawiła go słowami: „A skoro wykazałeś przynajmniej tyle uprzejmości, by wysłuchać, co mam ci do powiedzenia, to możesz już iść i z moim błogosławieństwem dalej zmierzać drogą prosto do piekła”.

Obecnie ciotka była wdową już od wielu lat, wciąż jednak należało się z nią liczyć. Udzielała się towarzysko, bywała na przyjęciach i galach. Maks wiedział, że jest bardzo bystra, a przede wszystkim ma cudowne poczucie humoru. Właśnie kogoś takiego teraz potrzebował.

- Przyszedłem powiedzieć ci, że według wszelkich znaków na niebie i ziemi wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza odziedziczyłem po wuju Henrym również cztery podopieczne.

- Ty?! - Lady Benborough zdumiała się znacznie bardziej niż panna Twinning, dowiedziawszy się, że ma przed sobą księcia Twyford.

- Ja. Cztery młode damy, przy czym ta z nich, którą zdążyłem poznać, jest tak uroczym stworzeniem, że trudno będzie znaleźć w tym sezonie piękniejszą debiutantkę.

- Wielki Boże! Któż był do tego stopnia tknięty obłędem, że zostawił pod twoją opieką cztery młode panny? - zdziwiła się lady Benborough, a po chwili, w pełni ogarnawszy powstałą sytuację, zaniosła się śmiechem.

Maks westchnął, zdając sobie sprawę, że z takimi reakcjami w najbliższych tygodniach będzie często się spotykał. Następnie tonem człowieka skazanego na długie cierpienie przypomniał niepodważalny fakt:

- Zostawiono je nie pod moją opieką, lecz mojego szacownego, nieżyjącego już wuja. Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, żeby miały one z niego jakikolwiek pożytek.

- Mnie też nie - przyznała lady Benborough. - Henry nie myślał przesadnie szybko. Co to za panny?

- Panny Twinning z Hertfordshire. - Maks krótko wprowadził ciotkę w historię rodziny i zakończył informacją, że wszystkie cztery panny są dziedziczkami niemałych fortun.

- I mówisz, że są również piękne?

- Najstarsza, którą widziałem, Caroline, bez wątpienia tak.

- Czego oczekujesz ode mnie?

- O co najdroższą ciocię proszę? - spytał z czarującym uśmiechem Maks. - O to, żeby wzięła na siebie obowiązki przyzwoitki i wprowadziła te panny do towarzystwa. Od jutra Twyford House będzie domem otwartym. One się tam sprowadzą, a ja jakoś zniosę ten cały zamęt.

Augusta Benborough nie odpowiedziała od razu. Cztery panny naraz? Inna sprawa, że mogła liczyć na wsparcie Maksa. Wiedziała, że wbrew pozie człowieka zainteresowanego wyłącznie własnymi przyjemnościami, Maks, gdy tylko mu zależy, potrafi pomóc ludziom mającym mniejsze wpływy w wielkim świecie. Wiele lat po fakcie dowiedziała się, że to Maks wyciągnął jej najmłodszego syna z tak paskudnych tarapatów, że jeszcze teraz drżała na samą myśl o tym, co wówczas się stało. Niewątpliwie miała więc do spłacenia dług wdzięczności.

Istniał jednak pewien problem. Jej wdowie dożywocie nie było zbyt okazałe, a choć nigdy nie prosiła Maksa o pomoc, to pełnienie roli przyzwoitki jego podopiecznych przekraczało skromne możliwości lady Benborough.

- Moja garderoba... - zaczęła z wahaniem.

- Rzecz jasna, wszystkie koszty ponoszone w związku z pełnieniem nowych obowiązków przenosisz, ciociu, na mnie - oznajmił Maks, przyglądając się przez monokl porcelanowej figurce kota, ustawionej na gzymsie kominka. Zdawał sobie sprawę z tego, że ciotka dysponuje niedużymi środkami, ale z rozsądku powstrzymywał się do tej pory przed zaofiarowaniem pomocy, był bowiem pewien, że taka propozycja oburzyłaby nie tylko leciwą damę, lecz również jej wyjątkowo nadętego starszego syna.

- Czy mogę wziąć z sobą Miriam do Twyford House?

Maks przytaknął, jednocześnie wzruszając ramionami.

- Poza wszystkim Miriam może ci pomóc w doglądaniu tej trzódki.

- Gdzie znajdę te panny?

- Zatrzymały się w hotelu Grillon. Dziś po południu zaprosiłem pannę Twinning na przejażdżkę, aby powiadomić ją o moich postanowieniach. Ich przeprowadzkę do Twyford House zorganizuję jutro po południu. Przyślę Wilsona, żeby pomógł cioci i pani Alford przenieść się na Mount Street. Chyba byłoby najlepiej, gdybyście mogły to zrobić jutro rano. Musicie przecież poznać służbę i się zadomowić. - W tym momencie przyszło mu do głowy, że dobrze byłoby mieć w Twyford House zaufanego człowieka. - Mogę pożyczyć wam Wilsona na jakieś dwa tygodnie, dopóki nie ułożycie sobie życia w nowym miejscu. Proponuję, żebyśmy oboje spotkali się z pannami Twinning po ich przyjeździe, powiedzmy o trzeciej.

Lady Benborough poczuła podziw dla bratanka, który w ciągu jednej doby rozwiązał takie problemy, jak otwarcie domu i znalezienie do niego służby. W nagłym przypływie podniecenia wywołanym perspektywą wejścia w sezon z nowymi obowiązkami, oznajmiła zdecydowanie:

- Zgoda. Podejmuję się tego zadania.

- To dobrze. - Maks wstał. - Przyślę Wilsona dziś po południu.

- Zdaje się, że nie widziałeś reszty tego stadka?

Gdy Maks wyobraził sobie, jak wyglądałaby jego popołudniowa wizyta u panny Twinning w hotelu, przejęła go zgroza. Już słyszał, o czym potem plotkowałby cały Londyn.

- Mam nadzieję, że nie natknę się na nie, wchodząc do hotelu Grillon!

Augusta Benborough wybuchnęła śmiechem.

\* \* \*

Stawiwszy się w foyer hotelu Grillon o drugiej, Maks z ulgą stwierdził, że panna Twinning jest sama. Siedziała na szeszlunku naprzeciwko drzwi wejściowych, a obok leżał jej kapelusik. Caroline musiała wznieść się na szczyty sztuki perswazji, by osiągnąć taki skutek. Mimo to nie udało jej się powstrzymać sióstr przed trzymaniem straży w oknach zajmowanych przez nie pokoje sypialnych.

Zgodnie z jej przewidywaniami musiała szczegółowo opisać księcia. Przyglądając się człowiekowi, który zmierzał ku niej przez foyer, doszła do wniosku, że chyba zrobiła to trafnie. Najtrudniej było dać wyobrażenie o nieuchwytniej aurze tego mężczyzny, natychmiast wywołującej całą gamę uczuć, jakich młode damy nie powinny jeszcze rozumieć, a tym bardziej doświadczać.

Po chwili siedziała w modnej kariolce ciągniętej przez parę pięknych, choć



narowistych gniadoszy. Oparła się pokusie zerknięcia ku oknom pierwszego piętra, w których niewątpliwie dostrzegłaby trzy głowy. Maks chwycił wodze, a chłopak, który do tej pory trzymał konie, stanął z tyłu pojazdu. Zmierzali najwyraźniej do Hyde Parku.

Caroline nie odzywała się, póki nie znaleźli się w spokojnym parkowym otoczeniu, aczkolwiek odniosła wrażenie, że książę był w stanie prowadzić konwersację, nawet gdy musiał wyszukiwać dla koni drogę w chaosie londyńskiego ruchu ulicznego.

- Ufam, że dobrze mieszka się paniom w hotelu Grillon?

- Tak. Mamy tam zapewnioną wszelką niezbędną pomoc - odrzekła Caroline.

- Czy udało się panu wyjaśnić wszystkie kwestie związane z opieką prawną nad nami?

Maks mimo woli uśmiechnął się, ujęty tą bezpośredniością. Skinął głową i na moment skupił uwagę na koniu, któremu wyraźnie nie podobała się tańcząca na chodniku małpa, towarzysząca harmoniście.

- Pan Whitney zapewnił mnie, że jako książę Twyford muszę sprawować funkcję waszego opiekuna. - Zadbał o to, by zabarwić to stwierdzenie odpowiednią dozą niechęci, i aby nie dopuścić do pytań, natychmiast przeszedł do ataku: - Skoro zaś spadł na mnie ten obowiązek, to chciałbym wiedzieć, jak znalazła się pani w posiadaniu modnych strojów z Paryża.

Jego wprawne oko natychmiast wykryło, że elegancka peliska panny Twinning ma francuski rodowód.

Mimo zaskoczenia Caroline szybko zorientowała się, skąd przyszło mu do głowy to pytanie.

- Zapewniam pana, że nie uciekłyśmy do Brukseli, zamiast jechać do Nowego Jorku - powiedziała rozbawiona.

- Och, to mnie akurat nie martwi - odparł Maks, zadowolony z bezpośredniego tonu rozmowy. - Gdyby była pani w Brukseli, z pewnością bym o tym usłyszał.

Caroline uznała, że lepiej wrócić na bezpieczniejszy grunt.

- Co do strojów, rzeczywiście są paryskie, tyle że nie zostały kupione na kontynencie. Na statku płynącym do Nowego Jorku znalazły się dwie francuskie modniarki, które postanowiły nas ubrać, żeby na naszym przykładzie pokazać w Ameryce, na czym polega ich fach.

- Jak znajduje pani amerykańskie społeczeństwo?

Caroline zdawała sobie sprawę z tego, że musi uważać na słowa, bo książę

na pewno nie przegapi żadnego jej potknięcia, mimo iż jest zajęty powożeniem.

- Szczerze powiem, że miałyśmy wiele zajmujących przeżyć, naturalnie również dzięki krewnym, którzy bardzo ucieszyli się z naszej wizyty i dbali o to, abyśmy się nie nudziły. - Nie zamierzała wyjawiać, że był to w ich życiu szalony okres.

- Czy charakter tego społeczeństwa odpowiadał upodobaniom pań?

Zastanowiło ją, czy i w Nowym Jorku księżę nie ma znajomych, którzy coś mu o nich opowiedzieli, ale odrzuciła tę myśl jako niedorzeczną. Przecież do dzisiejszego ranka nawet nie wiedział o ich istnieniu.

- Na pewno różni się od naszego. Widzi się dużo więcej mieszczan i oficerów przeniesionych do rezerwy, no i naturalnie nie ma tam niczego w rodzaju naszego towarzystwa.

Nieświadomie udało jej się w pewnym stopniu uciszyć niepokoje Maksa. Wprawdzie daleki był od przypuszczeń, że jego podopieczne żyły za granicą na wysokiej stopie, zastanawiał się jednak, czy mają jakiegokolwiek doświadczenie towarzyskie. Z odpowiedzi panny Twinning wywnioskował, że przynajmniej potrafią odróżnić tych członków społeczeństwa, którzy mniej niż inni zasługują na szacunek.

Skręcili w aleję przeznaczoną dla powozów, toteż wkrótce kariolka przesuwała się na tle drzew, o tej porze roku pokrytych jedynie zawiązkami liści. Lekki wiatr igrał tasiemkami kapelusika Caroline i mierzwił końskie grzywy.

- Obawiam się, że nie dostrzeże pani wielu znakomitości - powiedział Maks, widząc, że jego pasażerka z uwagą się rozgląda. - O tej porze są tu głównie piastunki z dziećmi. Tłok robi się później, między trzecią a piątą. Wprawdzie sezon jeszcze się nie zaczął, ale większość towarzystwa zjechała do Londynu. W parku wypada się pokazać. Matrony przyjeżdżają tu wymieniać ostatnie plotki, a młode damy przechadzają się ze swymi kawalerami.

- Rozumiem.

- A wracając do planów mojego wuja... Skoro zamierzał wydać panie za mąż, to pozwolę sobie spytać, jak wyglądają jej siostry?

Tego pytania Caroline obawiała się najbardziej. Musiała bardzo starannie ważyć słowa.

- Panowała dość zgodna opinia, że niczego im nie brakuje.

Maks zwrócił uwagę na jej wahanie, uznał więc, że pozostałe panny są w najlepszym razie przeciętnej urody. Objeżdżali właśnie jeziorko, powściągnął więc konie do spokojnego kłusa.

- Jako pani opiekun poczyniłem pewne kroki dotyczące najbliższej przyszłości wszystkich pań. Po pierwsze, otworzyłem Twyford House. Po drugie, poprosiłem moją ciotkę, lady Benborough, aby w ciągu sezonu odegrała rolę waszej przyzwoitki. Ciotka ma wartościowe koneksje i będzie dobrze wiedziała, jak należy wprowadzić was do towarzystwa. Jutro opuszczą panie hotel. Przyślę mojego majordomusa Wilsona, aby pomógł paniom przenieść się do Twyford House. Stawi się w hotelu jutro o drugiej. Zakładam, że do tego czasu zdążą się panie spakować.

Zaskoczona Caroline uznała to stwierdzenie za retoryczne. O dziewiątej rano ten człowiek nie miał pojęcia o ich istnieniu. Jak w ciągu zaledwie kilku godzin zdołał to wszystko zorganizować?

- Jeśli chodzi o pieniądze - podjął Maks - przypuszczam, że wcześniejsze źródła, z których je panie czerpały, pozostają aktualne. Jednakże w razie gdyby potrzebowały panie jakichś środków, to mogą się do mnie w tej sprawie zwracać, ponieważ jako prawny opiekun sprawuję pieczę również nad funduszami pozostawionymi im w spadku.

Cóż, księcia należało docenić, a ponieważ dysponował ich pieniędzmi, mógł dyktować warunki. Nadzieje na nieskrępowane życie, jakie Caroline wiązała z jego poprzednikiem, szybko się rozwiewały. Z drugiej strony, ta zmiana sytuacji miała również swoje zalety.

Do parku zaczęli ściągać ludzie. Mężczyzna wątlej postury, który drobnymi kroczkami szedł równoległe do drogi dla powozów, popatrzył na nich z nieukrywanym zdziwieniem.

Był ubrany w ciemnozielony surdut, aż nadto obficie zdobiony galonami. Zamiast fularu miał na szyi coś, co wyglądało jak wielka kokarda. Caroline nie kryła zaskoczenia.

- Co to za dziwak? - spytała.

- Ten dziwak to Walter Millington, jeden ze słynnych londyńskich dandysów. Mimo tego... oryginalnego stroju trudno mu cokolwiek zarzucić, ma jednak bardzo ostry język i młode damy czynią rozsądnie, starając mu się nie narazić. Proszę się z niego nie śmiać.

Dwie leciwe damy w staroświeckim landzie przyglądały im się z natarczywością, jaka u mniej znaczących osób zostałaby poczytana za arogancję. Nie czekając na pytanie, Maks pospieszył z wyjaśnieniem.

- A to panny Berry. Znają absolutnie wszystkich. Poczciwe dusze. Jedną bardzo trudno zrozumieć, drugą, przeciwnie, ma wyjątkowo jasny umysł.

Caroline podobały się te krótkie charakterystyki. Zwróciła uwagę na jeźdźca, który zatrzymał się nieco przed nimi z boku drogi. Po jego minie widać było, że poznaje kariolkę i jej woźnicę. Chwilę potem jego spojrzenie przesunęło się na nią i już tak pozostało. Caroline dawno zdążyła się przyzwyczaić do tego, że wywiera duże wrażenie na mężczyznach, zwłaszcza jeśli reprezentowali pewien określony typ. Gdy podjechali bliżej, jeździec uniósł rękę i Caroline spodziewała się, że Twyford zatrzyma kariolkę. On jednak szybko przejechał obok i tylko odpowiedział na powitanie tym samym gestem.

- A to kto? - zapytała.

Maksowi przysłała do głowy niepokojąca myśl, że utrzymanie istnienia panny Twinning w tajemnicy przed jego przyjaciółmi będzie niemożliwe. Doszedł do wniosku, że powinien starannie obmyślić, jak ją uwieść, aby wyprzedzić niepożądanych konkurentów.

- To był lord Ramsleigh.

- Pański przyjaciel?

- Właśnie.

Caroline roześmiała się, słysząc niechęć w głosie księcia. Gardłowe brzmienie jej śmiechu tak podziało na Maksa, że z trudem manewrował kariolką przy wyjeździe z parku.

Włączali się do ruchu ulicznego, gdy na moment przystanęła obok nich elegancka kolaska zmierzająca w przeciwną stronę. Na surowej, niemal końskiej twarzy chudej kobiety w średnim wieku, leniwie rozpartej na miękkich poduszkach, malowała się niezaspokojona ciekawość.

- Twyford!

Maks zerknął ku niej.

- Witam, milady. - Lekko się skłonił, wprowadzając kariolkę w strumień pojazdów.

Zerknąwszy za siebie, Caroline zauważyła, że elegancka dama głośno wyraża swoje niezadowolenie. Zachichotała.

- Kto to był?

- To Sally, lady Jersey. Warto zapamiętać jej nazwisko. Jest najwytrwalszą plotkarą w Londynie. Przezywają ją lady Pst. W każdym razie to całkiem poczciwa osoba, jedna z siedmiu protektorek Sal Almack. Muszą panie uzyskać karnety, by mieć tam wstęp, ale nie przypuszczam, żeby był z tym problem.

Dalej jechali w przyjaznym milczeniu. Maks wyobrażał sobie, jaką konsternację wywołało ich spotkanie z lady Jersey i wcześniejsze z Ramsleighem.

\* \* \*

- Oooch, Caro, czyż on nie jest wspaniały?! - zawołała Arabella na widok powracającej z przejażdżki Caroline.

- Czy zgodził się być naszym opiekunem? - zainteresowała się flegmatyczna Sara.

- Czy jest miły? - zaciekawiała się najmłodsza z sióstr, Lizzie.

Caroline odłożyła kapelusz, po czym z szelestem spódnicy usiadła w fotelu w ich wspólnym salonie. Siostry przyrodnie natychmiast ją otoczyły, a ona obrzuciła je kochającym spojrzeniem. Trudno było o trzy bardziej atrakcyjne młode damy. Dwudziestoletnia Sara z ciemnobrązowymi włosami i niezwykle jasną karnacją usiadła na jednej poręczy fotela, drugą zajęła Arabella, mająca bujne kasztanowe loki wokół szelmowsko uśmiechniętej twarzy w kształcie serca, zaś najmłodsza Lizzie przycupnęła u stóp fotela, zapatrzona w nią piwnymi oczami. Na nosie Lizzie usadowiła się gromada piegów, które nijak nie chciały zniknąć, mimo bezwzględного traktowania mleczkiem duńskim, przecierem z truskawek i wszelkimi innymi środkami, jakie kiedykolwiek wynaleziono.

- Moje drogie, wygląda na to, że nieodwracalnie zostaliśmy podopiecznymi księcia Twyford.

- Kiedy on chce nas poznać? - spytała praktyczna Sara.

- Jutro po południu. Książę otwiera Twyford House i tam się wprowadzimy. On sam mieszka w Delmere House, gdzie odwiedziłam go dziś rano, więc zasady przyzwoitości nie zostaną naruszone. Naszą przyzwoitką zostanie lady Benborough, ciotka księcia, która zgodziła się nas protegować. Jutro ją poznamy.

Zapadło milczenie.

- To wszystko zorganizował od dziesiątej rano? - wyraziła w końcu osłupienie całej trójki Arabella.

Caroline skinęła głową.

- Czy on jest... władczy? - dopytywała się Arabella.

- Bardzo! - odrzekła Caroline. - Jeśli ostrzysz sobie pazurki na naszego opiekuna, to srodze się zawiedziesz, moja miła. On jest bardzo bystrym człowiekiem, a poza tym doświadczonym. - Przyglądając się zamyślonym twarzom dookoła, dodała: - Nasze próby flirtowania z Maksem Rotherbridge'em są z góry skazane na niepowodzenie. Jako jego podopieczne nie mamy co liczyć na względy, a on nie zniesie żadnych niemądrych pomysłów, ostrzegam was zawczasu.

- Hm... - Sara podeszła do okna. - Czy to znaczy, że potwierdziły się twoje przewidywania? Nie będzie nim łatwo pokierować?

- Obawiam się, moje drogie, że nasz pomysł, by trząść Londynem pod okiem zgadzającego się na wszystko opiekuna, niestety umarł wraz z poprzednim księciem - odparła Caroline. - Jeśli jednak będziemy się trzymać zasad panujących w towarzystwie i nie przysporzymy problemów naszemu opiekunowi, to nie przypuszczam, by on sprawiał nam kłopoty. Przecież przyjechałyśmy do Londynu znaleźć mężów, a jeśli mnie intuicja nie myli, dokładnie o to samo chodzi księciu.

- Czy to znaczy, że zgodził się przedstawić nas w towarzystwie? - spytała Lizzie.

Caroline skinęła głową.

- Sądzę, że niepokoi go duża liczba podopiecznych. - Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Z tego, co dotychczas widziałam, wynika, że sytuacja, w której mamy za protektora obecnego księcia, jest stanowczo lepsza od poprzedniej. Nie będziemy musiały same bronić się przed łowcami posagów.

Przez kilka minut siostry w milczeniu rozważały sytuację. Wreszcie Caroline wstała, wygładziła spódnice i powiedziała:

- Jutro o drugiej zostaniemy przewiezione do Twyford House na Mount Street. Jeśli mnie kochacie, ubierzcie się skromnie i postaracie się zachowywać z należną powściągliwością. Nie będziecie próbować na księciu żadnej z waszych sztuczek. - Spojrzała znacząco na Arabelle, która odpowiedziała łobuzerskim uśmiechem. - Mówię poważnie. Moim zdaniem w zaistniałych okolicznościach powinniśmy pilnować, żeby opiekun nie miał z nami trudnego życia. Bez wątplenia mógł uchylić się od tego obowiązku, więc powinniśmy być mu wdzięczne, że postanowił uszanować zobowiązania wuja. - Zakończyła tę surową przemowę w iście matczynym tonie, czym naturalnie nie zwiodła swojej czeredki. Trzy głowy zbliżyły się do siebie, a Caroline, odwróciwszy się do okna, mruknęła pod nosem: - Mam przeczucie, że i tak dla księcia będziemy dopustem bożym.

\* \* \*

Stuk, stuk, stuk. Czubek cienkiej laski lady Benborough wybijał powolny rytm głuszony przez miękki dywan z Aubusson. Dama nie mogła się doczekać spotkania z podopiecznymi. Zdażyła dokonać inspekcji domu i przekonać się, że wszystko jest na swoim miejscu. Gdyby nie wiedziała, trudno byłoby jej uwierzyć, że jeszcze dzień wcześniej Twyford House był zamknięty na cztery spusty, kołatka zdjęta z drzwi, a meble przykryte płóciennymi pokrowcami. Wilson okazał się doprawdy bezcenny. Zadbał nawet o to, by na stoliku między wysokimi oknami stała donica z krokusami. Przez otwarte okna widać było dziedziniec otoczony

rabatami, na których pojawiły się pierwsze kwiaty. Pośrodku dziedzińca znajdowała się marmurowa fontanna, przedstawiająca Greczynkę, wylewającą wodę z naczynia.

Kontemplację tej sceny przerwało lady Benborough energiczne pukanie do drzwi wejściowych. Chwilę później usłyszała męskie głosy i odetchnęła z ulgą. Maks. Wszedł do pokoju jak zwykle nieskazitelnie ubrany, w lśniących wysokich butach. Skłonił się z niewymuszonym wdziękiem nad jej dłonią, mierząc ją spojrzeniem niebieskich oczu, o ton ciemniejszych niż jej własne.

- Dużo lepiej, ciociu.

Dopiero po chwili zorientowała się, że mowa o jej peruce, najnowszym osiągnięciu w stylu, któremu hołdowała od dziesięciu lat. Nie była jednak pewna, czy powinna być zadowolona, czy raczej urażona.

- Chcesz, bym pomyślała, że jestem ładna, he?

- To byłaby obraza dla twojej inteligencji - odparł Maks, przyglądając się z rozbawieniem ciotce. - Wilson pojechał po dziewczęta i powinien wkrótce wrócić. Naturalnie jeśli będą gotowe, kiedy dotrze do hotelu. - Maks omiótł wzrokiem pokój, wybrał krzesło Hepplewhite'a i usiadł w eleganckiej pozie. - Mam nadzieję, że wszystko tutaj spotkało się z twoją aprobatą, ciociu.

Lady Benborough zatoczyła krąg ramieniem.

- Wilson jest niesamowity. Nie pojmuję, jak on to robi.

- Ja też nie - przyznał Maks. - A reszta domu?

- Wygląda tak samo - zapewniła go. - Wiesz, zastanawiałam się nad problemem mężów dla tych dzierlatek. Przy takim posagu nie powinniśmy mieć kłopotów, nawet gdyby okazały się przyszczate i zezowate.

- Łowcami posagów zajmę się osobiście - oznajmił Maks.

Augusta skinęła głową.

Ceniła u bratanka między innymi to, że nigdy nie trzeba mu było podpowiadać, co należy zrobić. Skoro panny Twinning zostały jego podopiecznymi, bez wątpienia nie groziły im zaloty mało pożądaných indywiduów. Nowego księcia Twyford znano jako człowieka bardzo sprawnego fizycznie i świetnego strzelca.

- Jeśli zdecydujemy, że można je niezwłocznie wprowadzić do towarzystwa, to planuję na początek małe przyjęcie w przyszłym tygodniu. Gdyby jednak okazało się, że mają braki w garderobie albo nie umieją tańczyć, będziemy musieli się wstrzymać.

Przypomniawszy sobie elegancką suknię Caroline Twinning i jej wyjaśnienia

co do strojów, Maks uciszył niepokój ciotki.

- A że potrafią tańczyć, jestem gotów się założyć - dodał. Nie wątpił, że Caroline Twinning doskonale tańczy walca może dlatego, że był to jedyny taniec, w którym on znajdował upodobanie.

Augusta Benborough przyjmowała bez zastrzeżeń opinie Maksa w takich sprawach. Bądź co bądź, jego sława bywalca kobiecych sypialni i domów schadzek stanowiła gwarancję, że zna się na rzeczy.

- Wobec tego zaczynamy w przyszłym tygodniu. Na pierwsze przyjęcie zaproszę tylko kilka użytecznych osób i trochę młodzieży.

- Mam nadzieję, ciociu, że nie spodziewasz się mojej obecności?

- Wielki Boże, nie! Cała uwaga ma być skupiona na pannach, a nie na ich opiekunie.

Maks uśmiechnął się cynicznie.

- Jeśli dziewczęta są choć trochę atrakcyjne, to nie widzę problemu z urządzeniem ich życia - ciągnęła Augusta. - Kto wie? Może nawet jedna z nich zawojuje kawalera Wolvertonów?

- Tego mydłka? - Maks nie mógł znieść myśli o pannie Twinning wspierającej się na ramieniu przyszłego hrabiego Wolvertona. Co tam, przed nim było jeszcze spotkanie z trzema pozostałymi pannami, pocieszył się w duchu.

- Kto wie?

- Chcesz, żebym je trzymała krótko i popychała we właściwym kierunku, czy mam pozwolić im chodzić swobodnie?

- Miej oko na trzy młodsze dziewczęta. Im zapewne przyda się przynajmniej kilka wskazówek. Może nawet więcej niż kilka, ale tego nie wiem, bo jeszcze ich nie znam. Wątpię natomiast, czy warto wspomagać najstarszą pannę Twinning. Wprawdzie ma już swoje lata, ale sądzę, że znakomicie poradzi sobie sama.

Augusta wywnioskowała z tych słów, że uroda i majątek panny Twinning wystarczają, by wiek nie stał na przeszkodzie korzystnego mariażu. Również w tej sprawie opinia Maksa była miarodajna. Od dawna znajdował się na celowniku wielu matron szukających mężów dla swoich córek, jak do tej pory nie objawiał jednak wrażliwości na wdzięki debutantek. Wolał powaby kobiet nieco dojrzałych, o czym świadczyła choćby litania jego kochanek. Ostatnio wiązano go z pewną operową śpiewaczką. Lady Benborough przypomniała sobie poprzednią *chere amie* Maksa. Emma, lady Mortland, wróciła do Londynu po śmierci męża i zdawało się, że chce szybko nadrobić czas stracony u boku podstarzałego para. Jeśli plotki były prawdziwe, zaangażowała się w związek z Maksem



bardzo głęboko. Pewnie poza wszystkim zaimponował jej książęcy tytuł. Naiwna kobieta! Nie było cienia szansy, by Maks zaproponował małżeństwo komuś takiemu. Kochanki oddalał, kiedy go znudziły. Te, które umiały ożywić grę miłosną, mogły liczyć na szczodłą rekompensatę, inne spotykała bezduszna obojętność.

Do salonu zaczęły się sączyć odgłosy świadczące o pojawieniu się lokatorek. Maks uniósł głowę. Wyraźnie usłyszał dziewczęcy szczebiot. Zaraz potem zapadła cisza. Drzwi się otworzyły i Millwade, nowy kamerdyner, zaanonsował:

- Panna Twinning.

Caroline weszła pewnym krokiem do salonu. Maks wstał na powitanie i skłonił się nad jej wyciągniętą ręką, po czym przesłał pannie Twinning uśmiech, który odwzajemniła. Wiedziała, że póki Maks pełni funkcję opiekuna, ona może bezkarnie podejmować jego gry.

Lady Benboroughomal nie otworzyła ust z wrażenia. Zdażyła się jednak opanować, zanim Caroline stanęła przed jej obliczem. Nic dziwnego, że Maks nie widział potrzeby, by tej pannie w czymkolwiek pomagać. Panna Twinning była niezwykle atrakcyjna. Machinalnie odpowiadając na dobrze znaną formułkę, Augusta dostrzegła w dużych i przyjaźnie spoglądających szarozielonych oczach błysk rozbawienia, wynikającego ze zrozumienia sytuacji.

- A gdzie pani siostry? - spytał Maks.

- Zostawiłam je w holu. Pomyślałam, że...

Caroline nie zdażyła powiedzieć więcej, bo Maks pociągnął za sznur dzwonka. Natychmiast pojawił się Millwade, gotowy odebrać polecenia. Pogodziwszy się z losem, Caroline zamknęła usta, bo żadne usprawiedliwienia nie były już potrzebne. Gdy odwróciła się do lady Benborough, ta uniosła brwi w bezgłośnym pytaniu. Caroline usiadła obok starszej damy.

- Proszę tylko popatrzeć - szepnęła wesoło.

Augusta Benborough posłusznie skierowała wzrok ku drzwiom. Właśnie w tej chwili otworzyły się one ponownie i do salonu weszły kolejno Sara, Arabella, a na końcu Lizzie Twinning.

Zarówno Maks Rotherbridge, jak i jego ciotka wlepili wzrok w podopieczne z wyrazem niedowierzania na twarzy. Trzy dziewczęta stały upozowane i pewne siebie, po czym jak na komendę dygnęły najpierw przed Maksem, a potem przed lady Benborough.

Caroline dała im sygnał i wtedy wszystkie podeszły, aby mogła przedstawić je oniemiałemu Maksowi, a następnie osłupiałej lady Benborough.

W salonie znajdowały się trzy, a jeśli liczyć pannę Twinning, cztery piękności czystej wody. W obecności takich istot zamierały rozmowy, a ich przejście ściągało niezliczone spojrzenia.

- To niepojęte! - zdołał wreszcie powiedzieć Maks.

Lady Benborough nie kryła wesołości wywołanej reakcją bratanka na widok siostr Twinning.

## *Rozdział trzeci*

- Nie! - Maks kręcił głową z niedowierzaniem, a charakterystyczny dla niego surowy wyraz twarzy potęgowała jeszcze marsowa mina.

Lady Benborough głośno westchnęła. Opanowawszy wybuch radości, szybko wysłała trzy młodsze panny Twinning na dziedziniec. Po dziesięciu minutach wysuwania przez nią starannie dobranych argumentów Maks pozostał nieprzejednany. Mimo to była zdecydowana przekonać bratanka; nie mogła przecież dopuścić do tego, żeby zrzekł się swoich obowiązków. Poza tym obiecywała sobie wiele dni rozrywki, a w jej wieku należało korzystać z nadarzającej się okazji. Przybrała więc minę męczennicy.

- To niemożliwe! - podkreślił Maks, dostrzegłszy znajome oznaki. - Tylko pomyśl, co będą mówić ludzie!

- A co cię to obchodzi? - zdumiała się Augusta. - Do tej pory trudno byłoby posądzać cię o unikanie skandali. Plotki naturalnie będą krążyć, ale nikomu nie zaszkodzą, a wręcz przeciwnie. Moje podopieczne znajdą się w centrum uwagi.

Caroline rozsądnie nie wtrącała się do rozmowy i starała się wyglądać jak najbardziej niewinnie. Maks był pewien, że celowo ukryła przed nim prawdę o swoich siostrach, żeby postawić go przed faktem dokonanym i pozbawić możliwości wycofania się ze sprawowania nad nimi opieki.

- Niczego raczej im nie brakuje - rzekł z przekąsem. Caroline się uśmiechnęła.

- Cokolwiek ci się w tej chwili wydaje, Maksie, pozostaje faktem, że jesteś opiekunem tych panien - przypomniała lady Benborough. - Sam mi to oświadczyłeś. Nie możesz teraz umyć rąk. Rozumiem, że sytuacja może być dla ciebie odrobinę niewygodna. - Augusta z satysfakcją pomyślała o lady Mortland. - Jeśli nie zajmiesz się pannami, to kto je weźmie pod swoje skrzydła?

Mimo tak gwałtownej reakcji na spotkanie z całą czwórką panien Twinning Maks nie zamierzał odstąpić od sprawowania nad nimi pieczy. Przez ostatnie

dziesięć minut dawał po prostu upust przepelniającym go uczuciom, choć rozsądek podpowiadał mu, jak bardzo jest to bezprzedmiotowe. Wytoczył więc ostatni argument.

- Czy naprawdę uważasz, że mężczyzna z moją reputacją może być uważany za stosownego opiekuna dla czterech... - Nie spuszczać oka z Caroline, przemyślał, które z nasuwających mu się określeń pasuje najlepiej. - Dla czterech atrakcyjnych dziewczyn? - zakończył srogo.

- A kto lepiej niż ty podoła roli ich opiekuna? - odparła pytaniem Augusta. - Jestem skłonna sądzić, że poznałeś wszystkie panieńskie intrygi. Jeśli więc ty nie utrzymasz wilków z dala od zagrody, to nie potrafi tego nikt. Naprawdę nie wiem, dlaczego podnosisz takie larum.

Maks też tego nie wiedział. Po chwili milczenia podszedł do okna z widokiem na dziedziniec. Najpierw popatrzył na trzy panny, a potem przez chwilę wpatrywał się w fontannę z nadzieją, że przyjdzie mu do głowy jakieś rozwiązanie. Dopóki ich nie ujrzał, traktował trzy młodsze panny Twinning jako istoty całkowicie pozbawione znaczenia, łatwe do odsunięcia na dalszy plan, zupełnie bez wpływu na jego zamiary wobec ich najstarszej siostry. Te założenia okazały się całkowicie chybione. Zważywszy na wdzięki panien Twinning, musiał mocno się zaangażować w rolę opiekuna. Doskonale wiedział, że będą się do nich zalecać wszyscy mężczyźni w Londynie, którzy przynajmniej cokolwiek widzą na oczy.

Lady Benborough zerknęła jeszcze raz na Maksa, a potem popatrzyła na Caroline. Zdążyła wyrobić sobie dobre mniemanie o pannie Twinning. Co więcej, jako bywalczyni salonów zauważyła, że jej bratanek nie pozostaje obojętny na wdzięk tej ponętnej osobki. Spojrzała prosto w szarozielone oczy i nieznacznie uniosła brwi. Caroline skinęła głową, podeszła do Maksa i położyła mu rękę na ramieniu. Patrzyła na swoje siostry, nie na niego. Gdy się odezwała, jej głos był taktownie ściszony.

- Jeśli naprawdę nie widzi się pan w roli naszego opiekuna, to jestem pewna, że możemy dojść do innego porozumienia. - To powiedziawszy, pochwyciła jego spojrzenie.

Mimo znajomości wielu kobiecych sztuczek Maks nie potrafił się zorientować, czy ta propozycja nie jest przypadkiem sprytnym podstępem. Szybko jednak zdał sobie sprawę z tego, że jeśli teraz postawi na swoim i zrzeknie się funkcji opiekuna, to Caroline Twinning znajdzie się w dużej mierze poza jego kręgiem towarzyskim. To zaś oznaczało, że uwieść ją będzie znacznie trudniej, o ile w ogóle. Urzeczony szarawym odcieniem zieleni jej oczu, Maks zrobił więc coś,

czego wstydziliby się każdy ze stałych bywalców klubu bokserskiego Jacksona.  
Rzucił ręcznik na ring.

\* \* \*

Pogodziwszy się z losem, Maks opuścił Twyford House, zostawiając damy same, aby mogły lepiej się poznać. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, lady Benborough pozwoliła sobie na dyskretny uśmiech i zwróciła się do Caroline:

- Dobra robota, moja droga. Najwyraźniej nie potrzebujesz lekcji postępowania z mężczyzną.

Caroline uśmiechnęła się szerzej.

- Muszę przyznać, że mam pewne doświadczenie.

- Przyda ci się, jeśli chcesz stawić czoło mojemu bratankowi. Możesz być tego pewna.

AndpyTj0.ug0.12 Tc . TjET1 1 o 8Tc e Tj Tc w Tj-0.24 Tc n Tj0.BT0 0 0 rg 106.

spojrzenie na najmłodszej. - Ty jesteś Lizzie i masz osiemnaście lat, prawda?

- Tak, proszę pani.

- W tej sytuacji nie ma sensu udawać przesadnej wstydlivosti. Zakładam, że wszystkie chcecie znaleźć sobie mężów?

Odpowiedziały jej cztery stanowcze skinienia.

- To dobrze. Cele mamy zatem uzgodnione. Teraz co do strategii. Chociaż wasze nagłe pojawienie się we czwórkę spowoduje wielkie zamieszanie, wydaje mi się, że to najlepszy sposób na rozpoczęcie. Przynajmniej zostaniemy zauważone.

- Och, my zawsze jesteśmy zauważane - wtrąciła Arabella. Augusta parsknęła śmiechem.

- Tak przypuszczam.

Tego rodzaju uwaga w ustach innej panny zasługiwałaby na naganę. Nie można było jednak odmówić siostrze Twinning urody zdecydowanie ponad przeciętną, a ponieważ nie były też głupiutkimi gąskami, nie miało sensu udawać, że nie pojmują, jakie wrażenie wywierają na mężczyznach. Augusta była zadowolona, że nie musi zbliżać się do tematu okrężną drogą.

- Niezależnie od innych względów - podjęła - wasze publiczne wystąpienie w towarzystwie księcia Twyford uniemożliwi Maksowi wycofanie się z raz podjętej decyzji. - Funkcja opiekuna zapewniała księciu kontakty z panną Caroline Twinning, a lady Benborough podejrzewała, że to akurat może wyjść jej bratankowi na dobre.

\* \* \*

Następnego popołudnia przejażdżka po parku została zaaranżowana przez lady Benborough w ten sposób, żeby trwała krótko. Zgodnie z przewidywaniami Augusty, widok czterech olśniewających panien w towarzystwie Twyforda wywarł natychmiastowy skutek. Gdy jego odkryty powóz toczył się statecznie po parkowych alejkach, głowy mijanych ludzi odwracały się jedna za drugą. Konwersacje w grupkach dżentelmenów, a także wśród co śmielszych dam, które opuściły swoje pojazdy i przechadzały się po wypielegnowanych trawnikach, nagle się urywały. Wszystkie oczy skierowane były na cztery piękne młode kobiety otaczające Maksa Rotherbridge'a.

Augusta, zadowolona z poruszenia, jakie wywołały, siedziała na ławie, starając się ukryć triumfalny uśmiech. Jej podopieczne wyglądały niczym bukiet rzadkich kwiatów. Subtelny brzoskwiniowy odcień sukni Caroline sąsiedował z rozmytym turkusem stroju Sary. Arabella wybrała na tę okazję muślin w kolorze

jasnoróżowym, a Lizzie siedziała uszczęśliwiona wśród sióstr niczym najprawdziwszy dzwoneczek na łące. W delikatnym wiosennym słońcu wyglądały jak posłanki królestwa czarów, zbyt eteryczne, by uznać je za kobiety z krwi i kości. Wreszcie Augusta przegrała swą walkę i na jej ustach wykwitł szeroki uśmiech. Jeszcze bardziej rozpromieniła się, gdy przy ich powozie zatrzymało się lando. Uniosła parasolkę i poklepała woźnicę po ramieniu.

- Zatrzymaj.

W ten sposób Emily, lady Cowper, i Maria, lady Sefton, które przyjechały odetchnąć świeżym powietrzem w wiosenne popołudnie, jako pierwsze zyskały szansę poznania sióstr Twinning. Obie nie kryły zaskoczenia. Augusta odnotowała ich reakcję z satysfakcją. Skorzystała z okazji, by przedstawić swoje protegowane, dodając na koniec:

- Podopieczne Twyforda, rzecz jasna.

Ta informacja, wtrącona całkowicie obojętnym tonem, jeszcze bardziej oszołomiła obie damy.

- Twyforda? - powtórzyła lady Sefton. - Jak to, na Boga...

Augusta udzieliła zwięzłego wyjaśnienia. Gdy rozbawione damy trochę oswoiły się z sytuacją, obie natychmiast obiecały dziewczętom karnety do Almacka.

- Moja droga, jeśli twoje panny pojawią się u nas, będziemy musiały zatroszczyć się o obfity poczęstunek. Dżentelmeni będą się pchali drzwiami i oknami - zwróciła się do Augusty lady Cowper.

- Kto wie? Może nawet uda nam się namówić Twyforda, żeby przyszedł razem z nimi - rozmarzyła się lady Sefton.

Augusta uważała wprawdzie, że na to ostatnie liczyć raczej nie należy, czuła jednak wdzięczność dla dwóch starych przyjaciółek za wsparcie, jakiego niezwłocznie były skłonne jej udzielić. Powozy jeszcze przez dłuższą chwilę stały burta w burcie, a obie protektorki Almacka zdobyły w tym czasie więcej informacji na temat podopiecznych księcia. Augusta z ulgą przekonała się, że żadna z czterech dziewcząt nie ma kłopotów z prowadzeniem lekkiej konwersacji. Młodsze okazywały tylko przydający im uroku szacunek dwóm starszym, pozwalając, by Caroline i Sara najczęściej zabierały głos.

Po rozstaniu ze znajomymi Augusta zarządziła odwrót na Mount Street.

- Nie ma sensu bez potrzeby przyspieszać biegu spraw - wytłumaczyła w odpowiedzi na cztery pytające spojrzenia. - Lepiej niech ludzie przychodzą do nas.

\* \* \*

Dwa dni później śmietanka Londynu wciąż dziwiła się istnieniu podopiecznych księcia Twyford. Powszechną reakcją stanowiło rozbawienie, czasem wyrażane powściągliwie, innym razem wręcz rubasznie. Maks potulnie to znosił, ale nalegania przyjaciół, by przedstawił ich pannom, wystawiły jego cierpliwość na nie lada próbę. Wszystkie tego rodzaju żądania bezlitośnie odrzucał. Wprawdzie nie mógł przeszkodzić zawarciu tych znajomości, ale nie chciał mieć poczucia, że przykłada do nich rękę. Dlatego w piękny kwietniowy poranek zbierał się do opuszczenia Delmere House w towarzystwie swoich dwóch wypróbowanych przyjaciół, lorda Darcy'ego Hamiltona i George'a, wicehrabiego Pilborough, będąc w nastroju dalekim od pogodnego.

Gdy wyszli z salonu i znaleźli się w głównym korytarzu, ich rozmowę przerwało pukanie do drzwi wejściowych. Przystanęli w głębi holu, pozostawiając otwarcie drzwi Hillshowowi, który minął ich majestatycznym krokiem.

- Nie ma mnie w domu - zapowiedział Maks.

- Rozumiem, wasza wysokość - odparł kamerdyner, skłaniając głowę.

Maks zapomniał jednak, że Hillshaw nie miał okazji zobaczyć panien Twinning w grupie. Nic dziwnego, że nie stawiał skutecznego oporu, i wkrótce cała czwórka przestąpiła próg, spowita w koronki, promieniejąca uśmiechami i blaskiem niesfornych pukli. Panny natychmiast zauważyły trzech mężczyzn, znieruchomiałych przy schodach. Arabella dopadła Maksa pierwsza.

- Drogi opiekunie, czy dobrze się pan miewa? - zapytała, kładąc mu rękę na ramieniu.

Sara, która nie dała się zdystansować, pojawiła się po jego drugiej stronie.

- Ufamy, że tak, ponieważ przyszłyśmy poprosić o pozwolenie w pewnej sprawie - dodała i przesłała mu uśmiech kobiety, która wie, czego chce.

Lizzie przystanęła tuż przed nim i wpatrywała się w niego wielkimi oczyma, czarując go uśmiechem, o którym musiała wiedzieć, że działa niezawodnie.

Maks spojrzał na Hillshawa wciąż skamieniałego przy drzwiach. Widok budzącego postrach sługi obezwładnionego przez gromadkę panien sprawił, że się uśmiechnął. Panny Twinning bez wątplenia nie potrzebowały żadnego wsparcia. Śmiałości na pewno im nie brakowało. Skrzyżował spojrzenia z Caroline.

Do tej pory stała nieco z tyłu, obserwując przedstawienie urządzone przez siostry, teraz jednak wystąpiła naprzód. Maks ujął jej wyciągniętą rękę, natychmiast zapominając o obecności pozostałych dziewcząt.

- Proszę nie zwracać na nie uwagi - odezwała się przeproszającym tonem. - Czasami bywają doprawdy niesforne.

- Wcale nie jesteśmy niesforne, Caro - zaprotestowała Arabella, zerkając ciekawie na towarzyszących Maksowi mężczyzn.

- Słyszałyśmy, że można wybrać się na konną przejażdżkę do parku, ale lady Benborough powiedziała nam, że musimy pana zapytać o pozwolenie - wyjaśniła Sara.

- Jesteśmy i pytamy - dodała błagalnie Lizzie.

- Nie. - Maks brutalnie uciął przymilne szczebioty.

Słyszając odmowę, Caroline uniosła starannie wypiełgnowane brwi. Maks zauważył, że trzy siostry najpierw obejrzały się na najstarszą, aby sprawdzić jej reakcję, a dopiero potem ponowiły atak.

- Och, chyba nie mówi pan poważnie!

- Wszystkie dobrze umiemy jeździć, a nie miałyśmy ku temu okazji, odkąd opuściliśmy dom.

Arabella i Sara zwróciły się do dżentelmenów stojących za Maksem i w milczeniu przysłuchujących się tej niezwyklej scenie. Arabella popatrzyła błagalnie na wicehrabiego Pilborough.

- Chyba nie ma w takiej prośbie niczego niezgodnego z wymogami rozsądku?

Widząc urzeczone spojrzenie arystokraty, prawie niezauważalnie poruszyła rzęsami, a następnie spuściła powieki, przysłaniając pełne życia oczy. Długie rzęsy niemal dotknęły policzków, na których pojawiły się rumieńce onieśmielenia.

- Właściwie... dlaczego nie, Maks? - odezwał się wicehrabia. - Twoje podopieczne będą uroczo wyglądać w siodle.

Maks, który doskonale wiedział również i to, że będzie im bardzo do twarzy w kostiumach do konnej jazdy, z trudem powstrzymał cisnące mu się na wargi przekleństwo. Ignorując spojrzenie panny Twinning, spiorunował wzrokiem niešťęsnego wicehrabiego.

Sara skupiła tymczasem uwagę na zapatrzonym w nią jak w obraz lordzie Darcym. Umiejętnością flirtu nie dorównywała Arabelli, ale swoje wiedziała.

- Czy istnieje jakiś ważny powód, dla którego nie powinniśmy odbyć przejażdżki? - zwróciła się z promiennym uśmiechem do lorda.

Słyszając jej niezwykle melodyjny głos, Darcy Hamilton gorzko pożałował, że nie są w tej chwili gdzie indziej i tylko we dwoje. Podszedł do Sary i wypróbowanym po wielokroć gestem uniósł jej dłoń do warg. Przesłał jej przy tym



uśmiech, który zawojował niezliczone damy. Rzecz jasna dobrze rozumiał, dlaczego Maks nie życzy sobie tej przejażdżki. W tym momencie nie czuł się jednak rzecznikiem interesów przyjaciela.

- Obawiam się, mój drogi Maksie, że będziesz zmuszony ustąpić - rzekł. - Opozycja ma miażdżącą przewagę.

Maks omal nie zabił go wzrokiem. Zrozumiał jednak, że został osaczony. Gdy zatrzymał spojrzenie na twarzy Caroline, przekonał się, że jest bacznie przez nią obserwowany.

- No dobrze - powiedział.

W nagrodę otrzymał ciepły uśmiech i mógł bez przeszkód przedstawić swoich przyjaciół najpierw jej, a potem pozostałym siostrom. Gdy obaj dżentelmeni z ochotą pograżyli się w rozmowie z młodszymi pannami, Caroline stanęła przy Maksie.

- Chyba nie jest pan na nas zły, że chcemy trochę pojeździć konno?

- Zdecydowanie wolałbym, żeby panie tego nie robiły - odparł, mimo woli łagodniejąc. - Widzę jednak, że nie w mojej mocy jest temu przeszkodzić.

- Nic nam się nie stanie, zapewniam.

- Proszę pozwolić, panno Twinning, że dam jej cenną wskazówkę. Obracanie się w londyńskim towarzystwie jest najeżone większymi trudnościami niż te, które spotkały panie w Ameryce, a tym bardziej w kręgu sąsiedzkim w Hertfordshire.

- Niech pan się nie obawia, drogi opiekunie - powiedziała, śmiało spoglądając mu w oczy. Maks znów zwrócił uwagę na fascynujący dołeczek w kąciku jej ust. - Damy sobie radę.

\* \* \*

Maksowi nie pozostawało nic innego, jak tylko przyłączyć się do jeździeckiej wyprawy. Ponieważ i on, i Darcy Hamilton mieli duże stajnie, zdołali wspólnie wyszukać w nich cztery odpowiednie wierzchowce. Caroline zapewniła Maksa, że jako panny ze wsi czują się w siodle znakomicie, i zanim jeszcze dojechali do parku, przekonał się, iż to prawda. Przynajmniej nie musiał się martwić, że któraś straci panowanie nad zwierzęciem i wyląduje na ziemi. Ponieważ zaś czwórka amazońskich w doskonale skrojonych kostiumach jeździeckich rzeczywiście wyglądała tak imponująco, jak w najgorszych obawach Maksa, paradoksalnie humor mu się nagle poprawił.

W parku Maks, zręcznie manewrując wozami, skierował swego srokacza na koniec grupki, aby mieć na oku wszystkie podopieczne. Caroline, jadąca obok

niego, również zwolniła. Spojrzała mu w twarz wyraźnie rozbawiona, ale powstrzymała się od uwag.

Zgodnie z jego oczekiwaniami, wystarczyło, że ujechali nie więcej niż dwieście jardów, a ich grupka powiększyła się o lorda Tullocha i młodego pana Mitchella. Wyglądało jednak na to, że żaden z nich nie jest w stanie przeszkodzić w niepokojąco szybkim rozwoju znajomości Sary Twinning z Darcym Hamiltonem. Maks musiał przyznać, że siostry Twinning znają różne kobiece sztuczki. Arabella zuchwale flirtowała, ale obdzielała wszystkich dżentelmenów po równo, więc żaden nie czuł się wyróżniony. Lizzie przyciągała spokojniejszych młodych ludzi. Jej naturalna nieśmiałość w połączeniu z młodością i urodą tworzyła mieszaninę, która łatwo mogła zawrócić w głowie każdemu z rozmówców. Na szczęście, mimo że jechali już dość długo, Maks stwierdził, iż żadna z panien nie próbuje stworzyć okazji, by któryś z dżentelmenów znalazł się z nią sam na sam. Korzystając z tego, że nie musi wykazywać przesadnej czujności, zwrócił się do Caroline.

- Jakie są pani pierwsze wrażenia z Londynu?

- Bardzo dobre - odparła pogodnie. - Pańska ciotka przechodzi samą siebie. Nie potrafię nawet wyrazić, jak wdzięczna jestem za wszystko, co pan dla nas zrobił.

Maks spochmurniał. Stanowczo nie chciał wdzięczności. Prawdę mówiąc, jego myśli podążały zapewne w podobnym kierunku, co myśli Darcy'ego. Zerknął na Caroline, która jechała obok z wyrazem bez troski na twarzy.

- Jakie plany mają panie na resztę tygodnia? - spytał. Caroline nieco się zdziwiła jego zainteresowaniem.

- Do dziś codziennie po południu bywałyśmy w parku powozem, przypuszczam też, iż będziemy nadal tu przyjeżdżać, choć teraz pewnie częściej wierzchem. - Zerknęła na księcia, by się przekonać, jaką reakcję wywołało to oświadczenie. Na twarzy Maksa zachwyty nie dostrzegła, ale skinął przyzwalająco głową. - Wczoraj wieczorem byłyśmy na kameralnym przyjęciu u lady Mailing. Pańska ciotka zapowiedziała, że również w przyszłym tygodniu pokażemy się tu i ówdzie, żeby nabrać pewności siebie w sytuacjach towarzyskich.

Maks ponownie skinął głową. Kątem oka dostrzegł, że Sara odrzuciła kolejną propozycję Darcy'ego, by odłączyć się od grupy. Jego przyjaciel Zmarkotniał. Wiedział jednak, że Darcy'ego niełatwo zniechęcić. Utrzymanie podopiecznych na odpowiedni dystans od jego własnych przyjaciół mogło się okazać diabelnie trudnym zadaniem.

- Czy lady Benborough wystarała się dla pań o karnety do Almacka?

- Tak. Od razu podczas pierwszej przejażdżki po parku spotkałyśmy lady Sefton i lady Cowper.

Doceniwszy tę strategię, Maks rzekł z uznaniem:

- Ciotka Augusta wie, co robi.

- Bardzo jest dla nas dobra - przyznała Caroline.

Dokonując objazdu parku, znaleźli się w jego najmodniejszej części. Ich niewielka kompania rozrosła się natychmiast. Niemal wszyscy obecni dżentelmeni starali się o zaszczyt bycia przedstawionymi podopiecznym Maksa. Jednak ku jego zaskoczeniu wystarczyło jedno skinienie głowy Caroline i dziewczęta posłusznie stworzyły zwartą trójkę, tak by pozostawać w bezpośredniej bliskości opiekuna. O dziwo, wszystkie zachowywały się przykładowo, a tych, którzy traktowali je jak łatwy łup, przywoływały do porządku chłodnym traktowaniem. Wywarło to na Maksie niemałe wrażenie. Działo się tak przez całą drogę do parkowych bram, przy których ich grupa stopniała do pierwotnych rozmiarów.

- Czy może mnie pani zapewnić, że one zawsze zachowują się tak rozważnie, czy było to po prostu przedstawienie specjalnie dla mnie? - zwrócił się Maks do Caroline, jednocześnie próbując znaleźć odpowiedź na niezwykle istotne pytanie: czy jej oczy są zielonoszare, czy szarozielone?

- Zapewniam pana, że jesteśmy dostatecznie rozsądne, by wiedzieć, jak postępować - odrzekła, po czym zniżyła głos. - W tych okolicznościach na pewno nie zrobiłybyśmy celowo niczego, co mogłoby nas postawić w złym świetle. Dobrze rozumiemy, jak wiele zawdzięczamy panu i lady Benborough.

Nie wiedzieć czemu Maksa ogarnęła irytacja. Wprawdzie co do trzech młodszych panien mógł tylko przyklasnąć deklaracji Caroline, ona sama stanowiła jednak odrębne zagadnienie. Powinien znaleźć sposób, by przekonać ją, że drobiazgowo przestrzeganie konwenansów nie jest formą podziękowania, jakiego oczekuje. Z drugiej strony, gdy myślał o tym, że Caroline mogłaby spełnić jego pragnienia z wdzięczności, na usta cisnęły mu się przekleństwa. Nagle jego srokacz gwałtownie przystanął i Maks zorientował się, że w zamyśleniu bezwiednie ściągnął wodze. Musiał poświęcić chwilę na dojście do ładu z koniem, a potem już nieco mniej roztargniony, choć wciąż zadumany, dojechał u boku Caroline na Mount Street.

\* \* \*

Augusta Benborough rozpostarła wachlarz i energicznie uczyniła z niego

użytek. Na niewielkim przyjęciu było równie duszno i tłoczno jak podczas najważniejszych i gromadzących najwięcej gości wydarzeń towarzyskich roku. Tam przynajmniej miałyby pod ręką mnóstwo przyjaciółek, z którymi mogłaby wymienić najświeższe plotki. Matki i przyzwoitki obecnych debiutantek należały do następnego pokolenia, a ponieważ Miriam Alford zdecydowała, że zostanie w Twyford House, Augustie nie pozostawało nic innego, jak poświęcić się obserwowaniu podopiecznych. Jednak nawet to nie wydawało jej się szczególnie zajmujące.

Maks się nie pojawił, co oznaczało, że najciekawsza dla niej sprawa trwała w zawieszeniu. Pocieszało ją to, że Caroline traktuje wszystkich poznawanych dżentelmenów jednakowo uprzejmie, żadnego z nich nie wyróżniając. Również Arabella stosowała tę samą taktykę, choć jej życzliwość dla rozmówców była znacznie bliższa flirtu niż uprzejmości. Każdą inną pannę lady Benborough zachęcałyby do okazywania większej skromności, ale zdążyła się zorientować, że można liczyć na bystrość i cięty język Arabelli, która lubiła ryzyko, ale nigdy nie przekraczała granic stosowności. Augusta patrzyła więc ze spokojem, jak panna przechadza się po salonie, otoczona switą urzeczonych adoratorów.

Jeden z nich zadeklamował:

- „Mój ty najdroższy kwiecie,  
Najpiękniejszy na świecie,  
Tobie me serce daję...”

Arabella roześmiała się wdzięcznie, mówiąc:

- Miły panie, błagam, proszę oszczędzić mi rumieńców. Z pewnością nie zasługuję na taki pean. Może zapisze pan wiersz, zamiast go wypowiadać?

Początkujący poeta, młodszy pan Rawlson, promieniał.

- Nic nie sprawi mi większej przyjemności, panno Arabellę Natychmiast przeleję strofy na papier i zadedykuję je pani, mojemu natchnieniu! - Skłonił się elegancko i odszedł, a w salonie zapadła cisza urozmaicona tylko tłumionymi chichotami.

Przerwał ją wreszcie lord Shannon.

- Głupi szczeniak!

Ponieważ panu Rawlsonowi brakowało zaledwie roku czy dwóch do lorda Shannona, który również wyglądał młodzieńczo, choć starał się we wszystkim naśladować wytrawnych dżentelmenów, i ta uwaga wywołała wesołość.

- Lordzie Shannonie, może będzie pan taki dobry i przyniesie mi coś do picia? - Arabella uśmiechnęła się słodko do nieszczęsnego młodzieńca.

Ten z pomrukiem zinterpretowanym przez obecnych jako wyraz zachwyty z możliwości usłużenia damie niezwłocznie się oddalił.

Arabella odwróciła się tymczasem do asystującego jej wicehrabiego Pilborough.

Augusta przymknęła oczy. Odniosła wrażenie, że temperatura w pomieszczeniu w ciągu ostatniego kwadransa jeszcze się podniosła. Głowa jej ciążyła, szmer rozmów działał usypiająco. Drgnęła i zdecydowana wytrwać co najmniej pół godziny, rozejrzała się za swoimi podopiecznymi.

Lizzie z ożywieniem wymieniała uwagi z grupą debutantek w podobnym jak ona wieku. Najmłodsza z panien Twinning była zaskakująco niewinna i uroczo nieświadoma własnej atrakcyjności. Lady Benborough uśmiechnęła się pod nosem. To musi szybko się zmienić, a tymczasem, póki może, niech Lizzie cieszy się dziewczęcymi chichotami.

Lustrując salon, ciotka Augusta wypatrzyła z kolei Caroline, która przechadzała się z wdziękiem, wsparta na ramieniu pana Willoughby'ego, kawalera w dużej cenie.

- To miłe, że towarzyszy pan siostrze na przyjęciach. Panna Charlotte jest mu z pewnością bardzo wdzięczna. - Dla Caroline konwersacja z nad wyraz powściągliwym panem Willoughbym stanowiła nie lada wyzwanie. Udało jej się w każdym razie wyczarować na jego twarzy namiastkę uśmiechu.

- Tak też sędzę - przyznał. - Prawdę mówiąc, nie ma innej rady. Moja matka jest bardzo delikatnej konstytucji i takie przedsięwzięcia są ponad jej siły, więc zachowałbym się jak gbur, gdybym odmówił Charlotte szansy zdobycia pewnej oglądy, zanim zostanie przedstawiona w towarzystwie.

Ogarnięta poważnymi wątpliwościami, czy długo jeszcze zniesie tę nudną wymianę zdań, Caroline skorzystała z nadarzającej się okazji i przystanęła tuż obok zbliżającej się grupki panien, w której znajdowała się wspomniana Charlotte. Szybko dokonano stosownych prezentacji.

Wdawszy się w nieszczególnie zajmującą rozmowę z panną Denbright, Caroline dyskretnie rozejrzała się po salonie. Poza wicehrabią Pilborough, który w całkiem nieszkodliwy sposób snuł się za Arabellą, oraz Darcym Hamiltonem, zainteresowanym Sarą w znacznie bardziej niebezpieczny sposób, nie dostrzegła dżentelmena, który choć trochę by ją zaciekał. Nie sądziła, by te nudne przyjęcia mogły w jakikolwiek sposób dodać jej pewności siebie, a tym bardziej były do czegośkolwiek potrzebne. Prawie półtora roku balów i bankietów w salach Nowego Jorku dało im wszystkim bardzo solidne podstawy, które wystarczały, żeby bez

obaw myśleć o wejściu w świat londyńskiego towarzystwa.

Caroline wyczekiwała tej chwili chyba jeszcze bardziej niż jej siostry, świadoma przykrego poczucia, że czas nieuchronnie ucieka. Miała cichą nadzieję, że na którymś z tych zgromadzeń pojawi się ich opiekun. Niestety, ku rozczarowaniu Caroline, od czasu przejażdżki po parku się nie spotkali. Bardzo złościło ją to, że wbrew zdrowemu rozsądkowi wyrobiła sobie nawyk porównywania wszystkich spotykanych mężczyzn do księcia Twyford, a co gorsza, żaden nie dorównywał wzorcowi.

Tymczasem lady Benborough, zadowolona, że również trzecia panna Twinning nie potrzebuje wsparcia, zaczęła się rozglądać za ciemną głowę Sary. Pobieżne oględziny salonu nie wystarczyły, więc wyprostowała się zaniepokojona. Przecież Darcy Hamilton niedawno tu był, niech go licho! Od tygodnia pojawiał się wszędzie tam, gdzie one, co samo w sobie było znaczące. Jego zaloty do Sary zwracały coraz większą uwagę. Augusta знаła wszystkich Hamiltonów, również ojca Darcy'ego, a nie wątpiła, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Mogła tylko żywić nadzieję, że Sara jest dostatecznie rozsądna, by... Nie tracąc czasu na próżne deliberacje, lady Benborough rozpoczęła metodyczne i dobrze zamaskowane przeszukiwanie salonu. Ze swojej obecnej pozycji na podwyższeniu miała widok na całe pomieszczenie. Przez chwilę przyglądała się podejrzaną alkwie usytuowanej prawie naprzeciwko niej, potem jednak jej uwagę przykuła inna zaciemniona wnęka.

Ach, więc to tam. Augusta rozpoznała suknię Sary. Tego można było po Darcym się spodziewać. Niby byli jeszcze w salonie, niby widziani przez wszystkich, ale zaciemniona wnęka stwarzała wrażenie sam na sam. Przyjrząwszy się lepiej, Augusta zauważyła z ulgą, że para jedynie rozmawia, siedząc na ławie. Jednak jej doświadczone oko wychwyciło, że poza obojga wskazuje na pewne spoufalenie. Z westchnieniem stwierdziła, że będzie musiała zamienić kilka zdań z Sarą na temat fascynacji mężczyznami w typie Darcy'ego Hamiltona, ponieważ skłonności tego młodego człowieka były powszechnie znane.

Darcy Hamilton właśnie pochylił się nad Sarą.

- Moja droga - zagadnął - czy wiesz, jaką pokusę stanowisz? I jakie wrażenie wywiera twoja uroda na tych, którzy są zaledwie mężczyznami?

Darcy wyciągnął ramię wzdłuż oparcia ławy i zaczął się bawić włosami Sary. Wiedziała, że powinna się odsunąć, ale nie zdołała. Doznania, jakie nagle ją ogarnęły, były nie tylko nowe, lecz także intrygujące. Jednak rozplomieniony wzrok towarzyszącego jej mężczyzny przywrócił jej rozsądek i odpowiedziała

trzeźwo:

- Och, nie. Nie mam pojęcia.

Darcy o mało nie parsknął złością. Do diabła z nią! Panna Sara wydawała się twarda i niewzruszona jak skała, podczas gdy jego serce biło znacznie szybciej niż zwykle. Do pewnego stopnia rozumiał, że panna może jedynie mgliście zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństw ich flirtu, ale był przecież Hamiltonem, a Hamiltonowie nieraz zapominali o rozsądku, gnani pożądaniem. Właśnie w tej chwili Darcy postanowił, że zdobędzie Sarę. Rzecz jasna nie miał złudzeń, że stanie się to tu i teraz, ale był pewien, że kiedyś Sara Twinning będzie należała do niego!

Augusta Benborough z ulgą stwierdziła, że Darcy wyszedł z Sarą z alkowy i zmierza w jej stronę. Gdy podeszła również Caroline, a zaraz za nią Lizzie z Arabellą, podniosła się z swojego miejsca. Przyjęcie dobiegło końca. Jeszcze cztery dni i zacznie się prawdziwy sezon. Uśmiechając się łaskawie do armii dżentelmenów odprowadzających panny Twinning, pomyślała, że tego wieczoru oprócz Darcy'ego Hamiltona nie było żadnego kawalera, który mógłby wzbudzić niepokój przyzwoitki. W sezonie jednak nuda jej nie groziła. Wiedziała, że panny Twinning już się o to postarają.

## *Rozdział czwarty*

Emma, lady Mortland, nie ma prawa do tytułu, pomyślał z wściekłością Maks. Owszem, musiał przyznać, że jest atrakcyjna, a zwłaszcza dla miłośników dużych kobiet, ale jej zachowanie pozostawiało wiele do życzenia. Zatrzymała go prawie natychmiast, gdy wjechał do Hyde Parku. Rzadko tam bywał, jedynie wtedy, gdy wymagała tego konieczność. W konsekwencji lady Mortland przeżyła niemałe zaskoczenie, widząc w alejce jego kariolkę, ciągniętą przez słynne w całym Londynie, pięknie dobrane gniadosze. Maks musiał raptownie ściągnąć wodze, aby zatrzymać pojazd. Zauważalna trudność w prowadzeniu konwersacji, gdy ktoś znajduje się prawie dwa jardy wyżej i zdradza całkowity brak zainteresowania podtrzymywaniem rozmowy, nie zniechęciła lady Mortland, która zrobiła wszystko, by przeciągnąć to spotkanie w nadziei, że uzyska zaproszenie do zajęcia miejsca na koźle. Maks doskonale jednak wiedział, o co jej chodzi, w końcu więc musiała uznać swoją porażkę i pozwolić mu odjechać. Zdażyła jeszcze wystąpić z zawołanym zaproszeniem, które Maks bez skrępów odrzucił. Ponieważ zaś wykazała dostateczny brak rozsądku i prowadziła rozmowę tak, że doskonale słyszeli ją dwaj stojący obok dżentelmeni, sama była winna swojemu późniejszemu zażenowaniu.

Przejeżdżając cienistą aleją, Maks przyglądał się mijanym powozom, ponieważ liczył na to, że zobaczy swoje podopieczne. Od czasu wspólnej przejażdżki nie doszło do kolejnego spotkania, co wymagało od niego niemałej samodyscypliny. Podchwycił jednak pomysł podsunięty mu bezwiednie przez Darcy'ego Hamiltona, który skarżył się na kaprysy Sary Twinning. Stwierdził wówczas, że jego krótka nieobecność korzystnie wpłynie na uległość panny, i postanowił odczekać przynajmniej tydzień, nim złoży wizytę.

Działo się to przed sześcioma dniami. Sezon był tuż-tuż i Maks uznał, że pora nawiązać kontakt z protegowanymi. Upewniwszy się, że ich koni nie ma w stajni, kazał zaprząć kariolkę i wybrał się na poszukiwania do Hyde Parku. Wreszcie wytropił swoją kolaskę stojącą na poboczu jednej z alejek. Zatrzymał kariolkę.

- Ciociu Augusto - odezwał się, skłaniając głowę.

Lady Benborough przesłała mu promienne spojrzenie, wyraźnie zachwycona, że zadał sobie trud, by je odszukać. Maks przesunął wzrokiem po pozostałych użytkowniczkach powozu i zatrzymał go na najstarszej pannie Twinning, która się do niego uśmiechnęła. Nagle coś go tknęło. Jeszcze raz przeliczył głowy w kolasce. Było ich pięć, ale razem z Miriam Alford, a to



znaczyło, że jednej z jego podopiecznych brakuje. Musiało istnieć logiczne wyjaśnienie tej sytuacji. Może po prostu któraś z panien była niedysponowana.

Przez chwilę słuchał gadaniny ciotki, skorzystał jednak z pierwszej okazji, by wtrącić:

- Przepraszam, ciociu, ale moje konie nie mogą długo stać w miejscu. Może panna Caroline miałyby ochotę przejechać ze mną dookoła parku?

Natychmiast usłyszał zgodę i panna Twinning przesiadła się do kariolki. Stateczny klus, dostosowany do tempa pojazdów znajdujących się w parku, wydał jej się i tak o wiele szybszy od ślimaczego tempa kolaski. Bez wątpienia to właśnie było przyczyną nagłej poprawy jej nastroju.

- Dzisiaj nie jeżdżą panie wierzchem? - zagadnął Maks.

- Nie. Lady Benborough była zdania, że nie powinniśmy tak całkiem opuszczać matron.

- Słusznie. Nie warto bez powodu drażnić innych. Caroline przyjrzała mu się z uwagą.

- To pańska filozofia? - Lady Benborough opowiedziała im dostatecznie dużo o przeszłości ich opiekuna, by odpowiedź twierdząca wydawała się mało prawdopodobna.

Maks zmarszczył czoło. Panna Caroline Twinning była stanowczo zbyt domyślna. Na wszelki wypadek zmienił temat.

- Gdzie jest Sara?

- Niedawno porwał ją lord Darcy. Może ich spotkamy, objeżdżając park?

Maks zmełł w ustach przekleństwo. Ciekaw był, ilu przyjaciół zostanie mu pod koniec tego sezonu. Zaraz potem naszła go kolejna myśl.

- Czy ona często widywała się z nim w tym tygodniu? Odpowiedział mu radosny śmiech, który zbił go z pantafyku jeszcze bardziej.

- Jeśli pan pyta o to, czy nas nachodził, to nie. Jednak był obecny chyba we wszystkich salonach, w których pokazałyśmy się w tym tygodniu.

Powinien był się spodziewać dwulicowości przyjaciela. Darcy nie ustępował mu wszak doświadczeniem. Stanowczo powinien zamienić z nim kilka słów przy najbliższym spotkaniu.

- Czy on wykazywał... szczególne upodobanie do Sary?

- Nie - odparła, wyraźnie mając się na baczności. - Na pewno nie uczynił niczego niestosownego. - Ponieważ skwitował jej odpowiedź pytającym spojrzeniem, dodała: - Tyle że Sara jest jedyną panną, na jaką on w ogóle zwraca uwagę. Jeśli jej akurat nie towarzyszy, to albo wychodzi, albo siada do stolika

karcianego lub przygląda jej się z daleka.

Ten opis tak bardzo nie pasował do znanego Maksowi Darcy'ego Hamiltona, że miał na końcu języka pytanie, czy mówią o tym samym człowieku. Przez głowę przemknęła mu myśl, że być może Darcy zadurzył się w Sarze.

Zatrzymali się na chwilę, by wymienić pozdrowienia z lady Jersey, po czym zawrócili ku kolasce.

- Gdzie planują panie pokazać się na balach w najbliższym czasie? - spytał, podjąwszy nagłą decyzję.

- Najpierw już jutro w Almacku, a pojutrze u Billingtonów.

O pójściu do Almacka nie było jednak mowy. Noga Maksa nie powstała tam od wielu lat. Młode, niedoświadczone panienki od dawna go nie interesowały. Naturalnie nie określilby tym mianem Caroline Twinning ani jej młodszych sióstr. W każdym razie postanowił uniknąć jakichkolwiek deklaracji, więc tylko skłonił głowę w odpowiedzi.

W drodze powrotnej Caroline była milcząca. Pytania Maksa wprawiły ją w zakłopotanie. Sarze chyba nie mogło nic grozić w towarzystwie lorda Darcy'ego, wypróbowanego przyjaciela księcia? Opiekuna najbardziej interesowały ich plany towarzyskie, co było zrozumiałe. Mimo to Caroline odczuła pewne rozczarowanie.

Gdy wrócili, Sara już siedziała w kolasce. Jedno spojrzenie na jej chmurną minę wystarczyło za odpowiedź na pytania Maksa. Wyglądało na to, że plany Darcy'ego się nie powiodły. Na razie.

Gdy pomagał Caroline wsiąść z kariolki, przyszło mu do głowy, że nie usłyszał ani jednego zdania na temat swojej tygodniowej nieobecności. Zastosowana przez niego taktyka wyraźnie zawiodła. Co gorsza, w czasie objazdu parku nie zbliżył się do celu ani o krok. Uwiedzenie młodej kobiety w czasie pełnienia funkcji opiekuna jej trzech młodszych sióstr było zdecydowanie trudniejsze, niż mu się początkowo zdawało.

Gdy następnego wieczoru Maks znalazł się na schodkach przed drzwiami Twyford House, wciąż nie był pewien, czy podjął właściwą decyzję. Wiedział, że nie wolno okazywać nadmiernych względów Caroline, ale przecież musiał rozbudzić jej zainteresowanie, bo wkrótce mogło ją otoczyć względami znacznie szersze grono dżentelmenów, z których większość chętnie pojawi się w Almacku.

Nie myślał o tym wieczorze z optymizmem, tym bardziej że przez cały ostatni tydzień ze wszystkich stron słyszał różne wzmianki o swoich podopiecznych. Londyńska socjeta była ich bardzo ciekawa, bo to, co młode, świeże i nowe, zawsze przyciąga uwagę. Maksa niepokoiło jednak najbardziej to,

czego nie usłyszał. Nie raz i nie dwa zdarzyło się, że wszedł do jakiegoś pokoju i rozmowa nagle się urywała, a po chwili gładko zaczynała toczyć się dalej. Wiedział, że w eleganckim świecie jego obowiązki są odbierane zupełnie jednoznacznie i rozciągane również na najstarszą z panien Twinning.

Po wejściu do Twyford House Maks przystanął na chwilę, by zamienić kilka słów z Millwade'em. Zadowolony, że wszystko przebiega gładko, odwrócił się do schodów i wszelkie ponure myśli go opuściły. Urzeczony patrzył, jak siostry Twinning z gracją schodzą do holu. Z uznaniem przyjrzał się każdej po kolei, ale gdy pojawiła się Caroline, widział już tylko ją. Proste linie jedwabnej sukni w pastelowym odcieniu jasnej zieleni z domieszką żółci sugestywnie podkreślały kształt kobiecej sylwetki, a głęboki dekolt zwracał uwagę na obfite piersi.

Caroline stanęła przed nim, wyciągając rękę na powitanie.

- Dziękuję, że pan przyszedł. Mam nadzieję, że nie umrze pan z nudów. - Otrzymałszy liścik Maksa z informacją, że zamierza towarzyszyć paniom w wyjściu do Almacka, lady Benborough niemal zapięła z zachwytu, a gdy już odzyskała spokój, wyjaśniła protegowanym, że księżę żywi głęboką niechęć do tego miejsca.

Maks ucałował dłoń Caroline i powiedział:

- Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby groziła mi nuda. Caroline spłonęła rumieńcem. Na szczęście w zamieszaniu zauważył to tylko Maks. Lady Benborough i Miriam Alford były już gotowe do wyjścia; dwóm przyzwoitkom łatwiej opanować tak liczną gromadkę podopiecznych. Początkowo zamierzano przejechać do celu w dwóch grupach jednym powozem, jednak po przyłączeniu się do nich Maksa Sara i Arabella zabrały się ze starszymi damami, on zaś zaprosił do swojego powozu dwie pozostałe panny Twinning.

Wkrótce cała grupa znalazła się w odświeżeniu wyglądających salach recepcyjnych. Jak zwykle roiło się tam od debutantek i ich mam pełnych nadziei na nawiązanie przez ich latorośle stosownych znajomości z dżentelmenami stanu wolnego. Innymi słowy, Almack był klubem, do którego przynależność stanowiła właściwie obowiązek. Gdy tylko Maks z podopiecznymi i przyzwoitkami przestąpił jego próg, nie ulegało wątpliwości, że są na swoim miejscu. Ku przerażeniu Maksa obiegł ich tłum.

Nieco odsunąwszy się na bok, Maks obserwował, jak siostry zręcznie radzą sobie z adoratorami.

W największej świecie zgromadzonej wokół Arabelli znaleźli się najbardziej zepsuci i niebezpieczni bywalcy salonów. Sara przyciągnęła bardziej wyrafinowaną

grupę dżentelmenów uważanych za dobre partie, natomiast do Lizzie Ignęli najmłodszy i najmniej doświadczony gość Almacka. Maksa szczególnie zainteresował wianuszek wokół Caroline. Dostrzegł w nim niejednego znanego hulakę; wszyscy ci mężczyźni jednak, choć niebezpieczni, byli też doświadczeni i nie należało sądzić, by któryś zaryzykował skandal bez wyraźnej zachęty. W każdym razie Maks uznał, że siostry posiadały umiejętność dostrzegania co bardziej odpowiednich kawalerów. Potrafiły też zręcznie omijać tych, którym natura poskapiła uroku. Maks przyglądał się temu zafascynowany. Już chciał poprosić o wyjaśnienie stojącą obok ciotkę, kiedy ta pospieszyła z nim z własnej inicjatywy.

- Widzisz, nie potrzebujesz się martwić. Te panny mają głowy na karku. Odkąd tylko zaczęły pokazywać się publicznie, zasypują mnie pytaniami, kto jest dobrym kandydatem, a kto nie. Nawet ta szelma Arabella bardzo uważa na to, z kim flirtuje.

Maks zrobił zdumioną minę.

- To proste - dodała ciotka, zdziwiona jego brakiem lotności. - Wszystkim pannom zależy na znalezieniu sobie mężów. Powinieneś być zachwycony, bo to znaczy, że niedługo pozbędziesz się obowiązków.

- Tak, naturalnie - rzekł machinalnie Maks.

Towarzyszył swoim podopiecznym, póki nie poproszono ich do pierwszego tańca. Wypatrzył kilku niepożądanych dżentelmenów zbliżających się do sióstr, ale jego wymowne spojrzenia podziały odstraszać. Taki przynajmniej był pozytywny efekt jego obecności. Po pewnym czasie udało mu się wypatrzyć Darcy'ego Hamiltona, który akurat wchodził do sali, gdzie wystawiono napoje i przekąski.

- Oczekałeś, co? - burknął, stając za plecami przyjaciela.

Darcy zakrztusił się lemoniadą, a Maks spojrzał ze zgrozą na zawartość szklanki.

- Niech mnie! Ćwiczysz wstrzemięźliwość?

- Musiałem się czegoś napić, a to wydawało mi się najlepsze z tych wszystkich paskudztw - wyjaśnił Darcy Hamilton, wymownie się krzywiąc. - Pić się chce, kiedy człowiek tańczy z tą twoją pupilką.

- Nawiasem mówiąc... - podjął Maks, wyraźnie zmierzając do wydania kategorycznego sądu.

Przyjaciel powstrzymał go uniesieniem dłoni.

- Nie zaczynaj, proszę. Nie chcę słuchać pouczeń na ten temat. Poza tym nie masz powodu się martwić. Sara Twinning szuka męża i dobrze wie, czego chce.

- Nie dopisało ci szczęście? - Maks nie umiał ukryć satysfakcji.

- Ani trochę! - odrzekł Darcy. - Jestem bliski oświadczyć, ale nie wiem, czy nie zostaną odrzucone, a tego bym nie zniósł.

Maks popadł w zadumę i również poczęstował się lemoniadą.

- Czy wiesz, co ona mi wczoraj powiedziała? - spytał wzburzony Darcy. - Nie dasz wiary! Że za dużo czasu poświęcam koniom, a za mało temu, co naprawdę ważne.

Maks omal nie wybuchnął głośnym śmiechem. Stajnie lorda Darcy'ego Hamiltona znano jak Anglia długa i szeroka. Należały do największych i pochodziły z nich najlepsze konie wyścigowe w kraju.

- Szczerze wątpię, czy ona potrafi docenić twoje zainteresowanie tą dziedziną - powiedział ugodowo.

- Ha! - Darcy odstawił szklanę. - Idę poszukać Marii Sefton. Spróbuję ją przekonać, żeby pozwoliła mi zatańczyć z Sarą walca. Tego przynajmniej Sara nie będzie mi mogła odmówić. - Skinął głową i wrócił do głównej sali.

Maks stał jeszcze przez kilka minut w tym samym miejscu. Nagle i on odstawił szklanę i ruszył śladem przyjaciela.

\* \* \*

- Chce pan, żebym udzieliła jego podopiecznej pozwolenia na zatańczenie z nim walca? - powtórzyła lady Jersey, nie umiejąc rozstrzygnąć, czy prośba jest istotnie tak niewinna, jak się zdaje, czy kryje się za nią coś więcej.

- Nie ma w tym zasadniczo nic dziwnego - wyjaśnił spokojnie Maks. - Ona jest nieco starsza od reszty, a ponieważ tu jestem, wydaje się to całkiem stosowne.

- Hm... - Sally Jersey nie bardzo wierzyła w szczerą intencję księcia Twyford. Już sam fakt, że przestąpił próg Almacka, wzbudził jej podejrzliwość. Stała się jeszcze bardziej nieufna, gdy Twyford nie wyszedł natychmiast, przekonawszy się, że jego protegowane dobrze się bawią. Oczywiście pozycja księcia Twyford miała swoją wagę. Jeśli więc chciał zatańczyć ze swoją podopieczną... Lady Jersey wzruszyła ramionami. - Dobrze. Niech pan przyprowadzi do mnie pannę Caroline. Naturalnie jeśli zdoła ją pan uwolnić od jej dworzan.

Maks uśmiechnął się w taki sposób, że lady Jersey natychmiast przypomniała sobie, jaką opinią cieszy się książę Twyford.

- Jakoś sobie poradzę - wycedził, wykonując ukłon nad jej dłonią.

\* \* \*

Caroline zdziwiła się, że Maks tak długo pozostaje w salach recepcyjnych. Na chwilę straciła go z oczu i próbowała skupić uwagę na swoich adoratorach, spodziewała się bowiem, że księżę wkrótce pójdzie poszukać gdzie indziej bardziej wyrafinowanych rozrywek. Wkrótce jednak zobaczyła znajomą wysoką postać. Maks rozglądał się, a chwilę potem ich spojrzenia się spotkały. Zaraz też przecisnął się przez tłum i stanął przy niej.

Caroline miała nadzieję, że flirt, w jaki się wdała z pewnym podstarzałym baronem, zamaskuje to, co się z nią dzieje. Serce bowiem zabiło jej nagle dużo gwałtowniej. Maks skłonił się nad jej dłonią z dość znudzoną miną i rozpoczął z jej partnerem rozmowę o jakimś polowaniu, więc szybko ochłonęła. Nie zorientowała się nawet, jak i kiedy Maks zdołał odłączyć ją od kręgu adoratorów, twierdząc, że ma ważną sprawę do omówienia. I oto szła przez salę, nie wiadomo dokąd, wsparta na jego ramieniu.

- Co chciał mi pan powiedzieć?

- Wielkie nieba! Myślałem, że pani opanowała takie sztuczki.

Caroline podjęła próbę odzyskania inicjatywy.

- Dokąd idziemy?

- Na spotkanie z lady Jersey - odrzekł z uśmiechem Maks.

- Po co?

- Cierpliwości, słodka Caroline - zabrzmiała zuchwała odpowiedź. -

Wszystko w swoim czasie.

Damę znaleźli przy wyjściu z głównej sali.

- O, jest pan, Twyford!

Lady Jersey utkwiała wzrok w dygającej Caroline, ale pochwyciwszy spojrzenie jej opiekuna, ugryzła się w język i nie zadała cisnącego jej się na usta pytania.

- Moja droga panno Twinning - zaczęła poważnie. - Pani opiekun zwrócił się do mnie o pozwolenie na zaproszenie pani do walca, a ja bez wahania tego pozwolenia udzielam.

Właśnie rozległa się muzyka, więc ledwie Caroline zdążyła wybąkać kilka słów podziękowania dla lady Jersey, a już Maks porwał ją na parkiet.

Trzymał ją nieco bliżej siebie, niż było to niezbędne, jednak gdy wirując, przemieszczali się po sali, stwierdziła, że dla obserwatorów nie ma w tej pozycji niczego niewłaściwego. Tylko ona widziała budzący zmieszanie błysk w jego niebieskich oczach i słyszała ciepły ton, gdy mówił:

- Jest pani znakomitą tancerką, moja droga panno podopieczna. Proszę mi zdradzić, jakie jeszcze ukryte talenty powinienem poznać.

Caroline nie mogła oderwać od niego wzroku. Dobrze rozumiała, co powiedział, ale nie była w stanie wykrzesać z siebie oburzenia. Zbyt trudno było jej pojąć, że mimo pełnienia odpowiedzialnej funkcji opiekuna Maks Rotherbridge zamierza ją uwieść. Przez cienki jedwab sukni czuła żar jego dłoni na plecach, widziała pragnienie w spojrzeniu, a wszystko to działo się na oczach największych plotkarek w Londynie.

Zachowała przynajmniej na tyle przytomności umysłu, by przez cały czas pamiętać o uśmiechu, ale myśli w głowie wirowały jej szybciej niż stopy w tańcu.

- Och, Twinningowie mają wiele zalet, mój szanowny opiekunie. - Ulżyło jej, gdy usłyszała, że jej głos brzmi beztrosko. - Z pewnym wstydem muszę jednak przyznać, że są beznadziejnie przyziemni.

- Proszę uwierzyć, droga panno podopieczna - odparł ze śmiechem - że talentów, o których myślę, na pewno ma pani pod dostatkiem. - Głos Maksa zamienił się w uwodzicielski szept. - Choć naturalnie brakuje pani doświadczenia. Zapewniam jednak, że temu kłopotowi można łatwo i skutecznie zaradzić.

Tego było za wiele. Caroline uznała, że czas uzdrowić sytuację. Spojrzała prosto w oczy Maksa.

- To niemożliwe.

Zaskoczyła go, poczucie humoru pomogło mu jednak szybko dojść do siebie.

- Nie?

- Bez wątplenia nie - odparła spokojnie. - Pan jest moim opiekunem, a ja jego podopieczną. Dlatego jest absolutnie niemożliwe, żeby powiedział pan to, co przed chwilą.

Tą odpowiedzią panna Twinning wzbudziła uznanie Maksa. Musiał przyznać, że nie będzie mu łatwo zburzyć tak wzniesione mury obronne. Doszedł do wniosku, że lepiej z wdziękiem się wycofać.

- Jak wobec tego podoba się pani Almack?

Caroline z ulgą przyjęła ofertę rozejmu i choć dalej toczyli lekką rozmowę, to już bez akcentów osobistych.

Gdy taniec się skończył, Maks odprowadził Caroline do jej świty, i tylko spojrzenie, jakie jej przesłał, przyprawiło ją o rumieniec. Potem zobaczyła go dopiero wtedy, gdy nadszedł czas powrotu do domu. Ponieważ jednak wcześniej postanowiła nie rozważać jego zachowania, nie dopilnowała również zamiany miejsc w powozie. Uprzytomniła sobie to niedopatrzenie, bo Lizzie pociągnęła ją

za rękaw i powiadomiła, że reszta już odjechała. Jednak o umiejętnościach strategicznych swojego opiekuna miała się przekonać dopiero w drodze do domu.

Siedzieli z Maksem po jednej stronie, a Lizzie zajęła miejsce naprzeciwko, wtulona w kąt. Odjechali z King Street w milczeniu, Lizzie była bowiem zanadto zmęczona, by rozmawiać, Caroline rozmyślała, a księżę nie odzywał się z wyrachowania. Byli jeszcze dość daleko od Mount Street, gdy niespodziewanie ujął Caroline za rękę, uniósł ją do ust i ucałował.

Po ciele Caroline przebiegł miły dreszczyk, a on tymczasem obróciwszy jej dłoń, złożył kolejny pocałunek, tym razem na jej przegubie. Wrażenia, choć bardzo przyjemne, były jednak niczym w porównaniu z tymi, które ją ogarnęły, gdy Maks odnalazł jej usta.

Jeśli o księcia chodzi, uważał, że zachowuje godną podziwu powściągliwość. Dobrze wiedział, że Lizzie smacznie śpi, a jego najstarsza podopieczna jest znacznie bardziej bezbronna niż zwykle. W każdym razie całował ją z umiarem i pilnował, by sprawy nie wymknęły się spod kontroli, a gdy wreszcie doczekał się upragnionej odpowiedzi, po chwili cofnął wargi.

Caroline spoglądała na niego rozwartymi szeroko i lśniącymi oczami. Nagle przeniosła wzrok na siostrę.

- Proszę się nie obawiać. Lizzie śpi jak suseł - powiedział ściszym głosem Maks.

Caroline nie bardzo wiedziała, jak zareagować. Powóz zaczął zwalniać.

- Bezpiecznie dojechała pani do domu - oświadczył kpiącym tonem Maks.

Oszołomiona Caroline pomogła mu obudzić Lizzie, a potem Maks przykładowo odprowadził je do drzwi, choć na wargach błąkał mu się przewrotny uśmiezek.

\* \* \*

Arabella powstrzymała westchnienie i uśmiechnęła się wdzięcznie do gorliwego młodego człowieka, który prowadził ją w kolejnym niekończącym się walcu. Wystarczyło jej kilka dni sezonu, by zyskać rozeznanie w grupie potencjalnych kandydatów na męża. Doszła jednak do dość przygnębiającego wniosku, że żaden z nich nie spełnia niezbędnych warunków. Chłopcy byli zbyt młodzi, mężczyźni za starzy, wyglądało zaś na to, że pośrodku panuje pustka. Zapewne wielu kandydatów w odpowiednim wieku wyruszyło walczyć w wojskach Wellingtona, ale chyba musieli istnieć tacy, których obecność na miejscu była niezbędna, aby państwo mogło normalnie funkcjonować. Arabella nie



potrafiłaby opisać swojego ideału, wiedziała jednak, że poznałaby go od pierwszego wejrzenia. Tymczasem widok żadnego z mężczyzn znajdujących się w jej otoczeniu nie przyspieszał jej tętna.

Podtrzymując z partnerem konwersację o niczym, Arabella wypatrzyła najstarszą siostrę wirującą w walcu z ich opiekunem. Nie miała żadnych wątpliwości, dlaczego oczy Caroline lśnią, a policzki barwi lekki rumieniec. Czy jednak opiekun może się ożenić ze swoją podopieczną? I, co wydawało się bardziej istotne, czy ich opiekun myślał o małżeństwie, czy raczej o innym rodzaju umowy? Mimo wszystko Arabella pokładała w siostrze pełne zaufanie. Caroline umiała poradzić sobie z adoratorami. Inna sprawa, że żaden nie wywarł na niej takiego wrażenia jak Maks Rotherbridge.

- Odprowadzę panią do lady Benborough.

Głos partnera wyrwał ją z głębokiej zadumy. Arabella podziękowała z uśmiechem i powiedziała:

- Chyba rozdarłam sobie falbanę przy sukni. Pójdę ją spiąć. Może zechce pan dać znać lady Benborough, że za chwilę wrócę?

Oczarowany jej spojrzeniem, skłonił się i znikł w tłumie. Falbana przy sukni była oczywiście nietknięta, ale Arabella potrzebowała odrobiny świeżego powietrza, a poza tym wiedziała, że nie znieś następnej długiej i śmiertelnie poważnej konwersacji z tym młodym dżentelmenem.

Upewniwszy się, że lady Benborough nie przejęła się szczególnie otrzymaną wiadomością, ruszyła do drzwi i zderzyła się z męskim torsem o imponującej szerokości.

- Ojej.

Podniosła głowę i zrozumiała, że oto stoi przed nią jej ideał.

- Bardzo przepraszam, moja droga. Nie zauważyłem pani.

Mężczyzna był wysoki, nawet bardzo, i wyjątkowo szeroki w barkach, miał kręcone jasne włosy i roześmiane orzechowe oczy. Na widok jego uśmiechu pod Arabellą ugięły się kolana. Dżentelmen sprawiał wrażenie rozbawionego jej reakcją, ale tylko uprzejmie skłonił głowę i odszedł.

Oszołomiona panna ocknęła się dopiero po chwili i zorientowała, że wlepiła wzrok w znikające męskie plecy. Otrzeźwiawszy nieco, wyruszyła na poszukiwanie saloniku oddanego do dyspozycji paniom, chcącym odpocząć lub odświeżyć swój wygląd. Z pomocą pożyczonego wachlarza i szklanki zimnej wody zdołała odzyskać wygląd kobiety opanowanej. W środku jednak wszystko się w niej burzyło.

Jeszcze żaden dżentelmen nie odszedł od niej w taki sposób. Ta rola należała do niej! Mężczyźni zazwyczaj starali się pozostać u jej boku najdłużej jak to możliwe. Arabella nie była próżna, ale niezwykle ją zainteresowało, co mogło być większą atrakcją niż ona. Czyżby w mężczyznę nie trafił ten sam grom z jasnego nieba, co w nią? Może nie lubił kobiet? Niemożliwe. Nie z takim wyglądem. Zresztą kiedy teraz zastanawiała się na chłodno, musiała uznać, że spojrzenie, jakim wędrował przez chwilę po jej ciele, było w najwyższym stopniu impertynenckie.

Wróciła do sali tanecznej z zamiarem przywołania postawnego dżentelmena do porządku przynajmniej po to, by nabrać przekonania, że się co do niego omyliła. Czekał ją jednak zawód. Na sali go nie było. Przez resztę wieczoru tropiła swoją zwierzynę z wielką uwagą, ale bez powodzenia. Dopiero tuż przed ostatnim tańcem, jeszcze jednym walcem, nieznajomy ukazał się w drzwiach pokoju do gry w karty.

Otoczona switą wielbicieli, Arabella tryskała energią. Z zachwycającym uśmiechem otwarcie roztrząsała kwestię, komu tym razem pozwoli zostać swoim tancerzem. Kątem oka widziała, jak interesujący ją dżentelmen zmierza w jej stronę. O zgrozo, przeszedł obok, by poprosić do walca zupełnie przeciętną pannę w przesadnie udekorowanej różowej sukni.

Zirytowana Arabella przygryzła wargę, zdołała jednak udać, że to chwila skupienia przed ostatecznym podjęciem decyzji. Gdy muzycy zagrali pierwszy takt, wybrała na partnera przystojnego lorda Tullocha i pieczołowicie obdarzała go względami przez resztę wieczoru.

## *Rozdział piąty*

Maks się martwił, i to bardzo poważnie. Od czasu pierwszego wieczoru w Almacku to, co działo się między Sarą Twinning a Darcym Hamiltonem, szybko zmierzało w niebezpiecznym kierunku. Obserwując Sarę podczas balu u lady Overton, Maks miał posępną minę. Gdyby w pierwszych dniach sprawowania przez niego funkcji opiekuna ktoś spytał go, czy sympatyzuje z pannami Twinning, czy raczej z londyńskimi dżentelmenami, bez wahania wskazałby swoje podopieczne. Wszak cztery ładne, lecz stosunkowo niedoświadczone panny ze wsi potrzebowały wsparcia, aby skutecznie bronić swojej cnoty przed najbardziej zepsutymi hulakami londyńskiego towarzystwa. Teraz, po miesiącu, zorientował się, że są sprytne i przewrotne, i nie był już taki pewien tej opinii.

Zdawał sobie sprawę, że wobec Caroline dopuścił się karygodnego błędu tamtego wieczoru, po wizycie w Almacku. Ilekroć próbował się do niej zbliżyć, otaczała ją świta adoratorów, a jeśli nawet nie, to zawsze towarzyszyła jej przynajmniej jedna siostra.

Zarówno Arabella, jak i Sara całkowicie ignorowały jego dyskretne wysiłki, by się ich pozbyć. Również Lizzie nabrała doświadczenia i nie przypuszczał, żeby udało mu się ponownie to samo, co za pierwszym razem. Nie mógł też zażądać od sióstr wprost, żeby zostawiły go samego z Caroline. Roześmiałyby mu się w twarz, a co gorsza, stałyby się celem ich złośliwych uwag. Raz nawet dostał się już pod ostrzał Arabelli, na szczęście prowadzony z dostateczną maestrią, żeby reszta grupki nie rozumiała, w czym rzecz.

Zerknął ku szezlongowi, na którym siedziała Arabella otoczona tłumkiem rozmarzonych młodzieńców. Właśnie trafiła jakąś celną uszczypliwością jednego z adoratorów, a potem zerknęła nader zachęcająco ku stojącemu niemal dokładnie przed nią przystojnemu, jasnowłosemu olbrzymowi. Maks zdrętwiał. Do diabła! Musiał jak najszybciej przerwać tę gierkę. Hugo, lord Denbigh, był wprawdzie kilka lat od niego młodszy, ale osiągnięciami towarzyskimi niewątpliwie mu dorównywał. Właśnie skorzystał z tego, że cała uwaga grupki skupiła się na ofercie przytyku, i szepnął coś Arabelli do ucha, po czym wyciągnął rękę i poprowadził dziewczynę na parkiet. Rozległy się pierwsze tony walca.

Wiedząc, że w zatłoczonej sali balowej Hugo nie ma szans na uzyskanie znaczących postępów, Maks postanowił nazajutrz przed południem złożyć wizytę ciotce i pannom, by jasno wyłożyć im swoje poglądy na czynienie zachęt doświadczonym bywalcom salonów. Zaraz nasza go jednak niezbyt optymistyczna

refleksja. Jak miał polecić Arabelli, żeby skończyła flirt z Hugonem, który był jawnym hulaką, skoro sam wychodził z siebie, aby uwieść Caroline, a jego najlepszy przyjaciel miał podobne intencje wobec Sary?

Przypomniawszy sobie, co skłoniło go do zatrzymania się w drzwiach łączących salę taneczną z salonem, w którym ustawiono stoliki do gry w karty, Maks wrócił spojrzeniem do Sary Twinning. Nie wyglądała najlepiej, lecz Darcy, siedzący przy stoliku do gry w karty, wyglądał jeszcze gorzej. Przez cały wieczór pił i choć daleko mu było jeszcze do zwalenia się na podłogę, osiągnął już dość niebezpieczny poziom upojenia. Maks potrafił nawet wykazać zrozumienie dla przyjaciela, jakkolwiek żywił nadzieję, że jego własne zainteresowanie najstarszą panną Twinning nie doprowadzi go do tak żalosego stanu. Z Darcym przyjaźnił się od piętnastu lat i przez ten czas przyjaciel nie pragnął aż tak bardzo jednej kobiety. Darcy, podobnie jak on, był doświadczonym kochankiem, lubił romanse oparte na prostych i nieskomplikowanych zasadach. Jeśli kobieta miała zbyt duże wymagania, rezygnował i zwracał się ku kolejnej. Wyglądało jednak na to, że porażki z Sarą nie potrafi przełknąć.

Mimo woli Maks zawędrował wzrokiem do miejsca, w którym stała Caroline Twinning. Otaczająca ją grupka składała się głównie z mężczyzn. Caroline roześmiała się w odpowiedzi na jakieś spostrzeżenie, a jej miedziane pukle odbijały blask bijący od wielkich kandelabrow. Widocznie jednak poczuła na sobie jego spojrzenie, bo odwróciła głowę i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem jakby nigdy nic zajęła się znowu swoim towarzystwem, a Maks odszedł. Niestety, musiał przyznać, że ma podobny problem jak Darcy. Nie wydawało mu się, by mógł pohamować swoje zapędy.

Zatrzymując się to tu, to tam, by zamienić z kimś kilka zdań, zmierzał ku ciotce Auguście siedzącej w intensywnie fioletowej sukni na szeszlunku pod ścianą. Zanim jednak dotarł do celu, ktoś pociągnął go za ramię. Odwrócił się i ujrzał przed sobą ostre rysy Emmy Mortland.

- Książę, minęły wieki od naszej ostatniej... rozmowy. - Zerknęła na niego zalotnie piwnymi oczami.

Maks miał nawet na końcu języka radę, aby Emma wzięła kilka lekcji flirtu u Arabelli, ale tylko zdjął jej rękę ze swojego przedramienia, skłonił się i z naciskiem odpowiedział:

- Bez wątplenia wie pani, Emmo, że obowiązki pochłaniają mi czas.

Tym beztróskim użyciem jej imienia zamierzał ją rozdrażnić, ale lady Mortland, widząc zaangażowanie Twyforda w sprawy podopiecznych, a zwłaszcza

najstarszej z nich, szybko doszła do wniosku, że musi za wszelką cenę rzucić księcia na kolana, bo inaczej nici z nadziei na diadem księżnej. Ponieważ zaś nie grzeszyła nadmiarem rozumu, szczerze wierzyła, że pożądanie, które ściągnęło Maksa Rotherbridge'a do jej łóża, wystarczy, by wystąpił z oświadczeniami. Posłała mu więc powłóczyście spojrzenie spod długich rzęs i westchnęła ze zrozumieniem:

- Och, wiem, mój drogi. Bardzo panu współczuję. Sprawowanie opieki nad czterema pannami ze wsi musi być bardzo nużące. Z pewnością jednak mógłby pan wygospodarować dla nas kilka godzin, aby się trochę odprężyć.

Nie pierwszy raz Maksa zastanowiło, gdzie ta kobieta ma rozum. Właśnie uświadomił sobie, że Emma Mortland jest o rok młodsza od Caroline. Z jedyne go ich spotkania, które zakończyło się w łóżu, wiedział, że jej przesadnie ozdobna, wręcz frywolna bielizna maskuje bardzo mało atrakcyjną figurę. Brakowało jej kobiecych krągłości, które tak mu się podobały u Caroline. Poza tym odnosiło się wrażenie, że całą energię życiową Emmy pochłania intrygowanie. Maks nie potrafił zrozumieć, dlaczego ta kobieta upodobała sobie właśnie jego, doskonale wiedział bowiem, że pościel w jej łóżu oglądało również kilku innych dżentelmenów, nie wyłączając Darcy'ego. Już miał dać Emmie ostrą odprawę, gdy z grupki, którą przedtem obserwował, dobiegł go znajomy radosny śmiech. Natychmiast pojawił się w jego głowie plan, niezwłocznie też przystąpił do wykonania.

- Czytasz w moich myślach, miła - zwrócił się do lady Mortland, której wyraźnie ulżyło.

Nie mógł zdobyć się na pocałowanie jej w rękę, więc ograniczył się do przesłania porozumiewawczego spojrzenia. Potem zaś, wykorzystując długie lata praktyki, rozpoczął dość ryzykowną konwersację, która powinna była utrafić w gust jego rozmówcy. Wkrótce i ona beztrąsko z nim flirtowała. Gdy przy pierwszych taktach walca prowadził ją na parkiet, kątem oka spojrzał na Caroline. Dostrzegł na jej twarzy wyraz zdziwienia.

Uśmiechając się diabolicznie, Maks popychał Emmę ku granicom dopuszczalnego flirtu. W końcu, usatysfakcjonowany wyreżyserowaną przez siebie sceną, podniósł głowę, by przekonać się, jaki efekt wywarł na Caroline widok lady Mortland w jego ramionach. Ku swemu żalowi stwierdził, że najstarszej podopiecznej nie ma już tam, gdzie widział ją ostatnio. Chwila gorączkowych poszukiwań pozwoliła mu ją jednak umiejscowić. Caroline tańczyła z bardzo odpowiednim partnerem, panem Willoughbym. Tym samym, o którym Maks wiedział, że bardzo pilnie się do niej zaleca. Zmełszy przekleństwo pod nosem,

zajął się więc ponownie lady Mortland, choć już bez wcześniejszego zaangażowania.

Zamierzał uwolnić się od towarzystwa tej damy, gdy tylko wybrzmi ostatni dźwięk walca, ale wtedy akurat znaleźli się znów blisko Caroline i jej partnera. Emma rozkwitła, gdy Maks, kątem oka zerkając na Caroline, przysunął się do niej bliżej i szeptem zaprosił ją do ogrodu. Zgodnie z przewidywaniami wydała pomruk zachwytu i z nadzieją na dalsze przyjemności pozwoliła się wyprowadzić na taras.

\* \* \*

- Ja na dzisiaj kończę. - Darcy Hamilton rzucił karty na stół i odsunął krzesło.

Żaden z pozostałych graczy nie zdziwił się nagłym odejściem. Lord Hamilton był wyśmienitym graczem, tego wieczoru jednak wyraźnie myślał o czym innym. W dodatku brandy, którą wypił, z pewnością nie rozjaśniła mu w głowie, choć do sali balowej wszedł całkiem pewnym krokiem.

Na miejscu omiół wzrokiem muzyków przygotowujących instrumenty i wypatrzył swój łup. Sara musiała wyczuć, że podchodzi, bo nagle się odwróciła. Nieufność widoczna w jej oczach nagle poruszyła jego sumienie. Decyzji jednak nie zmienił.

- To chyba mój taniec.

Dobrze wiedział, że nie jest to prawda, ale zanim Sara zdążyła otworzyć usta, porwał ją na parkiet. Oboje znakomicie tańczyli i poruszali się z naturalną łatwością i wdziękiem. Umieili też ukryć absorbujące ich uczucia i przybrać wyraz spokoju, który osłaniał ich przed wścibstwem obserwatorów.

Sara nie miała pojęcia, czym zakończy się ta dziwna znajomość, ale czuła, że oboje bardzo cierpią. Darcy wypełniał jej myśli dzień i noc, lecz mimo zachęt z jej strony nie chciał podjąć tematu małżeństwa. Zamiast tego roztaczał przed nią wizje zakazanych rozkoszy. Sara była zdecydowana nie przyjmować tego rodzaju propozycji. Dałaby wszystko, aby zostać żoną Darcy'ego, ale pozycja kochanki jej nie interesowała. Lady Benborough z wielką życzliwością uświadomiła jej, że Darcy jest zdeklarowanym kawalerem, zanadto zaangażowanym w sprawy swoich stajni, by szukać żony i chcieć założyć rodzinę. Sara doszła więc do wniosku, że im szybciej zakończy znajomość, tym lepiej.

Lady Benborough nie myliła się, kawalerskie życie bardzo odpowiadało Darcy'emu. Odkąd jednak poznał Sarę Twinning, wszystko się zmieniło. Naturalnie doskonale wiedział, jak bardzo jej się podoba.

Mimo to Sara zdecydowanie odrzucała składane przez niego propozycje wprowadzenia jej do świata zmysłów i rozkoszy, a właściwie odsuwała ich przyjęcie w nieokreśloną przyszłość, domagała się bowiem małżeństwa. To było jak przykładanie pistoletu do głowy. Taka taktyka budziła u Darcy'ego gwałtowny sprzeciw. Przemyślał kwestię ślubu i doszedł do wniosku, że uzyskałby niewiele korzyści. Przymus irytował go dodatkowo. Teraz, gdy muzyka milkła, spojrzał w piękne oczy Sary i postanowił dać jej jeszcze jedną szansę ogłoszenia kapitulacji. Wiedział, że jeśli tym razem mu się nie uda, będzie musiał wyjechać i zrezygnować z pokazywania się w Londynie do końca sezonu.

Sara już chciała odejść, by dołączyć do czekającej lady Benborough, gdy Darcy ujął ją za ramię i zręcznie pociągnął ku drzwiom na taras. Zorientowała się w tym manewrze i zaczęła stawiać opór, ale uspokoił ją kilkoma szybko rzuconymi słowami:

- Chcę tylko z panią porozmawiać. Chodźmy do ogrodu.

Kamienny taras biegł wzdłuż całej długości domu, a schody przy jego końcu prowadziły na niższy poziom, do ogrodu. Pochodnie wyznaczały bieg parkowych alejek, w których można było dostrzec zarys niejednej pary. Darcy bez pośpiechu sprowadził Sarę na dół. Rześkie wieczorne powietrze chłodziło rozpalone głowy. Szli w milczeniu, ciesząc się swoją obecnością. Przy końcu alejki znajdowała się biała altanka, zgodnie z nadzieją Darcy'ego pusta.

Sara przystanęła pośrodku mrocznego wnętrza i spojrzała na Darcy'ego, który ujął ją za ręce. Przez chwilę trwali tak, patrząc sobie w oczy. Potem Darcy pochylił się i odnalazł usta Sary, która, urzeczona nastrojem, pozwoliła się objąć. Poddała się pragnieniu i rozchyliwszy wargi, cieszyła się pocałunkiem. To właśnie w tym momencie Darcy skradł jej duszę.

Pieszczota stawała się coraz bardziej intymna; Darcy przesuwał dłonią po plecach Sary, powoli docierając coraz niżej. Sara uświadomiła sobie nagle, co się dzieje. Przestraszona, wyrwała się z objęć Darcy'ego i zaczęła uciekać.

Zaskoczony Darcy stał samotnie pośrodku altany. Zerknął na żółtą kokardkę z sukni Sary, która zaczepiła się o mankiet jego fraka, i strząsnął ją na podłogę. Potem podszedł do drzwi, których trzask zdążył już wybrzmieć, otworzył je i zaczął nasłuchiwać oddalających się kroków.

Sara rzuciła się w stronę zarośli otaczających altankę. Biegła, póki nie zabrakło jej tchu, aż wreszcie, łapiąc ustami powietrze, przystanęła w ogródku urządzonym wśród równo przyciętych żywopłotów. Dostrzegła tu marmurową ławeczkę. Bezsilnie opadła na nią i ukryła twarz w dłoniach.

Darcy podążał za nią, kierując się wyraźnie słyszalnym chrzęstem żwiru. Gdy jednak dotarł do miejsca, gdzie wśród wysokich żywopłotów alejki porosły trawą, stracił trop. Dopiero po dobrym kwadransie dostrzegł postać skuloną na ławce.

Sara zdążyła ochłonąć. Ustąpiło przerażenie słabością, jaką okazała. Była zła na siebie, nie rozumiała, jak jeden pocałunek mógł ją całkowicie rozbroić. Była również zła na Darcy'ego za sprowokowanie tej sceny. Właśnie powtarzała sobie gniewnie, że już nigdy więcej go nie zobaczy, gdy stanął obok niej. Zerwała się na równe nogi.

Ucieszywszy się, że Sara nie płacze, Darcy natychmiast chwycił ją za rękę, żeby zapobiec kolejnej ucieczce. Szarpnęła się, ale bez powodzenia.

- Niech pan mnie z łaski swojej puści, lordzie Darcy - syknęła.

- Dobrze, ale musi pani dać mi słowo, że nie będzie próbowała uciec.

Sara milczała.

- Chciałem, moja droga, porozmawiać o naszej... dziwnej znajomości - powiedział Darcy.

- Nie sędzę, żeby było o czym.

- Czyli zaprzecza pani, że coś nas łączy?

- To nie ma znaczenia, czy cokolwiek nas łączy - odparła zadowolona z tego, że jej głos zabrzmiał pewnie.

Krótko jednak cieszyła się satysfakcją. Darcy wykorzystał chwilę nieuwagi Sary, stanął za nią i objąwszy ją od tyłu, przyciągnął do siebie. Zmartwiała. Tak ją zaskoczył, że nie zdołała stawić oporu.

- Masz rację, gołąbeczko - odezwał się. - Niewiele nas łączy. Może powinniśmy to zmienić?

Z tymi słowami Darcy zaczął delikatnie całować ją po karku, za każdym razem odrobinę przesuując usta. Sara musiała w duchu przyznać, że jest to bardzo przyjemne.

- Już od kilku tygodni mówię, że marnujesz się jako dziewica. Pomyśl tylko o wszystkich tajemnicach rozkoszy, które moglibyśmy wspólnie odkryć, gdybyś została moją kochanką.

- Nie chcę zostać pańską kochanką! - Sara naparła na trzymające ją ramię, uznała jednak, że nie ma szans się wyrwać.

- Nie? - Głos Darcy'ego zadzwęczał jej tuż przy uchu. - Może warto by poszerzyć twoją wiedzę, moja droga? Powinnaś być w pełni świadoma tego, co odrzucasz. Nie chcemy chyba, żebyś podjęła błędną decyzję dlatego, że niczego nie



spróbowałaś, prawda?

Sara nie bardzo rozumiała, o czym Darcy mówi, on tymczasem znów zaczął okrywać pocałunkami jej szyję. Wrażenia, które to w niej budziło, były w najwyższym stopniu niepokojące.

- Niech pan przestanie! Dobrze pan wie, że nie powinien tego robić!  
Znieruchomiał.

- Tak, masz rację. Wiem, że nie powinienem. - Musnął wargami jej obojczyk. - A jednak pragnę, żebyś dzieliła ze mną pieśczoćy. Ponieważ nie chcesz się na to zgodzić, muszę tymczasem zadowolić się tym, co mam.

Sara nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Miała wrażenie, że całe jej ciało zaczyna płonąć.

Darcy też nie rozumiał tego, co stało się potem. Zamierzał tylko uzmysłowić tej upartej istocie, jakie są jej rzeczywiste pragnienia, i dać jej przynajmniej namiastkę prawdziwej rozkoszy, jaką mogliby razem przeżyć.

Tymczasem Sara nagle zaczęła gorliwie odpowiadać na jego pieśczoćy, obrócił ją więc ku sobie, by mieć w zasięgu jej usta i móc poprowadzić lekcję dalej. I rzeczywiście, lekcja była dużo dłuższa, aż wreszcie księżyc znikł za chmurami i pozostawił ich w całkowitej ciemności.

\* \* \*

Jak, u diabła, pozbyć się tej kobiety? Książę, prowadząc lady Mortland, dwa razy pokonał już długość tarasu. Nie chciał schodzić w cieniste alejki. Nie zamierzał dłużej poświęcać swej uwagi lady Mortland. Tymczasem ona niecierpliwie czekała, kiedy partner zacznie okazywać jej względy.

Właśnie zawracali po raz kolejny, gdy Maks spostrzegł Caroline, która szybkim krokiem opuściła salę taneczną, podeszła do balustrady i rozejrzała się na wszystkie strony. Niewątpliwie kogoś szukała. Wykazując refleks godny jednego z najbardziej doświadczonych uwodzicieli w towarzystwie, Maks, wykorzystując najbliższe wejście, skręcił ze swoją towarzyszką do sali tanecznej.

Znalazłszy się ponownie w miejscu publicznym, książę Twyford wykonał pożegnalny ukłon nad dłonią partnerki. Lady Mortland przytknęła dłoń do skroni.

- Och, chyba nie...

- Opiekun nigdy nie może tracić na długo czujności, moja droga - oznajmił Maks, gotów do odwrotu.

- Może spotkamy się jutro w parku? - podsunęła Emma, przekonana, że Maks nie zrejterował z własnej woli.

- Wszystko możliwe - odrzekł z uśmiechem.

Przeszedł na drugi koniec sali i korzystając z tych samych drzwi, w których wcześniej ujrzał Caroline, znalazł się na tarasie. Omal na nią nie wpadł, ponieważ właśnie wracała, raz po raz spoglądając za siebie, w głąb ogrodu.

- Ojej! - Nie spodziewała się tego spotkania.

Z jej twarzy Maks natychmiast wyczytał, że to nie jego szukała. Pociągnął ją w zacienione miejsce tarasu, krzepiąco położył dłoń na ramieniu i spytał:

- Co się stało?

Nie było sposobu, by utrzymać sprawę w tajemnicy. Caroline mimo woli dostosowała swój krok do kroku Maksa.

- Chodzi o Sarę. Lizzie widziała ją, jak wychodzi z sali z lordem Darcym. Ponad dwadzieścia minut temu. Do tej pory nie wrócili.

Maks, przewidując kłopoty, ruszył ku schodom.

- Wiem, gdzie ich znajdziemy. W głębi ogrodu znajduje się altanka. Lepiej niech pani tam ze mną pójdzie.

Razem zeszedli po schodkach i znaną Maksowi alejką dotarli do altanki.

- Nie ma ich tutaj? - Pokręcił głową zdumiony, po czym schylił się, by podnieść z podłogi kokardkę.

Caroline podeszła i wyjęła mu z ręki ozdobę pochodzącą z sukni siostry. Podeszła do okna, by lepiej się przyjrzeć.

- To jej? - spytał Maks.

- Tak. Koloru wyraźnie nie widzę, ale poznaję kształt. Sama ją wiązałam.

- Czyli byli tutaj.

- Ale gdzie są teraz?

- Prawie na pewno wracają do domu - odrzekł Maks. - Nie ma w tym ogrodzie innego miejsca odpowiedniego do celu, jaki zapewne przyświecał Darcy'emu. Wygląda na to, że pani siostra przekonała go do powrotu w mniej odludne okolice. - Starał się zachować beztroski ton, ale prawdę mówiąc, był w kropce. Nie potrafił sobie wyobrazić, że Sara mogłaby odwieść Darcy'ego od jego zamiaru, a już na pewno nie w takim otoczeniu. Z drugiej strony, był pewien, że nigdzie indziej ci dwoje nie mogli pójść.

- W tej sytuacji lepiej i my wracajmy - powiedziała Caroline, otrzepując kokardkę z kurzu.

- Za chwilę.

Caroline, spłoszona tonem Maksa, wyciągnęła rękę, by stworzyć między nimi dystans.

- Nie! To niedorzeczne, sam pan wie...

Ręka okazała się niewystarczającą przeszkodą; Maks objął ją delikatnie.

- Niedorzeczne? W takim razie proszę się zastanawiać nad tą niedorzecznością, a ja tymczasem skosztuję smaku pani ust.

Caroline powtarzała sobie w duchu, że powinna stawić opór. Jednak pocałunek odebrał jej wolę. Zachecona łagodnym naciskiem, rozchyliła wargi. Nie ulegało wątpliwości, że w ramionach Maksa po prostu topnieje.

- Wciąż niedorzeczne?

Zdezorientowana Caroline popatrzyła na Maksa, nie mogąc zebrać myśli. Tymczasem on się roześmiał i ująwszy ją za ramię, ruszył do drzwi.

- Chyba ma pani rację. Powinniśmy wracać.

\* \* \*

Trzeźwość myślenia wracała po kropelce, niczym woda kapiąca z kranu do wiadra. Przez długą chwilę Sara żyła jeszcze nowymi doznaniem, ciesząc się bliskością Darcy'ego. Należało jednak wrócić do prawdziwego świata. Zbadała stan swojej sukni. Wydawała się czysta i nieuszkodzona, jeśli nie liczyć kokardki z rękawa, która w jakimś momencie musiała odpaść.

Darcy, który oprzytomniał znacznie wcześniej, pochłonięty był teraz gorączkowymi rozmyślaniami. Mimo to nie potrafił sobie wyobrazić, czego powinien się spodziewać. Próbował wyczytać coś z oczu Sary, ale uparcie unikała jego wzroku. W końcu ujął ją za rękę.

- Dobrze się czujesz, gołąbeczko?

O dziwo, w jego głosie pobrzmiwała nuta szczerości. I to właśnie sprawiło, że Sara straciła panowanie nad sobą.

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknęła ze złością. - Jak pan śmiał mnie tak wykorzystać!

Rysy Darcy'ego stężały, a ona widząc ten całkowity brak zrozumienia, wymierzyła mu siarczasty policzek, po czym odwróciła głowę, byle tylko nie patrzeć mu w oczy, a z piersi wyrwał jej się stłumiony szloch.

- Lepiej wracajmy do domu - powiedział Darcy, kryjąc za maską obojętności targającą nim burzę uczuć.

Szli w milczeniu, uważając, by się nie dotykać. Żadne z nich nie miało pojęcia, na jak długo znikli z oczu reszcie towarzystwa. Wreszcie stanęli na tarasie. Sara siłą woli wstrzymywała łzy.

- Lepiej będzie, jeśli pani wejdzie pierwsza - zauważył Darcy.

Sara skinęła głową i ruszyła do drzwi.

\* \* \*

Caroline z Maksem wrócili do sali tanecznej i prawie natychmiast podeszła do nich Lizzie, wsparta na ramieniu jednego z młodych adoratorów. Grzecznie mu podziękowała za asystę, po czym zwróciła się do Caroline i Maksa:

- Sara wróciła zaraz po tym, jak poszliście jej szukać. Pojechała już do domu, razem z lady Benborough i panią Alford.

- Dlaczego? - spytał Maks.

Lizzie spojrzała pytająco na Caroline, a ujrawszy skinienie głowy, powiedziała:

- Była czymś bardzo wzburzona.

Maks dalej rozglądał się po sali, gdy dotarły do niego następne słowa Lizzie.

- Lord Darcy wrócił wkrótce po Sarze. On również odjechał.

Maks westchnął ciężko. Tego wieczoru nic już nie można było zrobić. Wraz z Lizzie, Arabellą i Caroline opuścił Overton House. Caroline w milczeniu zastanawiała się, co zaszło, a Maks dumiał, czy będzie musiał poczekać ze swoją sprawą do czasu, aż przyjaciel upora się z własnym problemem.

## *Rozdział szósty*

Maks upił duży łyk brandy. Wyprostował nogi, zbliżając je do kominka, na którym płonął ogień. Kto by pomyślał, że podopieczne tak radykalnie zmienią jego idealnie uporządkowaną egzystencję? Sara, wciąż wzburzona po przygodzie z Darcym, nie chciała nawet słyszeć o wychodzeniu z domu. Caroline uznała, że dotrzyma jej towarzystwa, zaś Maks zdecydował, że ciotka Augusta i Miriam Alford doskonale dadzą sobie radę jako przyzwoitki Lizzie i Arabelli. Po ostatnich wydarzeniach można było oczekiwać, że będą miały się na baczności.

Do tej pory nikt nie wiedział dokładnie, co zaszło między Sarą a Darcym. Maks dobrze jednak znał przyjaciela, mógł więc sobie wyobrazić niejedną szczegół. W południe opuścił Delmere House, zamierzając wytropić Darcy'ego i stanowczo zażądać wyjaśnień. Znalazł go na strzelnicy Mantona, z zimną determinacją zbijającego kolejne cele. Jedno spojrzenie na twarz przyjaciela wystarczyło Maksowi, by ochłonął. Czekał więc cierpliwie, a tymczasem Darcy rozprawił się z wszystkimi celami, cisnął pistolet na ziemię i raptownie się odwrócił.

- Tylko o nic nie pytaj! - rzucił.

Maks zachował taktowne milczenie w drażliwej kwestii i razem rozpoczęli wólcę po mieście. Wreszcie zakotwiczyli na zapleczu klubu Cribba, popijając drink zwany Błękitną Ruiną. Dopiero wtedy Darcy powrócił do tematu, który zajmował myśli ich obu.

- Wyjeżdżam z Londynu.

- Tak?

- Jadę do Leicestershire. Potrzebuję odpoczynku.

W Leicestershire lord Hamilton miał majątek, w którym hodował na wielką skalę konie, zajęć więc tam mu nie brakowało. Najczęściej jednak zarządzał majątkiem z Londynu i uważał to za wystarczające.

- Nie! Pojadę dalej, do Irlandii!

Maks wiedział, że tam z kolei znajdują się włości brata Darcy'ego. Wciąż jednak milczał, wiedząc, że czas na zwierzenia w końcu nadejdzie.

- A co do Sary...

- Tak?

- Niczego nie zrobiłem.

- Hm?

- Tylko nie jestem pewien, czy ona w ogóle wie, co się stało. Darcy opróżnił kieliszek, a przy okazji przyjrzał się Maksowi.

Wreszcie na twarzy przyjaciela pojawiło się zrozumienie. Uśmiechnął się kącikami ust.

- Aha.

- Właśnie. Pomyślałem, że pozostawię to w twoich wprawnych rękach.

- Dziękuję - odparł z przekąsem Maks. - Jak ty, u diabła, to sobie wyobrażasz?! Mam dowiedzieć się, co ona myśli, a potem wszystko jej wyłożyć, gdyby się okazało, że źle pojęła.

- Mógłbyś spróbować z nią porozmawiać za pośrednictwem najstarszej panny Twinning - powiedział Darcy i pierwszy raz tego dnia się uśmiechnął.

Maksowi ulżyło, choć zdawał sobie sprawę, że stał się ofiarą kpiny.

- Przykro mi, ale nie dotrzymuję ci kroku. Panna Twinning i ja mamy jeszcze przed sobą spory dystans, zanim osiągniemy punkt, w którym rozmowa na tak intymne tematy będzie możliwa.

- Oby dopisało ci szczęście.

- Rzucasz ręcznik na ring?

- Sam chciałem to wiedzieć. - Po chwili milczenia dodał: - Muszę wyjechać.

- Jak długo cię nie będzie?

- Kto wie? Pewnie tyle, ile trzeba.

Zostawiwszy Darcy'ego w Hamilton House, zajętego pakowaniem, Maks wrócił w zacisze domowe, by poświęcić wieczór rozmyślaniom nad swoimi podopiecznymi. Ich problemy nie powinny go zaskoczyć.

Od pierwszej chwili wiedział przecież, jaką kategorię mężczyzn będą najbardziej pociągać siostry Twinning. Nie ulegało też wątpliwości, że i dla nich tacy nicponie są atrakcyjni. Na szczęście przynajmniej Lizzie wydawała się zbyt subtelna, by podążyć tą samą drogą. I dobrze, bo trzech lekkoduchów w rodzinie powinno wystarczyć.

W rodzinie? Na tę myśl nagle otrzeźwiał. Usiadł wyprostowany, wbił wzrok w ogień na kominku i spokojnie przeanalizował to dziwaczne pojęcie.

Z rozmyślań wyrwały go odgłosy czyjś przybycia. Zerknął na zegar i zmarszczył czoło. Na gości było stanowczo za późno. Kogo znowu przyniosło? Zdażył zejść do holu dostatecznie szybko, by zobaczyć, jak Hillshaw z lokajem gorliwie przytrzymują drzwi.

- Spokojnie, Hillshaw. Przecież nie jestem inwalidą! Słyszac ten głos, Maks energicznie ruszył do wejścia.

- Martin!

Ujrzał zmierzwioną brązową czuprynę kapitana Martina Rotherbridge'a i jego uśmiech zdobywcy, bardzo przypominający uśmiech Maksa.

- Witaj - pozdrowił go młodszy brat. - Wróciłem, jak widzisz. Cholerni Francuzi przedziurawili mi ramię.

Maks ujął wyciągniętą rękę brata i wymownie popatrzył na kamerdynera.

- Chodźmy do biblioteki. Hillshaw?

- Zaraz podam coś do jedzenia.

Gdy obaj wygodnie rozsiedli się przy kominku, Martin z tacą krojonych w plasterki mięs pod ręką i wielkim kielichem najlepszej brandy brata w dłoni, Maks zaczął stawiać pytania.

- Masz rację - odparł Martin na jedno z nich. - Nie chodziło tylko o ranę, chociaż to bardzo przykre doświadczenie. Podobno zagoi się sama, potrzebuję tylko odpoczynku. - Maks cierpliwie czekał na ciąg dalszy. - Wykupiłem się z wojska dlatego, że nic się nie dzieje. Nudy. Stacjonujemy w jednym miejscu i przez pół dnia gramy w karty, a przez drugie pół dnia wspominamy wszystkie swoje kobiety. - Uśmiechnął się do brata. - W końcu doszedłem do wniosku, że kończą mi się opowieści i powinienem wrócić do domu, aby przeżyć coś nowego.

Maks odwzajemnił uśmiech. Mimo rany brat wyglądał dobrze. Cerę miał ogorzałą, a chociaż przybyło mu kilka zmarszczek, to były one jedynie dowodem, że Martin Rotherbridge ma już więcej niż dwadzieścia pięć wiosen. Maks bardzo się cieszył, że przygoda Martina z wojskiem ostatecznie się zakończyła. Poza wszystkim stał się on teraz dziedzicem tytułu księcia Twyford. Do objęcia Delmere był przygotowany, ale grunty Twyford stanowiły zupełnie inne zagadnienie. Maks dumiał przez chwilę, od czego zacząć rozmowę, ale brat go uprzedził.

- Jak podoba ci się nowy tytuł?

Maks wytłumaczył mu to raczej dosadnie. Potem obszernie opowiedział o zaniedbaniach, jakie odkrył w majątkach wuja, by wreszcie przejść do krótkiego raportu na temat obecnego stanu książęcych dóbr. Widząc malujące się na twarzy Martina zmęczenie, zarządził:

- Czas do łóżka, młodzieńcze. Siły cię opuszczają.

Martin uśmiechnął się, słysząc, że brat jak zwykle nazwał go „młodzieńcem”.

- Masz rację. Nie jestem jeszcze w pełni formy, a jechałem od świtu.

Maks pomógł mu się podnieść z fotela. Martin przeciągnął się i ziewnął. Gdy obaj stali obok siebie, rzucało się w oczy rodzinne podobieństwo. Książę był wyższy i bardziej barczysty. Poza tym różnice były niewielkie. Martin miał odrobinę jaśniejsze włosy, a w rysach miękkość, której Maksowi brakowało, ale intensywnie niebieskie oczy Rotherbridge'ów fascynowały jednakowo u obu braci.

- Dobrze wrócić do domu - stwierdził Martin na odchodnym.

\* \* \*

- Dzień dobry, Hillshaw. Nie mylę się, prawda? Jestem Lizzie Twinning. Przyszłam zwrócić księciu książkę.

Hillshaw widział tę pannę tylko raz, ale pamiętał najmłodszą podopieczną swego pana doskonale.

- Pana nie ma w domu. Może jego sekretarz, pan Cummings, będzie mógł panience w czymś pomóc.

Hillshaw spojrzał władczo na lokaja, który oddalił się w stronę kancelarii, choć widać było, że robi to bardzo niechętnie.

Lizzie pozwoliła kamerdynerowi, by pomógł jej zdjąć pelerynkę, chociaż wydawała się pełna wahań.

- Poczekaj tu na mnie, Hennessy. To nie powinno potrwać długo - zwróciła się do towarzyszącej jej służącej.

Dziewczyna przysiadła skromnie na krawędzi krzesła stojącego pod ścianą i spuściła wzrok, czując na sobie onieśmielające spojrzenie Hillshawa.

W tej chwili z zakamarków sieni wyłonił się pan Joshua Cummings.

- Panno Lizzie, obawiam się, że księżę wyszedł, ale może ja będę mógł w czymś pomóc?

Pan Cummings nie pasował do typowych wyobrażeń o sekretarzu arystokraty. W średnim wieku, niski, blady, wyglądał tak, jakby całymi dniami wertował zakurzone papierzyska. Przynajmniej w ten sposób opisała go potem Lizzie, bardzo zresztą trafnie. Był kawalerem, a zanim objął obecną posadę, mieszkał z matką w majątku Rotherbridge'ów w Surrey. Jego rodzina wiernie służyła im od dawna, więc i on podtrzymywał tę tradycję. Uśmiechnął się, widząc książkę w dłoni Lizzie.

- O, przyniosła pani wiersze lorda Byrona? Może chciałaby pani przeczytać inny jego zbiór? A może wolałaby pani raczej książkę pani Linfield?

Lizzie odwzajemniła uśmiech. Zamieszkawszy w Twyford, siostry stwierdziły z pewnym rozczarowaniem, że choć biblioteka jest tam bogata, to nie zawiera wielu najnowszych dzieł literatury pięknej, o których chętnie dyskutowano w towarzystwie. Maks, do którego dotarły te żale, oznajmił im, że jego własna biblioteka nie ma takich braków, i obiecał pożyczać wszystkie książki, jakich tylko siostry sobie zażyczą.

Uznał jednak, że nie może pozwolić, by panny myszkowały po półkach, na których stał również niejeden tom zupełnie dla nich nieodpowiedni, zlecił więc wyszukiwanie tytułów swojemu sekretarzowi. Dzięki temu pan Cummings czuł się całkiem kompetentny w przedstawionej mu sprawie.

- Czy zechce panienka poczekać w salonie?

Hillshaw wyminął ją i otworzył kolejne drzwi. Lizzie z uśmiechem przekazała tomik panu Cummingsowi, informując go po cichu, że chętnie przeczyta którąś z powieści pani Linfield, a potem ruszyła za kamerdynerem. Gdy mijali bibliotekę, w jej otwartych drzwiach pojawił się mężczyzna, na widok którego Lizzie stanęła jak wryta.

Martin Rotherbridge, wypawszy się wreszcie za wszystkie czasy, zszedł na dół gotów wrócić do dawnego trybu życia. W pokoju śniadaniowym dowiedział się, że brat pojechał na aukcję do Tattersalla, postanowił więc na niego poczekać. Uważał, że powinien uprzedzić Maksa o swoich zamiarach, był bowiem absolutnie pewien, że gdy pojawi się wśród przyjaciół, wróci do Delmere House najwcześniej



następnego ranka. Dlatego też, chcąc oszczędzić bratu niepotrzebnego niepokoju, usiadł w bibliotece nad poranną gazetą. Czytanie jednak szybko go znużyło, więc gdy usłyszał kobiecy głos, zaintrygowany, wyszedł do holu.

Ujrzał niezwykle zjawisko w fioletowej muślinowej sukni i przyszło mu do głowy, że brat pozwolił odwiedzać się w domu kochankom. Jednak zachowanie Hillshawa i Cummingsa świadczyło o tym, że się pomylił i że ma przed sobą młodą damę. Dyskretnie, tak by nie onieśmielić panny, przyjrzał się jej kształtnej figurze i jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Hillshaw, myślę, że powinienes nas sobie przedstawić.

Kamerdyner pozwolił sobie na grymas, wiedział jednak, że nie ominie tego, co nieuniknione. Wymieniwszy znaczące spojrzenie z panem Cummingsem, powiedział tonem pełnym dezaprobaty:

- Kapitan Martin Rotherbridge, panna Lizzie Twinning. Ta dama jest najmłodszą podopieczną księcia, panie kapitanie.

Martin osłupiał.

- Podopieczną?

Nie słuchał zbyt uważnie wieczornych wynurzeń Maksa na temat rodowych majątków, był jednak absolutnie pewien, że o żadnych podopiecznych brat mu nie wspomniał. Tymczasem Lizzie doszła do siebie i wyjaśniła łagodnym, dźwięcznym głosem:

- Tak. Moje siostry i ja jesteśmy protegowanymi księcia. - Wyciągnęła rękę.

- Miło mi pana poznać. Nie wiedziałam, że księżę ma brata. Wpadłam tylko na chwilę wymienić książkę pożyczoną z biblioteki. Pan Cummings zamierza mi właśnie w tym pomóc.

Martin ujął drobną dłoń i machinalnie się nad nią skłonił. Następnie położył rękę panny Twinning na swoim ramieniu.

- Hillshaw ma rację. Powinna pani poczekać w salonie. - Ulga widoczna na twarzach kamerdynera i sekretarza trwała krótko, bo Martin zaraz dodał: - Dotrzymam pani towarzystwa.

Gdy wprowadził Lizzie do salonu i wymownym gestem zamknął drzwi tuż przed nosem Hillshawa, kamerdyner i sekretarz popatrzyli po sobie bezsilnie. Potem pan Cummings pospieszył znaleźć zamówioną książkę, zostawiając Hillshawa z jego złymi przeczuciami przed zamkniętymi drzwiami salonu.

Lizzie całkiem nieświadoma trosk, jakich przysporzyła służbie swego opiekuna, ufnie spojrzała na kapitana pełniącego rolę gospodarza.

- Od dawna jest pani podopieczną Maksa? - spytał Martin.

- Nie. A właściwie tak.

Zmieszanie panny wydało się Martinowi urocze; patrzył na nią jak urzeczony. Gdy usiadła na szezlongu, zajął miejsce naprzeciwko, nie spuszczać oka ze ślicznej twarzy.

- Wszystko zależy od tego, co to znaczy „od dawna” - oznajmiła Lizzie, usiłując wybrnąć z kłopotu. - Ojciec zmarł półtora roku temu, a naszym opiekunem został pański wuj. Kiedy wróciliśmy do Anglii z Ameryki, okazało się, że tytuł nosi pański brat. Wtedy to on przejął obowiązki opiekuna.

Z tego cokolwiek skomplikowanego wyjaśnienia Martin wyłowił dostatecznie dużo, by odnaleźć sens.

- Czy podobało się paniom w Ameryce? Długo panie tam były?

Kolejnymi pytaniami szybko osiągnął cel: Lizzie poczuła się swobodniej i mogła wreszcie prowadzić normalną konwersację. W pewnym momencie Martin drgnął, usiłując wygodniej ułożyć chore ramię.

- Pan jest ranny! - Przejęta Lizzie pochyliła się ku Martinowi. - Czy to bardzo pana boli?

- Nie. Wkrótce będę jak nowy, daję pani słowo.

- Był pan w wojsku? - Lizzie spojrzała na niego z niekłamany podziwem. - Proszę, niech mi pan o tym opowie. To musiało być emocjonujące!

Ku swemu zaskoczeniu Martin bez wahania uległ prośbie i zaczął opowiadać Lizzie o kampanii, niekiedy tylko urozmaicając opowieść zabawnymi epizodami, które ubarwiały żołnierską egzystencję. Panna siedziała zasłuchana, wtrącając nad wyraz celne pytania. Martin był głęboko przekonany, że doskonale umie dawać wymijające odpowiedzi, tymczasem wyjawiał nawet, dokąd się wkrótce wybiera.

Gdy pojawił się pan Cummings, Lizzie wzięła od niego książki i odłożyła je na stolik. Na próżno sekretarz czekał, by odprowadzić ją do wyjścia. Martin pozbył się go z bezlitosnym uśmiechem.

- W porządku, Cummings. Panna Twinning pożałowała inwalidy wojennego i postanowiła dotrzymać mi towarzystwa aż do powrotu brata.

Lizzie, już całkiem pewna siebie, uśmiechnęła się słodko do pana Cummingsa, któremu nie pozostało nic innego, jak się oddalić.

Godzinę później Maks przekroczył próg domu i spotkał Hillshawa zdradzającego objawy wzburzenia. Sytuacja wyjaśniła się natychmiast.

- Przyszła panna Lizzie. Jest w salonie z panem Martinem.

- Rozumiem.

Maks zauważył znudzoną służącą, która siedziała w holu, czekając na swoją

panią. Należało się spodziewać, że Lizzie dotrzymuje towarzystwa Martinowi od dość dawna. Z ponurą miną pchnął drzwi do salonu. Widok, który ujrzał, zupełnie nie odpowiadał jego oczekiwaniom. Martin siedział w fotelu, a Lizzie zajmowała róg szeszlongu i pochylała się nad dzielącym ich małym stolikiem. Gdy Maks podszedł bliżej, przekonał się, że ci dwoje grają w warcaby.

- O, jest pan! - Lizzie podniosła głowę. - Właśnie zabawiałam pańskiego brata, żeby nie było mu nudno czekać na pański powrót - wyjaśniła i zerknęła na zegar. - Ojej, nie zauważyłam, że już tak późno! Muszę wracać. Gdzie są te książki, które przyniósł pan Cummings?

Martin podał jej pakiecik, ale czując na sobie karcące spojrzenie brata, natychmiast odsunął się na przyzwoitą odległość. Maks odprowadził Lizzie do wyjścia i wrócił do salonu. Nie zdążył jednak rozpocząć przesłuchania, bo brat odezwał się pierwszy:

- Nie wspomniałeś mi ani słowem, że odziedziczyłeś również podopieczne.

- Owszem, odziedziczyłem - przyznał Maks, sadowiąc się w fotelu.

- Czy one wszystkie są takie? - spytał zachwycony Martin.

Maksowi nie trzeba było tłumaczyć, co oznacza „takie”.

- Gorzej!

Martinowi wystarczyło bystrości, by właściwie odczytać znaczenie tego okrzyku.

- Wielki Boże!

Maks oderwał spojrzenie od sufitu i przeniósł je na twarz brata.

- Właśnie. W tej sytuacji namawiam cię, abyś zrewidował plany, które już snujesz w związku z panną Lizzie Twinning.

- A niby dlaczego? - spytał z szelmowskim uśmiechem Martin. - Ty jesteś jej opiekunem, nie ja. Poza tym nie sądzisz chyba, że wzięłbyś pod uwagę takie zastrzeżenie, gdybyśmy zamienili się rolami? - Maks tylko zmarszczył czoło, więc Martin ciągnął: - Ona jest jak dojrzała śliweczka, tylko zerwać. - Tym razem uszanował uniesioną rękę brata i zamilkł.

- Pozwól, że uświadomię ci kilka szczegółów - wycedził Maks. - Przede wszystkim jestem od ciebie dziewięć lat starszy i nie wyobrażaj sobie, że nie wiem czegoś, co ty wiesz. Ale mniejsza o to. Zapewniam cię, że siostry Twinning, dojrzałe czy nie, raczej nie będą skłonne dać się oczarować, jeśli nie otrzymają propozycji małżeństwa.

Martin Zmarkotniał. Nie wątpił, że brat ma rację, ale wiedział też, że Lizzie bardzo mu się podoba. Chętnie nawróciłby ją na swój sposób myślenia.

- Naprawdę? - spytał.

- Weź sobie do serca przypadek lorda Darcy'ego Hamiltona - pouczył go Maks. - Ujęty wdziękami Sary, drugiej po Lizzie, szturmuję tę twierdzę od ponad pięciu tygodni. Dodam, że nikt nie stawia przed nim szczególnych przeszkód. I co? Wiadomość z wczoraj jest taka, że lord Darcy wyjeżdża do swojego majątku lizać rany. O ile nie myli mnie przeczucie, będzie tam dumał, czy jest w stanie udźwignąć małżeńskie okowy.

- Coś podobnego! - Chociaż Martin nie znał dobrze Darcy'ego Hamiltona, wiedział, że wśród londyńskich uwodzicieli ustępuje w hierarchii tylko Maksowi.

- Właśnie. Nieopierzona panna dała sobie z nim radę. Dlatego, drogi bracie, jeśli zamierzasz zadawać się z którąkolwiek z panien Twinning, zastanów się najpierw, ile jesteś skłonny zaryzykować. Pomnisz moje słowa, młodzieńcze. Panny Twinning zjedzą w kaszy każdego uwodziciela.

\* \* \*

Powóz podskoczył na zakręcie i Arabella chwyciła za rzemieniową pętlę, umocowaną do sufitu. Gdy pojazd odzyskał równowagę, poprawiła spódnicę i zerknęła na dwoje pozostałych pasażerów.

Caroline nalegała, żeby to nie Lizzie jechała dzisiaj powozem ich opiekuna. Ciekawe dlaczego. Ostatnio stanowczo zbyt często Arabella widywała u najstarszej siostry bardzo podejrzaną wyraz twarzy.

Kiedy weszła do pokoju siostry, by ją ponaglić, Caroline siedziała z wzrokiem wbitym w lustro i z uporem kręciła na palcu miedziany kosmyk, żeby bardziej efektownie zwisał przy uchu.

- Caro, jesteś gotowa? Maks przyjechał.

- Ojej! - Caroline zerwała się raptownie, ale odwróciła się jeszcze do lustra, by dokonać ostatniej inspekcji sukni w bladym odcieniu koloru morskiego, wspaniale podkreślającej jej obfite wdzięki śmiałym dekoltem. - Jak sądzisz, Bello? Czy nie za dużo odsłaniam? Może gdybym wzięła koronkowy szal...

- Szczerze mówiąc, wątpię, by nasz opiekun docenił taki wysiłek.

Na policzkach Caroline wykwitł lekki rumieniec.

- Masz rację - przyznała.

Arabella znów omiotła wzrokiem wnętrze powozu i zauważyła aprobujące spojrzenie księcia przyglądającego się najstarszej podopiecznej. Wydawało się wysoce nieprawdopodobne, by przyczyną pąsów Caro był konserwatywny pan

Willoughby. A skoro tak, to na czym polegała gra księcia? I czy Caro zamierzała się do niej przyłączyć?

I tak miały dość kłopotów z Sarą i lordem Darcym. Rzecz jasna, publicznie nie padło na ten temat ani jedno słowo, ale wszystkie cztery były z sobą tak zżyte, że nawet niewinna Lizzie coś zwierzyła. Chociaż książę zachował dyskrecję, gdy rozmawiał dziś przed wyjazdem na osobności z Caroline i Sarą, to nie ulegało wątpliwości, że nie było mowy o oświadczeniach. Sara stała się jeszcze bledsza, lecz mimo to dzielnie robiła dobrą minę do złej gry.

I oto Sara znalazła się na głębokiej wodzie, Caroline była o krok od utonięcia, a ona, Arabella, jeszcze nawet nie umoczyła palców u nóg.

Zerknęła na księżyc, który pojawił się wśród gałęzi mijanego drzewa. Hugo, lord Denbigh, jest najbardziej irytującym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała. Bardzo chciałaby powiedzieć, że takie ladaco nic a nic jej nie interesuje. Niestety! Hugo to jedyny mężczyzna na świecie, który samym spojrzeniem potrafi wzbudzić w niej dreszcz.

Nieświadoma tego, że całkowicie zawodzi oczekiwania Caroline, Arabella wlepiła wzrok w szybę, pochłonięta myślami o sztuczkach, do jakich będzie musiała się uciec, by pewien postawny dżentelmen padł jej do stóp.

\* \* \*

Ciężki powóz Twyforda telepał się za mniejszym zaprzęgiem Delmere'a. Lady Benborough musiała przytrzymać treskę ręką, gdy na zakręcie pudło niebezpiecznie się przechyliło. Pierwszy raz od chwili, gdy podjęła się roli swatki protegowanych swego bratanka, odczuwała pewien niepokój. Igrała z ogniem i doskonale o tym wiedziała. Była jednak przekonana, że tego nie pożałuje. Widok Makska i Caroline, stojących razem w holu Twyford House, sprawił, że poczuła dreszczyk emocji jak za dawnych lat. Co do Sary, nie żywiła najmniejszych wątpliwości. Darcy Hamilton posunął się za daleko, by zrejterować. Może jeszcze nie był tego świadom, ale nadchodził kres kawalerskiego życia. Lady Benborough zerknęła na smutną twarz Sary. Bez względu na to, co jej się wydawało, Augusta wiedziała, że panna bezpiecznie dotarła do portu. Można było skupić uwagę na jej siostrach.

Arabella, ta trzpiotka, wybrała sobie wyjątkowo twarde orzech do zgryzienia. Trudno było jednak kwestionować ten wybór. Hugo Denbigh mógł uchodzić za adonisa, w dodatku miał tytuł i majątek. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że czerpie taką samą przyjemność z obcowania z całkiem po-

spolitymi pannami, jak z błyskotliwą i uroczą Arabellą. Były to naturalnie pozory, ale czy należało to przed nią wyjawiać? - zastanawiała się Augusta. Może lepiej zachować milczenie i poczekać, aż Hugo odniesie pierwszy mały sukces? Lady Benborough popuściła wodze fantazji, lecz zaraz skarciła się w duchu. Coś podobnego! Jest przyzwoitką, a pozwala sobie na tak nieprzyzwoite myśli!

Popatrzyła na Lizzie, uroczą, lecz bynajmniej nie skromną w sukni z delikatnej srebrnej gazy, ożywionej fioletowym haftem. Na jej ustach o klasycznym kształcie błąkał się uśmiech. Jakby przeczuwała coś miłego. Lady Augusta zmarszczyła czoło. Czyżby coś przegapiła?

Przypomniawszy sobie wszystkie znajomości Lizzie, nie mogła pojąć, skąd to tłumione podniecenie u najmłodszej panny. A jednak było ono aż nadto widoczne. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś ważny dla Lizzie będzie obecny na balu. Augusta zrozumiała, że tego wieczoru musi wykazać się sokolim wzrokiem. Lizzie była stanowczo za młoda, by pozwolić jej na tyle swobody co starszym siostram.

Może niepotrzebnie się martwiła? Lizzie dorównywała siostram urodą, ale wydawała się zbyt niewinna, by przyciągnąć uwagę nałogowego uwodziciela. Trzech takich Augusta była w stanie znieść, wiedziała wszak, że starsze panny Twinning poradzą sobie z każdym. O czwartym jednak nawet nie chciała słyszeć.

## *Rozdział siódmy*

Martin zastanawiał się nad ostatnimi słowami Maksa na temat sióstr Twinning, ale dopiero wieczorem u lady Montacute domyślił się, o co chodziło bratu. Spędził popołudnie, składając wizyty przyjaciołom, i niemal wszyscy natarczywie się dopraszali, żeby ich przedstawił pannom Twinning. Doszedł do wniosku, że nie pozostaje mu nic innego, jak pójść wieczorem tam, gdzie siostry zamierzają się pokazać. Jiggins, ordynans i kamerdyner w jednej osobie, wyjaśnił, że księżę zwykle osobiście eskortuje podopieczne. Martinowi trudno było dać temu wiarę, jednak kiedy stojąc pod doniczkową palmą w sali balowej lady Montacute, dyskretnie obserwował wchodzących i ujrzał Maksa w otoczeniu panien Twinning, musiał przyjąć do wiadomości to, co wydawało mu się niedorzeczne. Kiedy dostrzegł, że uroczą istotą wspartą na ramieniu brata jest jego najstarsza protegowana, wszystko stało się jasne.

Podchodząc, żeby przywitać się z Lizzie, która zachęcająco się do niego uśmiechnęła, Martin zauważył wyraz twarzy brata, gdy pochylając się, szeptał coś

do ucha Caroline Twinning, zanim otoczył ich wianuszek innych gości. Przypomniał sobie poranną wypowiedź Maksa. Był ciekaw, ile też jego brat jest gotów zaryzykować.

Przez resztę wieczoru obserwował i planował. Lizzie Twinning, pełna naturalnego wdzięku, przypominała bajkowego duszka. Tyle że tym mitycznym istotom brakowało powabnych krągłości, w które siostry Twinning były wyjątkowo hojnie wyposażone. Dzięki wynikającej z doświadczenia przezorności Martina Lizzie po każdym tańcu wracała do niego przekonana, że kapitan potrzebuje pociechy. Lady Benborough, której złożył należny ukłon, prychnęła z niedowierzaniem, widząc jego udawaną słabość, ale najwidoczniej nie była w stanie zniechęcić Lizzie do okazywania mu serdecznego wsparcia. Posługując się subtelnymi metodami, wypytał ją o każdego z nadskakujących jej mężczyzn i sam się zdziwił, jak wielką ulgę poczuł, gdy się okazało, że żaden nie wzbudził w Lizzie głębszego zainteresowania.

Na dobre zaczął swą kampanię, kiedy muzycy zagrali melodię, do której miał zatańczyć z Lizzie. Wcześniej zadbał o to, by znaleźli się w zacisznej alkwie, z dala od garnących się do niej zalotników. Udając żal, powiedział:

- Droga Lizzie, przykro mi, że sprawiam pani zawód, ale... - Znacząco zawiesił głos.

- Och! Żle pan się czuje? Może przyniosę panu sole trzeźwiące od pani Alford?

- Nie! Nie! Proszę się o mnie nie martwić. Zaraz dojdę do siebie. - Uśmiechnął się tęsknie, zaglądając jej w oczy. - Może wolałaby pani zatańczyć z kimś innym? Jestem pewien, że pan Mallard byłby zachwycony. - Wykonał gest, jakby zamierzał przywołać wymienionego dżentelmena, najbardziej nieustępliwego w zalotach.

- Wielkie nieba, nie! - wykrzyknęła Lizzie, chwytając go za rękę. - Nie ma mowy. Skoro pan źle się czuje, to oczywiście zostanę.

Cały czas trzymała go za rękę, a i Martin nie miał ochoty zabierać dłoni z jej ciepłego uścisku. Na moment przymknął oczy, jakby walczył z ogarniającą go falą słabości.

- Wydaje mi się, że to z powodu gorąca i hałasu. Może powinienem wyjść na taras, żeby przewietrzyć głowę.

- Doskonały pomysł! - pochwaliła z entuzjazmem Lizzie, podrywając się na nogi.

Martin uniósł się powoli, uśmiechając się do niej po bratersku.

- Może lepiej pójdę sam. Ktoś mógłby odnieść błędne wrażenie, gdybyśmy wyszli razem.

- Bzdury! - obruszyła się Lizzie. - Co by to miało kogokolwiek obchodzić? Wyjdziemy tylko na parę minut, a poza tym przecież jestem podopieczną pańskiego brata.

Martin udał, że próbuje ją zniechęcać, co zgodnie z jego zamierzeniami tylko podsyciło w niej chęć, by mu towarzyszyć. W końcu dał się wyprowadzić na taras.

Ponieważ zbliżała się pora zasiadania do kolacji, oprócz nich na tarasie były tylko dwie inne pary, a i one wkrótce wróciły do sali balowej. Martin, jak najdalszy myślami od jedzenia, ochoczo podążał za swoją przewodniczką. Rozejrzawszy się po najbliższym otoczeniu, zatrzymał się gwałtownie przy końcu tarasu.

- Myślę, że... - Urwał na moment, jakby zbierał siły, by dokończyć zdanie. - Myślę, że powinienem usiąść.

Lizzie wyraźnie się stropiła. Na tarasie nie rozstawiono krzeseł.

- Pod tamtą wierzwą chyba jest ławka - powiedział Martin, wskazując na odległą część trawnika.

Lizzie popatrzyła w tamtą stronę.

- Proszę na mnie się wesprzeć - poleciła.

Martin usłuchał, kładąc jej rękę na ramieniu. Kiedy Lizzie objęła go w pasie, targnęło nim poczucie winy. Była taka ufna...

Dotarli do wierzby. Musieli się przedrzeć przez zasłonę zwisających gałązek otaczających pomalowaną na biało drewnianą ławeczkę. Martin opadł na nią z teatralnym westchnieniem, a Lizzie usiadła obok niego, szeleszcząc jedwabną spódnicą. Nie wypuszczając z uścisku jego ręki, odwróciła się ku niemu i zajrzała mu w twarz. Padający od tyłu, ponad ramieniem Martina, promień księżycowego światła spoczął na twarzy Lizzie. Twarz Martina pozostawała w cieniu; Lizzie widziała tylko tyle, że odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech. Nie mogła natomiast dojrzeć wyrazu jego niebieskich oczu, gdy najpierw przyglądał się jej delikatnym rysom, a potem opuścił wzrok na dekolt, by podziwiać kształtne piersi, falujące w rytm oddechu. Ostrożnie przekręcił dłoń, tak że teraz to on trzymał rękę Lizzie. Zastygł w bezruchu.

Po pewnym czasie Lizzie przechyliła głowę na bok i spytała łagodnym tonem:

- W porządku?

Martin miał już na końcu języka odpowiedź zgodną z prawdą. Wywabił Lizzie w ustronne miejsce, żeby ją uwieść, a teraz jakaś magiczna siła go przed tym



powstrzymywała. Co się z nim działo? Odchrząknął, po czym odparł zduszonym głosem:

- Proszę dać mi minutę.

Lekki wiatr zakołysał wiotkimi gałązkami, zmieniając kąt padania światła. Lizzie zobaczyła bruzdę nad ściągniętymi brwiami Martina. Wyswobodziła dłoń z jego uścisku i końcami palców przesunęła po jego czole, jakby chciała z niego zetrzeć ten ślad troski. A potem, ku wielkiemu zaskoczeniu Martina, pochyliła się i dotknęła ustami jego warg.

- Dlaczego pani to zrobiła? - spytał ostrym tonem Martin.

- Ja... przepraszam. Proszę mi wybaczyć! Nie powinnam była tego robić.

- Owszem, nie powinna pani - mruknął.

Opuścił rękę na ławkę, zaciskając mocno palce. Z całych sił starał się opanować, stłumić w sobie chęć porwania Lizzie w ramiona. Z opóźnieniem uświadomił sobie, że nie odpowiedziała na jego pytanie.

- Ale dlaczego pani to zrobiła? - powtórzył. Lizzie zwiesiła głowę skruszona.

- Po prostu sprawiał pan wrażenie takiego... zmartwionego. Chciałam tylko pomóc - dokończyła szeptem.

Martin westchnął. Mógł doskonale się obejść bez tego rodzaju pomocy.

- Pewnie pan uważa, że jestem zbyt bezpośrednia, ale... - Urwała.

Martin uważał, że Lizzie jest cudowna. Trzymanie rąk z dala od niej kosztowało go wiele wysiłku. Pomyślał z ironią, że wychodząc do ogrodu, jedynie udawał cierpiącego, a teraz czekał go prawdziwy ból głowy.

- Wracajmy na salę balową - powiedział sztywno. - A co do tego incydentu, to najlepiej będzie, jak oboje o nim zapomnimy. - Kiedy podawał Lizzie rękę, pomagając wstać z ławki, w głowie zaświtała mu niepokojąca myśl. - Chyba nie całuje pani wszystkich mężczyzn, którzy wyglądają na zmartwionych?

- Oczywiście, że nie!

Był przekonany, że zaskoczenie malujące się na jej twarzy jest całkowicie szczere.

- No cóż - zaczął, nie wiedząc czemu bardzo zadowolony z odpowiedzi - proszę się starać raczej powściągać takie odruchy. Przy innych, oczywiście. W stosunku do mnie nie ma takiej potrzeby. Ostatecznie jest pani podopieczną mojego brata.

Lizzie, wciąż zaskoczona własnym zachowaniem, uśmiechnęła się do niego ufnie.

Caroline przywołała na twarz dobrze wyćwiczony uśmiech, żalując po raz co najmniej setny, że Maks Rotherbridge jest ich opiekunem. Był silny i niezłomny we wszystkich pozostałych sprawach i mogła mu być tylko wdzięczna za nieustające wsparcie i opiekę, a także za mądrą radę w kwestii Sary i lorda Darcy'ego. Nie miała jednak wątpliwości, że jej osobista sytuacja stałaby się o wiele łatwiejsza, gdyby istniejący układ, wiążący ją z księciem Twyford, został rozwiązany.

Wirując po parkiecie w szacownych ramionach pana Willoughby'ego, który, jak dobrze wiedziała, z każdym dniem bliższy był wyznania uczuć, mimo iż uparcie próbowała go do siebie zniechęcić, żałowała, że nie znajduje się w objęciach księcia. Pan Willoughby, jak się przekonała, jest człowiekiem wartościowym. „Wartościowy” brzmiało niewiele lepiej od „prawy”. Westchnęła i spojrzała w jego łagodne oczy, znajdujące się mniej więcej na wysokości jej nosa. Nie żeby gardziła niskimi mężczyznami, ale nie potrafiła się przy nich czuć delikatną, bezbronną kobietą... jak przy Maksie Rotherbridge'u. W istocie zaczynało ją niepokoić to poczucie całkowitej bezradności, które ją ogarniało za każdym razem, gdy znalazła się w mocnym uścisku Maksa.

Przy kolejnym obrocie dostrzegła Sarę tańczącą z jednym ze swych licznych adoratorów i próbującą, z marnym jednakże skutkiem, udawać, że sprawia jej to przyjemność. Poczula serdeczne współczucie dla siostry.

Poprzedniego wieczoru zostały w domu i z wyjątkową szczerością rozmawiały o ostatnich wydarzeniach. Wprawdzie Sara zachowała powściągliwość, ale było jasne, że przynajmniej ona wie, co czuje. Maks wykorzystał jednak kilkuminutowe oczekiwanie w holu Twyford House, żeby mimochodem oznajmić im obu, że lord Darcy wyjechał z miasta do swojej posiadłości.

Jako najstarsza w ostatnich latach przyjęła wobec sióstr rolę zastępczej matki. Jednym z niekorzystnych aspektów tej sytuacji było to, że nie miała do kogo się zwrócić. Gdyby chodziło o kogoś innego, a nie o ich opiekuna, mogłaby prosić o radę lady Benborough. Jednak w istniejących okolicznościach również i ta możliwość nie wchodziła w rachubę. Caroline miała świadomość, że koniecznie potrzebuje życzliwej rady. Wystarczyło, że Maks wziął ją w ramiona, a stała się całkowicie bezbronna. I ten jego pocałunek! Zupełnie zawrócił jej w głowie. Nie była do końca pewna, o co mu chodzi, a przecież zakładanie, że zamierza uwięzić podopieczną, było niedorzecznością. I właśnie dlatego, co przyznawała z żalem tylko sama przed sobą, nie chciała, żeby pozostawał jej opiekunem.

Musiała stawić czoło faktom. Miała prawie dwadzieścia sześć lat i wiedziała,

czego chce: Maksa Rotherbridge'a. Nie żywiła złudzeń; księżę Twyford jest hulaką. Gdyby sama tego nie odkryła, uwagi poczynione na ten temat przez lady Benborough nie pozostawiały miejsca na wątpliwości. Mimo to ciało i dusza podpowiadały, że to on jest tym jedynym. Z rezygnacją dawała się prosić do tańca wszystkim swoim adoratorom, uważając jednakże, by przypadkiem nie podsycić ich nadziei, czekając cierpliwie, aż jej opiekun porwie ją na parkiet. Kiedy tylko weszli do przegrzanej sali balowej, nachylił się do jej ucha i zmysłowym szeptem, od którego dreszcz przebiegł jej po plecach, poprosił, by zarezerwowała dla niego walca.

\* \* \*

- Sir Malcolmie, pan ze mną flirtuje! - W dźwięcznym głosie Arabelli dało się wyczuć cień irytacji.

Posługując się zręcznie wachlarzem z piór, spojrzała na horrendalnie bogatego, lecz mało lotnego szkockiego baroneta, jednocześnie nie tracąc z pola widzenia Hugona, lorda Denbigha. Prawdziwy obiekt jej zainteresowania stał nieopodal, rozmawiając grzecznie z jakąś mało urodziwą matroną i jej jeszcze mniej urodziwą córką. Co z nim jest nie tak? Używała wszelkich możliwych sztuczek, żeby przywieść go do swych drobnych stópek, a on ciągle się wymykał. Wprawdzie okazywał jej uwagę, ale najwyraźniej nie był w stanie zagrzać miejsca u jej boku na tyle długo, by uchodzić za starającego się o jej względy.

Arabella nie umówiła się z nikim na walca, odprawiając chętnych pod pretekstem, że jest zajęta, w przekonaniu, iż to on poprosi ją do tego najważniejszego tańca przed kolacją. Tymczasem zbliżała się pora zasiadania do stołu i wyglądało na to, że może zostać bez partnera. Odwróciła się do pana Pritcharda i wicehrabiego Moleswortha.

Wdała się w pogawędkę z tymi dwoma dżentelmenami, pilnując, by rozmowa przebiegała według ściśle określonych reguł. Miała świadomość, że jest urodzoną kokietką, ale flirtowała rozważnie. Lubiła niewinne przerzucanie się słowami, lecz sam flirt traktowała niezobowiązująco i nie wkładała weń serca. Zazwyczaj mężczyźni ochoczo padali jej do stóp, i to bez najmniejszego wysiłku z jej strony. A teraz, gdy w końcu znalazła kogoś, na kim chciała zrobić wrażenie, odkryła ze zgrozą, że gorzej sobie radzi z przyciągnięciem mężczyzny do siebie niż brzydsze od niej dziewczęta, które starannie wyuczyły się tej sztuki.

Rozgoryczona, patrzyła, jak muzycy zajmują miejsca na podium dla orkiestry. Pozostawało jej tylko jedno. Uśmiechnęła się słodko do otaczających ją

mężczyzn.

- Drodzy panowie - powiedziała - obawiam się, że muszę was opuścić. Naprawdę. Proszę nie protestować. - Tu znów nastąpił rozbijający uśmiech. - Do zobaczenia później, sir Malcolmie, panie Pritchardzie, milordzie. - Skinąwszy głową oddaliła się, zostawiając trzech dżentelmenów na pastwę domysłów, kim jest wybrany przez nią do walca szczęściarz.

Przeciskając się przez tłum, Arabella skierowała się do wyjścia z sali. Bez wątpienia musiało być jakieś miejsce, gdzie mogłaby się schować. I tak nie była głodna. Oczekała na odpowiedni moment, by dołączyć do grupy osób opuszczających salę, co dawało pewność, że nikt nie zauważy jej odwrotu. Już w holu rozejrzała się wokół siebie. Na wprost znajdowały się główne schody prowadzące na górę. Po lewej dostrzegła dwie kobiety wchodzące do jednego z pokoi.

Nie miała najmniejszej ochoty wdawać się w kobiecą paplaninę. Zdecydowanie skrzyła na prawo. Przy końcu słabo oświetlonego korytarza zobaczyła otwarte drzwi; płomienie z niewidocznego kominka odbijały się w wypolerowanych płycinach. Zaciekawiona, skierowała się w tamtą stronę i odkryła niewielki, pusty gabinet. Na małym stoliku stała karafka i kieliszki, co pozwoliło przypuszczać, że znalazła się w pomieszczeniu przygotowanym dla gości strudzonych gorącym panującym w sali balowej. Z westchnieniem ulgi weszła do środka, po krótkim zastanowieniu pozostawiając drzwi otwarte.

Podeszła do stolika i nalała sobie wody. Kiedy już zaspokoila pragnienie, usłyszała zbliżające się głosy. Rozejrzała się szybko, zatrzymując wzrok na przestronnej alkwie. Niewiele myśląc, ukryła się w niej, zasuwając szczelnie kotary.

Usłyszała, że, rozmawiając, osoby wchodzą do pokoju i stają przy kominku. Wstrzymała oddech, ale nikt nie podszedł do kotar. Uspokojona odwróciła się... i omal nie upadła, potykając się o parę wielkich stóp, należących do dżentelmena wyciągniętego w fotelu we wnęce.

- Och! - Odruchowo podniosła dłoń do ust. - Co pan tu robi? - zapytała pełnym irytacji szeptem.

Mężczyzna wolno odwrócił głowę w jej stronę.

- Czekam na panią, moja droga - oznajmił z uśmiechem.

Arabella zacisnęła mocno powieki, a gdy je uniosła, on nadal tam był. Lord Denbigh podniósł się z fotela i stanął przed nią, wysoki, dostojny i onieśmielający. Przyjrzał się z zadowoleniem Arabelli, po czym podniósł do ust jej drobną dłoń.

- Wiedziałem, że nie będę musiał długo czekać - powiedział niskim,

zmysłowym głosem.

- Skąd pan mógł wiedzieć, że tu przyjdę?

- Cóż... Gdzie indziej by pani się udała, nie mając partnera do walca?

- Jak pan śmie!

Uniosła dłoń, by wymierzyć mu policzek i zetrzeć z jego twarzy bezczelny uśmiech. Tymczasem lord Denbigh chwycił rękę Arabelli i wykręcił ją do tyłu, jednocześnie przyciągając ją do siebie. Zaraz potem zrobił to samo z jej drugą ręką i tym sposobem znalazła się w jego ramionach.

- Lordzie Denbigh! Proszę mnie natychmiast puścić! - zażądała ściszym głosem, żeby nie usłyszały jej osoby przebywające w pokoju.

Nie mogła przecież dać się przyłapać w tak pożałowania godnej sytuacji. Nie był to zresztą jej jedyny problem; drugim było zachowanie Hugona. O co mu właściwie chodziło? Złość nagle ją opuściła, wyparta przez zupełnie inne odczucia. Uniosła głowę, spoglądając na niego błyszczącymi oczyma, z ustami nieświadomie rozchylonymi ze zdziwienia.

Hugo przesunął delikatnie palcem po jej pełnej dolnej wardze. Mimo że jego twarz pozostawała w półmroku, oświetlona słabo jedynie blaskiem księżyca, Arabella widziała w jego wzroku pożądanie.

- Hugonie, proszę mnie puścić!

W odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

- Za chwilę, skarbie. Najpierw muszę się upewnić, że nie uderzy mnie pani w twarz.

Niespodziewanie chwycił ją za podbródek, zajrzał jej w oczy, napawając się wyczerną z nich złością, po czym zachichotał i dotknął wargami jej ust.

Arabella nie zamierzała odwzajemnić pocałunku. Niecnie ją oszukał! Próbowwała dać wyraz swemu oburzeniu, ale nie wiedzieć czemu potrafiła myśleć tylko o tym, jak cudownie miękkie i ciepłe są usta Hugona. Czowała, że całe jej ciało ogarnia rozkoszna błogość. Wtopiła się w jego ramiona. Bardziej poczuła, niż usłyszała, jak Hugo się śmieje. Nie od razu się zorientowała, że uwolnił jej dłonie i właściwie nie wiedziała, co powinna zrobić. Nie znajdując lepszego rozwiązania, zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego jeszcze mocniej.

Kiedy Hugo wreszcie oderwał się od jej ust, uśmiechnął się leniwie i powiedział:

- Musi pani przyznać, że to jest przyjemniejsze od kręcenia się po parkiecie w walcu.

Arabella nie znalazła słów, żeby mu odpowiedzieć.

- Żadnych ciętych uwag? - zakpił. Zarumieniła się lekko.

- Powinniśmy wracać. - Próbowwała się wyswobodzić z jego uścisku, ale jej się nie udało.

Nie przestając się uśmiechać, pokręcił głową.

- Jeszcze nie. To był walc, przed nami kolacja. - Musnął jej wargi tak lekko, że ledwie je poczuła. - A ja jestem piekielnie głodny.

Mimo zdenerwowania niezręczną sytuacją Arabellę rozbawił ten łobuzerski ton. Znów jednak spoważniała, kiedy Hugo powrócił do jej ust, tym razem wciągając ją na wody znacznie głębsze niż te, po jakich dotąd żeglowała.

Hugo był na tyle doświadczony, by wiedzieć, jak daleko może się posunąć, i po chwili, już oboje opanowani, osobno wrócili na salę balową.

\* \* \*

Mimo zastosowania przemyślanej strategii Arabelli nie udało się wymknąć niepostrzeżenie. Wracając od karcianego stolika, Maks dostrzegł znikającą za drzwiami kobiecą postać z kasztanowymi lokami. Przez moment obawiał się nawet, że to Caroline go opuszcza, ale zaraz usłyszał jej perlisty śmiech i doszedł do wniosku, że widział Arabellę, najbardziej podobną do Caroline spośród wszystkich sióstr.

Miał jednak ważniejsze sprawy na głowie niż zastanawianie się nad poczynaniami Arabelli. Niepokoiło go to, że najstarsza z panien Twinning tak bez reszty zawładnęła jego zmysłami. Uczestnicy balu zauważyli, że z nią tańczył. Nie przejmował się zanadto opiniami innych i był pewien, że poradzi sobie z zażegnaniem ewentualnego skandalu. Martwiło go zupełnie coś innego: zachowanie dwóch głównych osób w całej tej sprawie, czyli panny Twinning i własne.

Przy całym szacunku dla obiektu swych zachodów przeliczył się w dwóch kwestiach. Po pierwsze, wyobrażał sobie, że uwiedzenie prawie dwudziestosześcioletniej kobiety, która dotąd prowadziła nadzwyczaj spokojne życie, będzie go kosztowało sporo wysiłku. Tymczasem od samego początku Caroline odpowiadała na jego zaloty z taką swobodą i naturalnością, że zaskoczony stracił głowę. Miał na tyle doświadczenia, by wiedzieć, że wystarczyłoby parę słów zachęty z jego strony, i zapomniawszy o wszelkich zasadach i konwenansach, oddałaby mu się bez reszty. Tym bardziej go irytowało, że zamiast niezwłocznie wykorzystać jej bezbronność, nagle zaczął mieć skrupuły. Druga jego pomyłka polegała na tym, że przekonany, iż doskonale zna obyczaje panujące w

towarzystwie, planował wykorzystać pozycję opiekuna, stwarzając sytuacje, w których będzie mógł przebywać sam na sam z Caroline. Jednakże pomimo - a może właśnie z powodu? - przychylności, jaką mu okazywała, unikała takich spotkań i poza kilkoma okazjami związanymi z omawianiem spraw którejs z siostr, praktycznie nie widywał jej na osobności. Uwodzenie kobiety bezustannie zatroskanej o los siostr okazało się zadaniem przekraczającym jego możliwości.

Ma się rozumieć, zrewidował pogląd na to, jaką rolę Caroline ma odegrać w jego życiu. Doszedł do wniosku, że najpierw musi zadbać o zabezpieczenie przyszłości siostr, nim wreszcie on i Caroline będą mogli pomyśleć o własnym przeznaczeniu. Jednak życie, jak szybko się uczył, nie zawsze było takie proste. Mógł zakładać, że w zaistniałych okolicznościach wszyscy będą się spodziewać ogłoszenia zaręczyn najstarszej z panien Twinning w pierwszej kolejności. A nie chciał pozwolić na to, by jakikolwiek mężczyzna zalecał się do Caroline.

Ponieważ nie zrobił nic, by nabrała właściwego wyobrażenia o jego zamiarach, nie łudził się, że może przyjąć oświadczyzny kogoś w rodzaju Willoughby'ego tylko po to, by uwolnić się od zakusów opiekuna. Jednak gdyby uznał, że nie jest jej opiekunem, prawdopodobnie tym bardziej by go unikała.

Istniało, oczywiście, proste rozwiązanie. Tyle że bardzo nie lubił działać pod dyktando swojej sfery. Dlatego nie zamierzał powiadamiać Caroline o zmianie planów. Skłonność do podejmowania wyzwań kazała mu postępować w taki a nie inny sposób. Darcy starał się zbyt mocno i był za szybki, dlatego padł na ostatniej przeszkodzie. W sprawach tak delikatnej natury jak uwodzenie odpowiednie wyczucie czasu było najważniejsze.

Tłumek męskich sylwetek zgromadzony wokół najstarszej panny Twinning wywołał grymas lekkiego niezadowolenia na twarzy Maksa. Jednakże muzycy zaczęli grać, więc mógł poprowadzić Caroline na parkiet.

Z przyjemnością spojrział w jej szarozielone oczy; ujrzał w nich radość z tańca, podobną do tej, jaką sam odczuwał. Objął ją mocniej.

- Mam nadzieję, że pani siostry zachowują się nienagannie?

- Jeśli o pańskich przyjaciółkach można powiedzieć to samo, nie powinno być problemów - odparła z uśmiechem.

- A propos pani siostr i pani samej, to co mam mówić licznym adoratorom, którzy wkrótce zaczną się tłoczyć na schodach Delmere House?

Dostrzegł malujące się na jej twarzy zakłopotanie, podczas gdy zastanawiała się nad odpowiedzią na to trudne pytanie. Nie widział powodu, by jej mówić, że korzystając z pozycji opiekuna, odprawił kilku kandydatów, z których żaden nie

wydawał mu się odpowiedni. Nie był pewien, czy siostry wiedziały o zainteresowaniu, jakim darzyli je ci mężczyźni.

Caroline rozważała istniejące możliwości. Gdyby nieopatrznie powiedziała Maksowi, żeby przyjmował każdego ze starających się panów, wkrótce mogłyby mieć serdecznie dość tłumaczenia nieszczęsnym zalotnikom, że ich uczucia są nieodwzajemnione. Z drugiej strony, dawanie Maksowi Rotherbridge'owi wolnej ręki w wybieraniu dla nich mężów także nie było rozsądne. Postanowiła grać na zwłokę.

- Najlepiej będzie się umówić, że damy panu znać, gdy któraś z nas będzie spodziewała się oświadczyn ze strony dżentelmena, którego kandydaturę zechce poważnie wziąć pod uwagę.

- Bardzo rozsądne wyjście - pochwalił Maks. - Proszę mi powiedzieć, jak długo trwa przypinanie oderwanej falbany?

Caroline zamruwała zaskoczona dziwnym pytaniem.

- Pytam dlatego - wyjaśnił Maks, kończąc taniec - że Arabella opuściła salę, zanim muzycy zaczęli grać, i jak widzę, nadal jej nie ma.

Caroline się stropiła, ale by nie dać po sobie poznać niepokoju, zachowała pogodny wyraz twarzy i lekki ton.

- A widzi pan gdzieś na sali lorda Denbigha? Maks nawet nie musiał się rozglądać.

- Nie pojawił się, odkąd tu wszedłem - odparł, a po chwili zapytał: - Czy jej naprawdę na nim zależy? Bo jeśli tak, to obawiam się, że wkrótce znajdzie się w trudnym położeniu. Skorzystawszy z zaoferowanego ramienia, Caroline podążyła wraz z Maksem do jadalni, gdzie podano kolację.

- W przypadku Arabelli nigdy nic nie wiadomo - powiedziała z ledwie widocznym uśmiechem. - Ze swoim upodobaniem do flirtu wydaje się łatwa do rozszyfrowania, ale to tylko pozory. Tak naprawdę jest zamknięta w sobie i dość nieufna. - Mówiąc to, pochyliła się ku Maksowi, by nie słyszał jej nikt z coraz gęstszego tłumu zmierzającego ku nakrytym stolom.

Maks przyjął opinię Caroline z uśmiechem zrozumienia; potwierdziła to, co sam sądził o Arabelli. Wiedząc o serdecznej zażyłości panującej między siostrami, czuł się w obowiązku dodać:

- Tak czy inaczej, byłoby lepiej, gdyby jej pani odradziła angażowanie się w tę znajomość. Hugo Denbigh, jak przychodzi co do czego, jest równie niebezpieczny... - na moment zawiesił głos, zaglądając jej w oczy z przewrotnym uśmiechem - ...jak ja.



Świadoma, że są obiektem powszechnego zainteresowania, Caroline starała się nie dać po sobie poznać, jak podziałało na nią wyznanie Maksa.

- Bardzo dobrze... o tym wiedzieć - wydukała.

Maks uśmiechnął się jeszcze szerzej. W progu jadalni odwrócił się, żeby jeszcze raz omieść wzrokiem pustoszejącą salę balową.

- Jeśli nie zjawi się za dziesięć minut, będziemy musieli jej poszukać. A na razie chodźmy, moja droga, bo czekają na nas wyborne krokiety z homara.

Usiedli przy stoliku, gdzie wkrótce, ku zadowoleniu Maksa, dołączyli do nich pan Willoughby oraz niezbyt urodziwa młoda kobieta o nazwisku Spence. Pan Willoughby najwyraźniej liczył na to, że zajmie rozmową piękną pannę Twinning, nie poświęcając najmniejszej uwagi mało wymagającej pannie Spence oraz opiekunowi panny Twinning, ale okazało się to trudniejsze, niż sobie wyobrażał. Uciekając się do subtelnych, acz skutecznych wybiegów, książę Twyford tak pokierował konwersacją, że pan Willoughby po chwili stanął przed koniecznością wypowiedzenia się na temat filozofii, który to temat nie do końca mu odpowiadał. Dla Caroline szybko stało się jasne, że Maks umyślnie stara się odstraszyć biednego pana Willoughby'ego, co przyjęła z zażenowaniem i zarazem ulgą.

W końcu zniechęcony pan Willoughby wstał, żeby odprowadzić pannę Spence pod skrzydła jej rodzicielki. Widząc jego rejteradę, Caroline spojrzała z przyganą na Maksa i odkryła, że jego uwaga skupiona jest bez reszty na wyjściu z sali balowej. Podążając za jego wzrokiem, dostrzegła wchodzącą Arabellę, wyraźnie zarumienioną i promienną. Arabella podeszła do stolika, gdzie siedziała Sara w otoczeniu kilku osób, i z typową dla siebie swobodą włączyła się do pogawędki, dziękując z uśmiechem młodzieńcowi, który poderwał się, żeby ustąpić jej swego krzesła.

Caroline ponownie spojrzała na Maksa, ale ten wciąż nie odrywał wzroku od drzwi, w których ukazał się z kolei lord Denbigh. Sprawiał wrażenie gościa, który spóźnił się na kolację, i interesuje go jedynie to, czy zostało jeszcze choć trochę słynnych krokietów. U postronnej osoby jego obojętny wzrok i leniwy uśmiech nie mogły wzbudzić żadnych podejrzeń. Tyle że Maks Rotherbridge nie był osobą postronną. Od razu dostrzegł, że Hugo spogląda spod na wpół opuszczonych powiek w kierunku Arabelli, wesoło rozprawiającej z otaczającą ją gromadą kawalerów.

\* \* \*

Maks odprowadził Caroline do sali balowej i zostawił w gronie

zachwyconych adoratorów. Przed opuszczeniem sali pozwolił sobie zgromić surowym spojrzeniem dwóch dżentelmenów o wątpliwej reputacji, mających czelność dołączyć do grupy otaczającej pannę Twinning. Liczył na to, że uda mu się namówić Caroline do oglądania księżyca z tarasu. Nie miał jednak złudzeń, że zdoła uwieść kobietę pochłoniętą bez reszty troską o szczęście nie jednej, lecz dwóch swoich sióstr. Dlatego z rezygnacją skierował się do karcianego stolika.

Po drodze minął Arabelle, która wyraźnie czuła się w swoim żywiole, zabawiając towarzystwo wpatrzone w nią z zachwytem. Maks przyjrzał jej się uważnie, a ona, jakby wyczuwając na sobie jego wzrok, nagle się do niego odwróciła. Odniósł wrażenie, że poczuła się zakłopotana, więc uśmiechnął się do niej szeroko. Po ledwie wyczuwalnym momencie wahania odwzajemniła uśmiech, po czym wróciła do przerwanej rozmowy.

Maks poszedł w swoją stronę. Musiał w duchu przyznać, że Caroline rzeczywiście ma powody do troski. Stając w progu pomieszczenia, gdzie grano w karty, jeszcze raz odruchowo rozejrzał się po sali balowej i w głowie zaświtała mu niepokojąca myśl.

- Twyford! Skąd się tu wziąłeś? Ostatnio rzadko pokazywałeś się w takich miejscach.

Przeprosiwszy pułkownika Weatherspoona, Maks usunął się z drzwi, żeby nie tarasować drogi, i ponownie omiół wzrokiem salę balową. Gdzie się podziała Lizzie? Nie widział jej przy kolacji, ale też jej wówczas specjalnie nie wypatrywał. Od początku uważał ją za niewinne dziecko, ale teraz coś mu podpowiadało, że wcale nie jest aż tak młoda, by nie sprawiać kłopotów. Już miał podejść do ciotki Augusty, zadającej szyku wytworną toaletę z brązowego jedwabiu, kiedy jego uwagę przyciągnął ruch przy szklanych drzwiach prowadzących na taras.

Ukazała się w nich Lizzie z rozmarzonym uśmiechem na ustach. Jej drobna dłoń spoczywała pewnie na ramieniu Martina. Maks widział, jak Lizzie zwraca na jego brata spojrzenie tak pełne ufności, że bardziej niewinne można by znaleźć jedynie u świeżo narodzonej owieczki. A Martin, ten nicpoń o wilczej naturze, szeroko się do niej uśmiecha.

Maks okręcił się na pięcie i energicznym krokiem opuścił salę. Poczł, że musi się napić czegoś mocniejszego.

## *Rozdział ósmy*

Arabella próbowała odgonić trzmiela buczonego jej nad głową. Leżała wyciągnięta na brzuchu na kamiennym obmurowaniu stawu zdobiącego dziedziniec Twyford House, leniwie przebierając palcami w chłodnej zielonkawej wodzie. Muślinowa suknia o barwie jasnego różu układała się miękko na powabnych krągłościach jej ciała, a słomkowy kapelusz chronił delikatną cerę przed popołudniowym słońcem. Większość młodych kobiet w takim położeniu wyglądałoby cokolwiek dziecinnie, natomiast Arabella, ze swym tęsknym wyrazem twarzy, była pełna uroku.

Jej siostry równie swobodnie spędzały czas. Sara, oparta plecami o postument słonecznego zegara, z twarzą ocienioną rondem kapelusza, plotła łańcuch ze stokrotek. Ciemna zielona batystowa suknia podkreślała niezwykłą bladość jej twarzy, z której wзираły wielkie brązowe oczy. Lizzie siedziała przy skalnym ogródku, z wyraźnym brakiem zaangażowania haftując coś na tamborku. Muślinowa sukienka o dziewczęcym wzorze w gałązki pasowała do jej młodego wieku, choć nie była w stanie zamaskować całkiem dojrzałych kształtów.

Caroline obserwowała siostry z wyściełanego poduszkami hamaka, rozwieszonego między dwiema czereśniami. Gdyby książę mógł ją widzieć, z pewnością przypadłaby mu do gustu muślinowa suknia w kolorze bursztynu, którą wybrała na ten ciepły dzień. Miękka tkanina opinała kobiece wypukłości, a głęboki dekolt odsłaniał sporą część piersi.

Siostry pojawiały się na dziedzińcu jedna po drugiej, wywabione z domu wiosennym słońcem i oszałamiającym zapachem kwiatów. Czas pomiędzy lunchem a obowiązkową wyprawą do parku był porą odpoczynku, którą przy intensywnym życiu towarzyskim coraz bardziej zaczynały doceniać. Gdy tylko to było możliwe, starały się spędzać te godziny razem; przypominały im minione lata, kiedy musiały się zadowalać przebywaniem jedynie we własnym gronie.

Sara wydała z siebie głośnie westchnienie. Zdjęła kapelusz i założyła sobie gotowy łańcuch na szyję, po czym znów schowała ciemne pukle pod nakryciem głowy.

- Co zrobimy?

Natychmiast spoczęły na niej trzy pary oczu. Nie doczekawszy się odpowiedzi, podjęła rzeczowym tonem:

- Przecież dalej tak być nie może. Żadna z nas niczego nie osiągnęła.

Arabella przekręciła się na bok, żeby lepiej widzieć siostry.

- Jeśli chodzi o ciebie, moja droga, to lorda Darcy'ego nie ma w Londynie.

- Rzeczywiście - przyznała Sara. - Właśnie sobie uświadomiłam, że nadal muszą tu być jacyś jego przyjaciele. Mam na myśli tych, oczywiście poza księciem, którzy mogliby do niego napisać.

- Cokolwiek zamierzasz zrobić, moja kochana - zabrała głos Caroline - lepiej mnie uprzedź, zanim wprowadzisz w osłupienie całe towarzystwo. Chyba bym tego nie zniosła, gdyby nasz opiekun zażądał wyjaśnień, a ja nie miałabym mu nic do powiedzenia.

Sara zachichotała.

- Czyżby sprawiał ci jakieś trudności?

Uśmiech Caroline stał się nagle podejrzanie tajemniczy, czego Sara z Arabellą nie omieszkały zauważyć.

- Chyba nie mówił niczego na mój temat? - zainteresowała się Lizzie. Zarumieniała się pod uważnymi spojrzeniami siostr. - To znaczy o mnie i Martinie - dodała cicho, nagle skupiona nad robótką.

Arabella parsknęła śmiechem i zauważyła:

- Mała spryciara. Wygląda na to, że tylko ty jedna dostałaś wiatru w żagle. Reszta z nas utknęła na mieliźnie z takiego czy innego powodu.

Caroline spoważniała.

- Dlaczego pytasz? Czyżby Maks dał ci do zrozumienia, że nie pochwała twojej zażyłości z jego bratem?

- Cóż... - Lizzie się zawahała. - Chyba nie jest zbyt... szczęśliwy, że tak często się widzimy.

Znajomość z Martinem Rotherbridge'em zacieśniała się, jakkolwiek przebiegało to dość burzliwie. Mimo ostrzeżeń Maksa oraz własnych obaw Martin nie był w stanie pozostać obojętny na uroki panny Lizzie Twinning. Od czasu tamtego pierwszego, niezaprzeczalnie niewinnego pocałunku, sprawy rozwinęły się na tyle, że znalazłszy się w ramionach Martina w altance w ogrodzie lady Mailing, Lizzie znów dała się pocałować. Tyle że tym razem inicjatywa należała do Martina. Lizzie była zdumiona gwałtowną reakcją własnych zmysłów. Nie wiedziała, że i Martina Rotherbridge'a zaskoczyło to przeżycie.

Próbował stłumić w sobie narastające pożądanie, ale przekonał się, że to wcale nie jest łatwe. Unikanie panny Twinning wcale nie przynosiło mu ulgi, przeciwnie, rozniecało w nim tęsknotę. W końcu poddał się i zaczął towarzyszyć Lizzie, kiedy tylko to było możliwe.

Lizzie miała rację, zakładając, że Maks nie pochwała ich związku, myliła się

jednak co do powodów jego niechęci. Doskonale znając charakter swojego brata, książę się obawiał, że oczarowany wdziękami najmłodszej panny Twinning i jednocześnie zmuszony do wyrzeczeń w imię obowiązujących zasad, Martin straci głowę na długo przed tym, nim uświadomi sobie, że jest w niej zakochany. Przypuszczenia Maksa znalazły potwierdzenie, gdy zupełnie niechcący zaskoczył ich, kiedy wracali do sali balowej. Nie mógł nie dostrzec promiennego uśmiechu na twarzy Lizzie. Dziewczyna widziała, jak Maks zgromił brata spojrzeniem, ale uszła jej uwagi mina Martina.

Caroline, mając trafne wyobrażenie, co Maks sądzi o tej znajomości, wiedziała, że Lizzie nie zdaje sobie sprawy z czyhających na nią zagrożeń. Trzy starsze panny Twinning odziedziczyły zarówno wygląd, jak i usposobienie po rodzinie ojca, co w pewnym stopniu tłumaczyło jego awersję do kobiet. Thomas Twinning obserwował zachowanie swoich siostr, zanim w końcu każda z nich ustatkowała się w małżeńskim stadle. Jednak nim to nastąpiło, zarówno jego ojciec, jak i on sam przeżywali niejedną ciężką zgrzyotę. Nic więc dziwnego, że odkrywszy u swoich córek podobne skłonności, doszedł do wniosku, że najlepiej będzie trzymać je na wiejskim odludziu. Jedynie Lizzie nie powieliła tego wzorca; odziedziczyła wprawdzie wygląd typowy dla kobiet z rodziny Twinningów, ale jej łagodny charakter, niepozbawiony jednak pewnego uporu, raczej przypominał spokojną Eleanor. Widząc ślad troski na twarzyczce najmłodszej siostry, Caroline uznała, że nadszedł czas, by przynajmniej spróbować wytłumaczyć Lizzie, że w życiu nie zawsze wszystko jest takie, na jakie wygląda. Okazja do udzielenia nauki była tym bardziej odpowiednia, że miała u boku Sarę i Arabelle, do których w razie potrzeby mogła się zwrócić o wsparcie.

- Wydaje mi się, kochanie - zaczęła Caroline - że Maks nie ma zastrzeżeń do twojego zainteresowania Martinem. Myślę, że chodzi mu bardziej o twoje dobre imię.

Lizzie była wyraźnie zdziwiona słowami siostry.

- Dlaczego przebywanie z jego bratem miałoby narażać na szwank moje dobre imię?

Sara parsknęła rubasznym śmiechem, zupełnie niepasującym do damy.

- Och, Lizzie, skarbie! Będziesz musiała dorosnąć. Nasz opiekun się martwi, bo zna swojego brata i wie, że mówiąc najogólniej, młode damy nie są przy nim bezpieczne.

Bezpośredniość Sary nie spodobała się Lizzie.

- Martin wcale nie jest taki! - zaoponowała z oburzeniem.

- Och, kochanie, musisz w końcu przejrzeć na oczy - włączyła się do rozmowy Arabella. - Nie tylko „jest taki”. Martin Rotherbridge zyskał sporą sławę, a raczej niesławę właśnie dlatego, że „jest taki”. To rozpustnik. Podobnie jak Hugo Denbigh i Darcy Hamilton. Ma się rozumieć, największym lubieżnikiem z nich wszystkich jest nasz drogi opiekun, któremu mocno wpadła w oko obecna tu Caroline. Obawiam się, że nazwisko Twinning przyciąga uwodzicieli. Podobamy im się, a oni... - Zamyśliła się, przekrzywiając głowę na bok.

- A oni... no cóż, oni nam się podobają. Nie ma sensu rozważać tego, co oczywiste.

Widząc przestach na twarzy Lizzie, Caroline postanowiła dodać jej otuchy.

- To wcale nie znaczy, że nie kończą tak jak bardziej konserwatywni mężczyźni. Po prostu, zwykle potrzeba im więcej czasu, by zrozumieli, że... pragną małżeństwa. - Przy tych słowach Caroline zerknęła na Sarę, która z opuszczoną głową, wpatrzona we własne palce, splatała kolejny wianek ze stokrotek - Myślę, że w ich przypadku czas robi swoje. Niebezpieczny jest jednak okres oczekiwania.

Lizzie z trudem nadążała za wywodem siostry.

- Martin nigdy... no wiesz, nie próbował...

- Chcesz powiedzieć, że nigdy cię nie pocałował? - spytała Arabella, nie kryjąc niedowierzania.

Lizzie splonęła rumieńcem.

- Owszem, ale to ja pierwsza go pocałowałam.

- Lizzie! - wykrzyknęły wszystkie trzy siostry równocześnie, po czym równie zgodnie się roześmiały. Arabella najszybciej się opanowała.

- Och, moja droga, nazwisko Twinning pasuje do ciebie bardziej, niż nam się zdawało!

- To było całkiem przyjemne - wyznała Lizzie. - Tak prawdę mówiąc, co powinnam zrobić? Unikać go? To nie brzmi zachęcająco. Nie sędzę, żebym była w stanie powstrzymać go przed całowaniem. Lubię, kiedy mnie całuje.

- Nie w pocałunkach tkwi problem - stwierdziła rzeczowo Sara. - Chodzi o to, co następuje potem, i co jeszcze trudniej powstrzymać.

- Święta prawda - poparła ją Arabella, przyglądając się z uwagą swoim dłoniom. - Jeśli chcesz lekcji, jak utrzymać rozpustnika na dystans, to raczej nie licz na mnie. Na Sarę też nie powinnaś. Jedynie Caro dotąd się to udawało. - Obrzuciła uważnym spojrzeniem twarz najstarszej siostry, po czym dodała: - Chyba tylko dlatego, że nasz drogi opiekun prowadzi przebiegłą grę.

Caroline lekko się zarumieniła, pokrywając uśmiechem zakłopotanie.

- Niestety, muszę się z tobą zgodzić. Zapadło milczenie.

- Sara, jakie masz plany? - odezwała się wreszcie Caroline.

- Jeśli zacznę flirtować ze wszystkimi kawalerami z towarzystwa, pewnie tylko napytam sobie kłopotów. Darcy prawdopodobnie nie da się na to nabrać, a ja zepsuję sobie reputację. Nie umiem flirtować tak dobrze jak Bella.

Arabella popatrzyła z ukosa na siostrę.

- Mogę ci udzielić lekcji - zaproponowała.

- Nie - wtrąciła stanowczo Caroline. - Sara ma rację. To zły pomysł. -

Następnie odwróciła się do Lizzie. - Kolejnym problemem jest to, kochanie, że rozpustnicy znają wszystkie sztuczki, więc trudno nimi manipulować.

- Jeszcze świętsza prawda - przyznała Arabella. - W takim razie jakie jest wyjście w tej sytuacji?

Sara uśmiechnęła się z goryczą.

- Wybrałabym raczej pozę odrzuconej dziewczyny, bo bardziej mi odpowiada. Nic nachalnego, po prostu wycofanie się w cień. Będę nadal chodziła na wszystkie przyjęcia i bale, ale zachowując się bardziej powściągliwie, tak żeby... jak by to powiedzieć... Caroline, podpowiedz mi, proszę. Moja rozpacz? Złamane serce? Nieważna nazwa, ważne, żeby było to widać.

Siostry zastanowiły się nad przedstawionym przez Sarę planem i nie znalazłszy w nim słabych punktów, powstrzymały się od krytyki.

- Moja droga, raczej nie pozostaje ci nic innego - podsumowała Caroline.

- Co zamierzasz zrobić w sprawie lorda Denbigha? - zwróciła się Sara do Arabelli.

- Sama nie wiem. Nie mogę wzbudzić jego zazdrości, bo jak powiedziała Caroline, on zna wszystkie sztuczki. A poza odrzuconej dziewczyny zupełnie do mnie nie pasuje.

Arabella wypróbowała wszystkie możliwe sposoby, starając się usidlić nieuchwytnego Hugona, ale on przyjmował jej wysiłki z humorem i skwapliwie wykorzystywał każdy błąd w taktyce. W takich sytuacjach, co Arabella miała okazję odkryć ku swojej konsternacji, potrafił działać z bezwzględną skutecznością. Starła się zachowywać wielką ostrożność, nie stwarzając okazji, by mogli się znaleźć sam na sam.

- A może by spróbować... - Caroline urwała, nagle tknięta poczuciem winy, że zachęca siostry do spiskowania. Jednak przynaglona pytającymi spojrzeniami dziewcząt, szczególnie Lizzie, która dosłownie chłonęła każde jej słowo, musiała

mówić dalej: - Możesz dać mu do zrozumienia, że ponieważ nie wystąpił z oświadczeniami, a ty, jako cnotliwa młoda dama nie możesz przyjąć żadnej innej propozycji, jesteś zmuszona, choć z głębokim żalem, odwrócić się od niego i dać szansę innemu mężczyźnie o uczciwych zamiarach.

Arabella wpatrywała się w najstarszą siostrę z niekłamanym podziwem.

- Och, Caroline! - wykrzyknęła. - To doprawdy znakomity plan!

- Wprowadzenie go w życie nie powinno ci sprawić szczególnych trudności - orzekła Sara. - Kto byłby najlepszy do tego celu spośród grona twoich wielbicieli? Trzeba uważać, żeby nie wzbudzić nadmiernych oczekiwań, ale przecież masz ogromne doświadczenie w prowadzeniu tego rodzaju gry.

Arabella popadła w zadumę, wybierając w myślach ewentualnych kandydatów.

- Sir Humphrey Bullard i pan Stone - zdecydowała. - Obaj są wyjątkowo przyziemni, więc nie ma ryzyka, że się we mnie zakochają. Każdy z nich podchodzi do małżeństwa z zimną kalkulacją, wątpię, by ulegali porywom serca. Obaj chcą mieć atrakcyjne żony, chętnie bogate, które nie będą od nich zbyt wiele wymagały. Spełniam te warunki, ale oni nie zniżą się do tego, żeby zabiegać o moje względy. Doskonale się nadadzą, żeby odegrać role w mojej szaradzie.

Caroline pokiwała głową.

- Na to wygląda.

- Świetnie! Zaczę jeszcze dzisiaj wieczoru - oznajmiła Arabella z błyskiem w wielkich brązowych oczach.

- A co z tobą, Caroline? - zapytała z uśmiechem Sara. - Nie wyjawiaś, jak zamierzasz rzucić na kolana naszego drogiego opiekuna.

Caroline uśmiechnęła się blado.

- Gdybym wiedziała, co powinnam zrobić, na pewno bym wam powiedziała.

Obawiając się nie bez podstaw, że gdyby tylko dała mu okazję, Maks mógłby zawładnąć jej zmysłami, Caroline konsekwentnie odmawiała spotkań na osobności. W istocie ostatnio była dość zajęta pilnowaniem sióstr, co księżę zdawał się rozumieć. Musiała przyznać, że starał się jak najlepiej wywiązywać z funkcji opiekuna, okazywał jej wsparcie, a nawet odkładał na bok własne sprawy, by dzielić jej troski związane z zachowaniem młodszych sióstr, za co była mu szczerze wdzięczna. Co więcej, uświadomiła sobie, że księżę wkładał wiele wysiłku w to, by orientować się w poczynaniach podopiecznych. Odniosła nawet wrażenie, że problemy niesfornych dziewcząt do tego stopnia absorbują jego uwagę, że dla niej pozostaje jej doprawdy niewiele. Dlatego z przewrotnym błyskiem w oku



oznajmiła:

- Prawdę mówiąc, bieg własnych spraw mogę przyspieszyć tylko w jeden sposób. Pomagając wam, byście jak najszybciej osiągnęły swoje cele. Może kiedy nasz drogi opiekun uwolni się od trosk o was trzy, będzie w stanie skupić się na mnie.

\* \* \*

To Lizzie doprowadziła do przyjaźni sióstr Twinning z dwiema pannami Crowbridge, które także zostały wprowadzone do towarzystwa tego roku. Alice i Amanda były bardzo ładne, w typie urody, który cieszył się powodzeniem, dopóki do miasta nie zawitały siostry Twinning. Nieco blade, jasnowłose i eteryczne, wydawały się wyjątkowo kruche przy dorodnych pannach Twinning i w przeciwieństwie do nich były ubogie. Jak dotąd starania rodziców, by znaleźć im dobrze sytuowanych mężów, spełzły na niczym.

Przechodząc przez kolejną salę balową, tym razem należąca do lady Mott, wsparta na ramieniu Martina, Lizzie usłyszała przypadkiem ostre słowa wypowiedziane przez postawną kobietę o nieco końskiej twarzy do młodej dziewczyny, prawdopodobnie córki.

- Dlaczego wy dwie nie możecie być takie jak one? Te dziewczyny wychodzą, z kim im się podoba. Wystarczy trochę więcej stanowczości. Ale ty i Alice...

Resztę tyrady zagłuszył panujący na sali gwar. Lizzie przypomniała ją sobie później, kiedy udała się do pokoju wypoczynkowego, żeby podpiąć urwany rąbek sukni nieopatrznie przydeptanej przez Martina. Kiedy weszła, w pomieszczeniu nie było nikogo poza tą samą dziewczyną; zwinięta w kłębek, próbowała opanować płacz.

Ponieważ u Lizzie niewinność szła w parze z miękkim sercem, nie potrzebowała dużo czasu, żeby zaprzyjaźnić się z Amandą Crowbridge i dowiedzieć się o niedoli sióstr. Nie posiadając obycia i pewności siebie, jakimi dysponowały panny Twinning, rzucone bez żadnego przygotowania w oszałamiający świat londyńskich elit, nieszczęsne Crowbridge'ówny nie potrafiły rozmawiać z mężczyznami, zatem nie były w stanie przyciągnąć uwagi odpowiednich kawalerów. Dla Lizzie rozwiązanie tego problemu było oczywiste.

Zarówno Arabella, jak i Sara, mimo że obie miały inne sprawy do załatwienia, chętnie zgodziły się udzielić pannom Crowbridge stosownych nauk. Z początku podjęły się tej roli bardziej ze względu na Lizzie niż z wielkoduszności,

lecz po tygodniu mocno się zaangażowały. Opieka sióstr Twinning zaowocowała definitywną zmianą towarzyskiego położenia panien Crowbridge. Zamiast jak dotąd podpierać ściany, śmiało dołączały do grupek rozmawiających młodych ludzi. Przymuszane do konwersacji na różne tematy przez Arabelle i Sarę, szybko odkryły, że wymiana zdań z elegantami ze stołecznych salonów w gruncie rzeczy nie aż tak bardzo różni się od pogawędek ze swojskimi chłopcami z sąsiedztwa. Przy stałej zachęcie i wsparciu sióstr Twinning panny Crowbridge rozwijały skrzydła.

Caroline i księżę Twyford obserwowali rozwijającą się przyjaźń i przyklaskiwali jej oboje, każde z innego powodu. Upewniwszy się, że panny Crowbridge wywodzą się z szacownej rodziny, choć ich matka, mimo szlacheckiego pochodzenia, była, jak ujęła to dosadnie lady Benborough, trochę namolna, Caroline cieszyła się, że siostry znalazły rozrywkę, która pozwoli im odetchnąć od romantycznych rozterek. Maks natomiast był rad, że pochłonięte nowymi znajomościami podopieczne pozostaną bezpiecznie w salach balowych i salonach, dając mu szansę na sam na sam z Caroline.

W ciągu następnych dni tak bardzo starał się wykorzystać te nowe możliwości, że Caroline musiała po wielokroć otwarcie mu odmawiać spotkań, do których uparcie dążył. Dowiedziała się, że ich wzajemne stosunki są przedmiotem rozmaitych domysłów, i zaczynała poważnie się obawiać reperkusji, jakie mogły z tego wyniknąć dla niej, dla sióstr i dla księcia Twyford, który niepokojąco łatwo czytający jej w myślach, nie zniechęcał się protestami. Znalazłszy się w ramionach Maksa, jak zwykle w tej sytuacji bezradna, Caroline resztką woli zdobyła się na sprzeciw.

- Co spodziewa się pan tym osiągnąć? Na litość boską, przecież jestem pańską podopieczną!

- Słodka Caro, niech pani uzna czas spędzony ze mną za pouczające doświadczenie. Jak zauważyła nieoceniona ciotka Augusta, któż lepiej od twojego opiekuna wskaże ci zagrożenia czyhające w wielkim świecie?

Nie była w stanie odpowiedzieć mu, co myśli o takich argumentach, prawdę mówiąc, nie była w stanie w ogóle wydobyć z siebie głosu, bo Maks zawładnął jej wargami, wzbudzając w całym ciele przyjemny dreszczyk. Ocknąwszy się po dłuższej chwili z miłej bezwolności, Caroline zauważyła, że Maks przygląda się jej spod na wpół przymkniętych powiek.

- Powiedz mi, proszę, moja droga, czy gdybyś nie znajdowała się pod moją opieką, zgodziłabyś się na bliższy związek?

Caroline spróbowała skupić myśli. Nie całkiem rozumiała pytanie, ale odpowiedź wydawała się oczywista.

- Oczywiście, że nie! - skłamała, próbując się wyswobodzić z jego objęć.

Usta Maksu rozciągnęły się w leniwym uśmiechu. Przytulił ją do siebie jeszcze mocniej; po drzeniu jego ramion poznała, że się śmieje. Znow ją pocałował, po czym odsunął się, by spojrzeć jej prosto w oczy.

- W takim razie, moja droga, musisz jeszcze czegoś się nauczyć.

Oszołomiona Caroline chciała zażądać wyjaśnień, ale Maks odgadł jej zamiar i zapobiegł pytaniu, ponownie przywierając do jej ust. Zirytowana zabawą w kotka i myszkę Caroline próbowała się wycofać z udziału w tej dziwnej grze, której zasady były dla niej całkowicie niezrozumiałe. Szybko jednak się przekonała, że księżę nie zamierza jej na to pozwolić. W końcu zmuszona skapitulować przed znaczniejszą siłą, stopniała w jego ramionach, oddając ciało i duszę doświadczonemu zdobywcy.

\* \* \*

Sir Ralph Keighly po raz pierwszy pojawił się niczym chmura gradowa na horyzoncie sióstr Twinning podczas balu u lady Richardson. Właściwie był to raczej horyzont panien Crowbridge, choć na tym etapie przyjaźni nie czyniło to różnicy. Sir Ralph, właściciel majątku w Gloucestershire, przyjechał do Londynu w poszukiwaniu żony. Jak się okazało, miał upodobanie do słodkich młodych istot w typie, jaki uosabiały siostry Crowbridge, szczególnie zaś Amanda Crowbridge. Na swoje nieszczęście sir Ralph był niesłychanie zarozumiały, która to przykra cecha łączyła się w jego przypadku z niepozornym wyglądem. Dlatego też został od razu wykluczony z grona ewentualnych kandydatów przez panny Crowbridge oraz ich mentorki.

Jednak sir Ralph okazał się znacznie bardziej przebiegły, niż można by się spodziewać. Widząc, że jego zabiegi wokół Amandy wypadają blado w porównaniu z umizgami całkiem sporej gromady przystojniejszych młodych mężczyzn skupionych wokół panien Twinning i Crowbridge, odstąpił od bezpośrednich zalotów i poświęcił wszystkie siły na pozyskanie przychylności pana i pani Crowbridge. Tu udało mu się osiągnąć niezaprzeczalny sukces, został bowiem zaproszony do towarzyszenia Crowbridge'om na balu u lady Richardson.

Mimo łzawych protestów Amandy, jej dłoń spoczywała na ramieniu sir Ralpha, kiedy przekraczali próg sali balowej lady Richardson. Na stanowcze polecenie rodziców musiała zatańczyć z sir Ralphem dwa walce. Jak zauważyła z

przekąsem Arabella, gdyby to było dozwolone, biedna Amanda zostałaby przymuszona do spędzenia u jego boku całego balu. W każdym razie nie mogła dołączyć do przyjaciółek na czas kolacji, lecz z nieszczęśliwą miną towarzyszyła sir Ralphowi i rodzicom.

Na trzy panny Twinning sukces osiągnięty przez sir Ralpha podziałał jak czerwona płachta na byka. Wszystkie bez wyjątku uznały jego poczynania za wielce niekorzystne zakłócenie pomyślnie postępującego towarzyskiego rozwoju swoich protegowanych. Nawet zawsze łagodna Lizzie nie posiadała się ze złości. Jednakże bal nie był odpowiednią okazją do wytaczania wojny, więc siostry Twinning zajęły się swoimi sprawami, odsuwając problem sir Ralpha na później.

Sara dokładała wszelkich starań, by postrzegano ją jako ofiarę nieodwzajemnionej miłości. Dzielnie znosiła swój ból, ale wszyscy wiedzieli, że nie ma nadziei szybko się z niego otrząsnąć. Uważano, że robi dobrą minę do złej gry ze względu na siostry, ponieważ nie chce im zepsuć sezonu, choć najchętniej zaszyłaby się ze swym cierpieniem w jakimś ciemnym kącie. Jej wielkie brązowe oczy i naturalnie blada cera doskonale współgrały z nową rolą. Wprawdzie nie unikała rozmów i tańców, ale jej żywiołowość, tak widoczna na początku sezonu, znikła. Tego ostatniego przynajmniej nie musiała udawać.

Arabella, co wszyscy od razu zauważyli, zaczynała się rozglądać za odpowiednim kandydatem do zameścia. Ponieważ Hugo Denbigh był znacznie ostrożniejszy w awansach wobec niej niż Darcy Hamilton w stosunku do Sary, nie plotkowano o nich jako parze. Dlatego też fakt, że lord Denbigh nie znalazł się w kręgu zainteresowania Arabelli, nie wywołał uwag. Popularność sióstr Twinning sprawiła, że z ożywieniem spekulowano, kogo też Arabella ostatecznie wybierze. To z kolei, jak często się zdarzało w takich razach, doprowadziło do kilku zakładów zapisanych w księdze jednego z męskich klubów. Plotka głosiła, że zarówno pan Stone, jak i sir Humphrey Bullard są poważnie brani pod uwagę. Jednak nawet najbardziej przenikliwy obserwator nie byłby w stanie stwierdzić, któremu z tych dżentelmenów panna Arabella okazuje więcej przychylności.

Pośród tych dramatycznych rozgrywek Lizzie Twinning jak zawsze pozostała sobą, okazując sympatię młodym mężczyznom, którzy z szacunkiem zabiegali o jej względy, lecz zachowując najsłodsze uśmiechy dla Martina Rotherbridge'a. Ponieważ była młodziutka, a Martin miał dość rozsądku, by powstrzymać się od zbyt poufalitych gestów przy ludziach, wszyscy zakładali, że młodszy Rotherbridge pomaga bratu w pełnieniu obowiązków opiekuna, rozumiejąc, że przy czwórce dziewcząt w tak szczególnym wieku zadanie bynaj-

mniej nie jest łatwe. Martinowi coraz trudniej było namówić Lizzie na spędzenie z nim chwili sam na sam, więc narastało w nim poczucie rozczarowania i gasła nadzieja na miłe przeżycia z najmłodszą panną Twinning.

Zmiana sytuacji Amandy Crowbridge trochę zmartwiła Caroline. Nie życzyłaby sobie takiego kandydata dla żadnej z sióstr. Ponieważ jednak wszystkie podeszły do tego wydarzenia filozoficznie, ona także postanowiła się nim nie przejmować, oszczędzając siły, nie tylko psychiczne, na coraz częstsze spotkania z Maksem.

Mimo jej wysiłków, by unikać przebywania w towarzystwie księcia, tak się złożyło, że wracała jego powozem na Mount Street. Miejsce obok niej zajmowała Miriam Alford, natomiast Maks siedział naprzeciwko. Lady Benborough i trzy młodsze panny Twinning jechały drugim powozem. Zgodnie z przewidywaniami Caroline ich przyzwoitka zapadła w głęboki sen, ledwie wytoczyli się z podjazdu przed domem Richardsonów.

Popatrując przez okno na pola zalane światłem księżycy, Caroline obliczyła w myślach, że mają przed sobą co najmniej czterdzieści minut jazdy. Czekala na pierwszy ruch Maksa, a mogła być pewna, że taki nastąpi, przygotowując się wewnątrz na stawienie oporu. Jednak w miarę upływu kolejnych minut zaczęło do niej docierać, że jeśli książę znienacka stanie się bardzo zasadniczy i podróż przebiegnie bez żadnego niestosownego incydentu, poczuje nie ulgę, lecz zawód. Ukradkiem zerknęła na Maksa.

Patrzył przez okno na mijany krajobraz; srebrzysta poświata wydobywała z mroku kontur jego rysów. Jakby czując na sobie jej spojrzenie, odwrócił głowę i ich oczy się spotkały. Caroline odniosła wrażenie, że czyta jej w myślach. Kiedy się pochylił, była pewna, że weźmie ją za rękę i zachęci, aby usiadła obok niego. Tymczasem ku jej całkowitemu zaskoczeniu objął ją w pasie i posadził sobie na kolanach.

- Maks! - wydała z siebie zduszony okrzyk

- Ciii... Chyba nie chcesz obudzić panny Alford. Dostałaby biedaczka palpacji.

Przerażona Caroline próbowała dosięgnąć stopami podłogi, gdy usłyszała tuż przy uchu:

- Skarbie, jeśli nie przestaniesz wiercić swoim ślicznym tyłeczkiem, to lekcja, której zamierzam ci udzielić, wyjdzie daleko poza planowany zakres.

Caroline zmartwiała.

- Tak jest o wiele lepiej - pochwalił szeptem Maks.

Odwróciła głowę, pilnując, by jej biodra pozostały w bezruchu. Położyła mu rękę na piersi, chcąc go od siebie odsunąć, choć z góry wiedziała, że jej wysiłki okażą się daremne.

- Maks, to szaleństwo! Musisz natychmiast przestać!

- Dlaczego? Nie podoba ci się? - Powolnym ruchem gładził ją po plecach. Miała wrażenie, że jego dotyk pali jej skórę pod cienką warstwą jedwabiu.

Przybierając możliwie najsurowszy wyraz twarzy, odpowiedziała na jego pierwsze pytanie, uznawszy za stosowne pominąć drugie milczeniem.

- Jestem twoją podopieczną, czyżbyś zapomniał?

- Powinnaś zawsze o tym pamiętać.

Caroline zastanawiała się, co miał na myśli. Tymczasem Maks ujął w dłoń jej piersi.

- Maks!

- Ciii... - Tylko tyle usłyszała, zanim zawładnął jej ustami.

## *Rozdział dziewiąty*

W drugim powozie również sporo się działo, choć była to aktywność innego rodzaju. Lady Benborough, wzorem pani Alford, szybko zapadła w drzemkę i wcale jej nie przeszkadzały szepty dziewcząt. Lizzie, Sara i Arabella, poruszone nieszczęściem Amandy, przez kilka minut dawały upust swoim odczuciom.

- Przecież sir Ralph nawet nie jest dobrą partią - powiedziała Sara.

- Pewnie, że nie - poparła ją Lizzie. - To okropne! Pan Minchbury prawie dojrzał do oświadczeń, ma większą posiadłość, nie mówiąc o tym, że jest o wiele przystojniejszy. Poza tym Amanda go lubi.

- No tak - wtrąciła Arabella - ale on nie wkradł się w łaski pani Crowbridge. Ta kobieta musi mieć źle w głowie, żeby w ogóle brać pod uwagę wydanie Amandy za sir Ralpha Keighly'ego.

- I co zrobimy? - spytała rzeczowo Sara.

Przejechały w milczeniu ponad milę, rozważając różne możliwości.

- Nie sądzę, żeby rozmowa z Crowbridge'ami coś dała - orzekła Arabella.

- Racja - poparła ją Sara. - Wzięcie w obroty Amandy także nie ma sensu. Jest zbyt uległa.

- Pozostaje sir Ralph - stwierdziła Lizzie. Po krótkiej pauzie dodała: - Wiem, że nie jesteśmy w jego typie, ale chyba umiałabyś sobie z nim poradzić, Bello?

Dzięki Hugonowi Arabella miała pewne wyobrażenie o tym, co przyciąga do

siebie osoby przeciwnych płci.

- Cóż, warto spróbować. I tak nie mamy nic lepszego do roboty.

Przez resztę podróży siostry pochylone ku sobie omawiały szczegóły planu.

\* \* \*

Już następnego wieczoru Arabella rozpoczęła kampanię mającą na celu oderwanie sir Ralpha od Amandy. Kiedy siostry Twinning wyjawily nieszczęsnej pannie, że zamierzają ją uwolnić od niechcianego zalotnika, Amanda zrobiła wielkie oczy ze zdumienia. Przysięgłszy, że będzie się wiernie trzymać udzielanych jej instrukcji, bez przykrości odtańczyła obowiązkowe dwa walce z sir Ralphem, okazując nawet dobry nastrój, za co później została zganiona przez Sarę. Skruszona, przeprosiła i pozostała u boku Sary, podczas gdy Arabella wkroczyła na scenę.

Ponieważ sir Ralph nie żywił cieplejszych uczuć do Amandy, Arabella nie musiała się wysilać, by przyciągnąć jego uwagę. Jednak ku konsternacji sióstr Twinning, ich plan prawie natychmiast ściągnął na nie kłopoty.

Księżciu się nie spodobało, że sir Ralph umizga się do Arabelli. Wiadomość przekazana przez Caroline, a następnie powtórzona przez lady Benborough nakazywała Arabelli mieć się na baczności. Podczas szybkiej konferencji odbytej w pokoju wypoczynkowym siostry zgodnie doszły do wniosku, że nie ma szans, by Maks zaaprobował ich plan. Postanowiły też nie wspominać o nim ani słowem Caroline, wiedząc, że choć bardzo je kocha, jej wytrzymałość ma swoje granice.

- Przecież nie możemy tak po prostu się poddać! - zawołała przejęta Lizzie.

- Nie. Nie poddamy się - zapewniła ją Arabella - ale trzeba wprowadzić zmiany. Wy dwie - powiedziała, spoglądając na Sarę i Lizzie, zupełnie nie zwracając uwagi na Amandę i Alice, również tam obecne - będziecie działać w moim imieniu. Dzięki temu nie będę spędzać dużo czasu z sir Ralphem, ale będzie o mnie ciągle myślał. Przekażecie sir Ralphowi, że ponieważ go kocham, chcę go nadal widywać wbrew woli naszego opiekuna. - Zmarszczyła czoło w wyrazie namysłu. - Musimy uważać, żeby nie odmalować księcia w zbyt ciemnych brawach. Ma powstać wrażenie, że w końcu ustąpi, widząc ogrom mojego przywiązania do sir Ralpha. Maks wie, że lubię flirtować, i dlatego wątpi w siłę mojego uczucia. Powinno to być wystarczająco wiarygodne.

- W porządku. - Sara pokiwała głową. - My przygotujemy grunt, a ty wymierzysz *coup de grace*.

Przystąpiły do dzieła.

Arabelli było na rękę, że sprawa sir Ralpha wynikała w czasie, gdy udawała zainteresowanie sir Humphreym i panem Stone'em, nie chciała bowiem, by któryś z tych dwóch dżentelmenów zaczął sobie za dużo wyobrażać. O ile jej cierpliwość w znoszeniu zalotów ich obu zaskoczyła i zdumiała lorda Denbigha, obserwującego sytuację z pewną dozą nieufności, o tyle flirt z sir Ralphem wywołał dziwny błysk w jego orzechowych oczach.

Hugo spodziewał się, że Arabella będzie flirtować jak najęta z całą swoją swiłą po to, żeby wzbudzić w nim zazdrość i nakłonić go do oświadczenia. Był gotów spokojnie to przetrzymać, śledząc jej wybryki z boku, bawiąc się nimi i czekając na odpowiedni moment, by przystąpić do uwodzenia. Jednak myśl, że byłaby skłonna wyjść za mąż bez miłości, wydała mu się nie do przyjęcia. Czegoś takiego po niej się nie spodziewał. Znał Arabellę na tyle, by wiedzieć, że byłoby to fatalne rozwiązanie. W istocie, jako żona znacznie starszego od siebie mężczyzny, zapewne przychylniej by potraktowała jego propozycję dyskretnego związku. Kiedy jednak sobie wyobraził, że miałyby oddać swe bujne wdzięki któremuś z tych podstarzałych zalotników, bezwiednie zazgrzytał zębami. Nagłe zainteresowanie Arabelli sir Ralphem Keighlym, tak niepasujące do jej stylu, naprawdę go zaniepokoiło, podejrzewał bowiem, że może się za nim kryć jakiś głębszy zamysł.

Zastanawiał się, czy Arabella zdaje sobie sprawę z tego, co robi. Fakt, że nadal przyjmowała awanse czynione jej przez sir Ralpha, mimo iż Twyford jasno wyraził dezaprobatę, był tym bardziej zastanawiający.

Arabella, wyczuwając niepokój Hugona, nadal podążała śliską drogą, którą sama sobie wytyczyła. Spoglądając jednym okiem na lorda Denbigha, drugim na księcia, jedną ręką zachęcała sir Ralpha, drugą trzymała na dystans sir Humphreya i pana Stone'a. Któregoś ranka przyznała się siostrze, że to bardzo wyczerpujące zajęcie.

Wspierana przez konspiracyjne działania sióstr, zacieśniała zażyłość z sir Ralphem. Gdy pewnego wieczoru wracali do grupy przyjaciół, okrążywszy w tańcu salę balową lady Summerhill, podeszła do nich drobna kobieta ubrana na brązowo.

Sir Ralph zeszywniał na jej widok.

Nieznajoma zaczerwieniła się na twarzy.

- Jak się państwo mają? - zagadnęła, obejmując spojrzeniem Arabellę i sir Ralpha. - Jestem Harriet Jenkins - przedstawiła się Arabelli, po czym zwróciła się do jej towarzysza tonem pełnym goryczy: - Witaj.

Arabella spojrzała z zaciekawieniem na nagle oniemiałego sir Ralpha.



- Dobra pana Jenkinsa graniczą z moimi - wydukał w końcu, pochylając się niezgrabnie nad wyciągniętą dłonią kobiety.

Arabella przeniosła pytający wzrok na Harriet Jenkins.

- Mojego ojca - usłyszała wyjaśnienie.

Sir Ralph nagle zauważył kogoś, z kim musiał zamienić kilka słów, i pospiesznie je opuścił. Arabella spojrzała na pannę Jenkins.

- Przyjechała pani niedawno do miasta? - zagadnęła.

Harriet Jenkins oderwała wzrok od oddalającej się sylwetki sir Ralpha i przyjrzała się stojącej naprzeciw niej piękności.

- Owszem. Nudziłam się w domu, więc ojciec zaproponował, żebym pojechała do Londynu na kilka tygodni. Zatrzymałam się u mojej ciotki, lady Cottesloe.

Wyjaśnienie tylko po części zadowoliło Arabellę. Z natury szczerą aż do bólu, postanowiła nie owijać niczego w bawełnę.

- Proszę mi wybaczyć, panno Jenkins, ale czy pani i sir Ralph...?

- Nie. Och, ma pani rację, sądząc, że ja go pragnę. Ralph inaczej to widzi. Znam go od zawsze, rozumie pani. A wydaje mi się, że człowiek nie docenia tego, co znajome. - Przypomniawszy sobie, z kim rozmawia, zarumieniła się i dodała:

- To nie znaczy, oczywiście, że chciałabym się równać z londyńskimi pięknościami.

Utwierdzona w swych podejrzeniach Arabella wzięła pannę Jenkins pod rękę.

- Nie powinnam przysparzać pani zmartwień, moja droga.

Mówiąc te słowa, pomyślała o braku swobody, jaki sir Ralph okazywał w obecności pięknych kobiet. Zachowywał się niezręcznie zarówno przy niej, jak i wcześniej przy Amandzie. Istniała możliwość, że wyzbywał się swej dziwnej pozy w sytuacjach, kiedy czuł się mniej zagrożony, na przykład przy panie Jenkins.

- Cóż, nie ma sensu się oszukiwać. Może nie powinnam tego mówić, ale Ralph i ja byliśmy na najlepszej drodze do zawarcia małżeństwa, zanim postanowił się rozejrzeć przed podjęciem nieodwracalnej decyzji. Czasami mi się zdaje, że zrobił to ze strachu przed ślubem.

- Bardzo prawdopodobne - przyznała ze śmiechem Arabella, kierując pannę Jenkins w stronę swoich sióstr.

- Ojciec się wściekł i powiedział, że powinnam dać sobie z nim spokój. Przekonałam go, żeby mi pozwolił pojechać do Londynu i sprawdzić, jak się sprawy mają. Cóż, chyba mogę wracać do domu.

- Ależ nie, nie powinna pani wracać, panno Jenkins! - zawołała Arabella. - Czy mogę do pani mówić po imieniu? Harriet, chciałabym cię poznać z moimi siostrami.

\* \* \*

Pojawienie się Harriet Jenkins spowodowało pewne zmiany w planach sióstr Twinning względem sir Ralpa. Po krótkim zastanowieniu dopuściły ją do spisku, na co przystała z wielką ochotą. Jej niespodziewana obecność uwolniła Arabellę od troski o to, jak pozbędzie się sir Ralpa, gdy Amanda przyjmie oświadczenia pana Minchbury'ego, który w odpowiedzi na subtelne zabiegi Lizzie był już o krok od złożenia miłosnej deklaracji. Obecnie pozostawało jej jedynie metodą sprytnej manipulacji pokazać sir Ralphowi, gdzie jego miejsce, kierując go pod czułą opiekę Harriet. Tak czy inaczej, sprawy układały się całkiem nieźle.

Panny Twinning czekało jednak nieprzyjemne zaskoczenie, odkryły bowiem, że pani Crowbridge nie dała za wygraną. Wiadomość o jej ostatnim pomysle dotarła do sióstr dwa dni później, w Beckenham, gdzie pojechały obejrzeć start balonu. Nieustraszeni awiatorzy jeszcze się nie pokazali, więc panny Twinning wysiadły z powozu i wraz z siostrami Crowbridge oraz panną Jenkins spacerowały po polu, czerpiąc przyjemność z popołudniowego słońca i podziwu dżentelmenów, których także przyciągnęło to niezwykle wydarzenie. Wtedy się wydało, że pani Crowbridge zachęciła sir Ralpa, by złożył im poranną wizytę, po czym pod byle pretekstem zostawiła go samego z Amandą na dobre dwadzieścia minut. Tak nieczne posunięcie odebrało im mowę z oburzenia. Sir Ralph, trzeba mu oddać sprawiedliwość, nie wykorzystał sytuacji i nie pozwolił sobie na żaden śmiały gest.

- Prawdopodobnie nie miał czasu dobrze się zastanowić, czy woli Arabellę, czy Amandę - stwierdziła ze śmiechem Sara. - Biedak! Prawie mi go żal, skoro nawet pani Crowbridge go osacza.

Ostatnie uwaga rozbawiła wszystkie uczestniczki spisku. Szybko jednak spoważniały, przejęte niekorzystnym obrotem sprawy.

- No tak - odezwała się Lizzie, wyrażając obawę, która zakiełkowała również w umysłach Sary i Arabelli - jeśli pani Crowbridge będzie tak postępować, to może zmusić sir Ralpa do oświadczeń, wmawiając mu, że skompromitował Amandę.

- Boję się, że to możliwe - przyznała Harriet. - Ralph jest bardzo łatwowierny. - Pokiwała głową z tak wyraźnym potępieniem, że Arabella z Sarą ledwie powstrzymały chichot.

- Nie wolno do tego dopuścić - odezwała się nieoczekiwanie Amanda. -

Znam swoją matkę. Nie ustąpi, dopóki nie osiągnie celu. Musicie wymyślić jakiś sposób, żeby... żeby się pozbyć sir Ralpa, i to szybko.

- Nie tylko ze względu na ciebie, ale i na niego - powiedziała Harriet. -  
Pozostaje tylko pytanie, jak to zrobić?

Zamilkły, zastanawiając się nad możliwymi rozwiązaniami niespodziewanego problemu. Musiały jednak na jakiś czas odłożyć planowanie, dołączyło do nich bowiem kilku dżentelmenów, którzy koniecznie chcieli złożyć im wyrazy uszanowania. Mimo że spotkanie odbywało się w swobodnej scenerii, zachowywali się z najwyższą galanterią, być może dlatego, iż widzieli powóz księcia Twyford, stojący nieopodal na skraju pola.

Pan Mallard jako pierwszy zajął miejsce u boku Lizzie, po nim zjawili się pan Swanston i lord Brookfell. Nie minęło wiele czasu, a uformowała się całkiem spora gromada. Słyszając, jak jeden z panów komplementuje suknie młodszych dziewcząt, porównując je do bukietu kwiatów, Sara z Arabellą wymieniły spojrzenia i zachichotały, po czym zwolniły, puszczając młodsze towarzystwo przodem... i padły ofiarą własnych adoratorów.

Sir Humphrey Bullard, korpulentny mężczyzna o rumianej twarzy, miał nadzieję zawładnąć niepodzielnie uwagą Arabelli, spotkało go jednak rozczarowanie, bowiem niemal równocześnie z nim pojawił się pan Stone, jak zwykle poważny, i zajął miejsce po jej drugiej stronie. Każdy z nich chciał służyć Arabelli ramieniem, ale ona pokręciła głową i powiedziała:

- Doprawdy, panowie, przyprawiacie mnie o rumieniec. Co dama powinna zrobić w takiej sytuacji?

- Cóż, dokonać wyboru - zasugerował rzeczowo pan Stone.

Arabella dostrzegła błysk zdecydowania w jego oczach i przyszło jej do głowy, że być może przejrzał jej grę. Z niezręcznego położenia wyratował ją sir Humphrey, boleśnie świadomy, że ustępuje Stone'owi doskonałością postury.

- Widzę, że balon jest już na miejscu. Może podejźmy bliżej, żeby obejrzeć start, panno Arabello?

- Będziemy musieli podejść całkiem blisko, jeśli mamy cokolwiek zobaczyć - odezwała się Sara, zbliżając się do nich z lordem Tulloch.

Nim dotarli do otoczonego barierką kręgu na środku pola, zdążył się tam zgromadzić tłum. Czasza balonu powoli się napełniała. W końcu oderwał się od ziemi i majestatycznie nabierał wysokości, aż naprężyły się liny mocujące kosz do podłoża.

- Całe to urządzenie wygląda na bardzo kruche - powiedziała Arabella,

patrzac na czasie z kolorowych pasow jedwabiu. - Ze tez nie boja sie ryzykować.

- Cóż, trzeba powiedziec, ze nie zawsze wychodza z tego bez szwanku - stwierdzil pan Stone. W jego glósie slychac bylo dezaprobatę dla tak lekkomyślnych przedsięwzięć.

- Ha! - parsknal sir Humphrey.

Arabella spojrzala na Sare, usmiechajac sie przy tym porozumiewawczo.

Dopiero kiedy balon szczęśliwie odlecial i tłum zaczal sie rozpraszac, siostry Twinning mialy okazje powrocic do sprawy sir Ralpha. Jak bylo do przewidzenia, to Sara z Arabella wpadly na pomysl rozwiązania. Szeptem przedstawily swój plan pozostałym dziewczętom, podkreślajac, ze jego powodzenie bedzie wymagało wielkiej dbalosci o detale. Poniewaz tego dnia nie mialy szansy dluzej porozmawiac bez świadków, umowily sie następnego ranka w Twyford House. Caroline wcześniej zapowiedziala, ze chce odwiedzić dawną nianie, która opuścila dom Twinningów po śmierci jej matki, i dlatego mlodsze siostry jej nie znaly. Wszystko wiec wskazywalo na to, ze beda mogly sie zebrać w bocznym saloniku Twyford House i swobodnie wszystko omowić, jako ze kwestia usunięcia z drogi sir Ralpha stawala sie coraz bardziej naglacą.

Wracajac do swojego powozu, stojacego obok eleganckiego ekwipażu z godlem Delmere na drzwiczkach, trzy mlodsze siostry Twinning usmiechnely sie do opiekuna, który obserwowal je spod sciągniętych brwi.

Maks wyczuwal, ze cos wisi w powietrzu, ale nie mial pojecia, czego moze sie spodziewac. Byl przekonany, ze jego podopieczne cos knuja, a ich niewinne usmiechy tylko utwierdzily go w podejrzeniach. Zakladal, ze Caroline, siedzaca obok niego w sukni z wzorzystego muslinu, nie jest wtajemniczona w te konspiracje.

Caroline rzeczywiscie pozostawala w blógiej niewiedzy na temat zamiarów sióstr. Spędzila bardzo przyjemny dzien u boku księcia i byla zyczliwie nastawiona do całego świata. Najpierw obserwowali start balonu z kozla kariolki, a potem, gdy wyrazila chęc przechadzki, Maks ochoczo zgodzil sie jej towarzyszyć i przez cały czas zabawial ja dowcipnymi uwagami. Ze spokojem oczekiwala na powrot na Mount Street, wiedzac, ze w odkrytym pojeździe nie bedzie narażona na kolejną „lekcje”. Zastanawiala sie, ile jeszcze takich lekcji ja czeka, nim jej „nauczyciel” uzna, ze posiadla zadowalajacą wiedze i moze zakonczyc edukacje.

Maks skupiony byl bez reszty na powozeniu zaprzęgiem złożonym z pary pięknych gniadoszy. Popatrzyła na jego dłonie pewnie trzymajace wodze. Przypomniawszy sobie, co czula, gdy wodził nimi po jej cielem, odwrócilą glowe, by

ukryć rumieniec. Spoglądając niewidzącym wzrokiem na mijany krajobraz, próbowała skierować myśli na bezpieczniejsze tory.

Poddając się rozkoszy, jaką znajdowała w ramionach Maksa Rotherbridge'a, zapominała o całym świecie. W ogniu pragnienia, które w niej rozniecił, powoli spalały się wszelkie zahamowania i moralne opory. Czuła, że jest tylko kwestią czasu, kiedy mu ulegnie. A fakt, że to przecucie zamiast napawać ją lękiem, wzbudzało w niej przyjemny dreszcz oczekiwania, mówił sam za siebie.

Kiedy koła kariolki zagrzechotały o bruk, uświadomiła sobie, że są już w Londynie, i pomyślała o lady Benborough, która została w domu, zbierając siły na bal, w którym miały wziąć udział tego wieczoru. Rano, gdy witała się z Augustą, zastanowiło ją zachowanie sędziwej damy. Lady Benborough mocno się przykładała do zadania polegającego na zaznajomieniu powierzonych jej dziewcząt z odpowiednimi kawalerami z towarzystwa, natomiast nie powiedziała dotąd ani słowa na temat związku łączącego Caroline z jej bratankiem. Było to co najmniej dziwne. Wydawało się niemożliwe, by lady Benborough nic o nich nie wiedziała. Tymczasem Augusta przez cały czas zachowywała się tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Caroline przyszło do głowy, że być może Augusta wie coś, o czym ona nie ma pojęcia.

\* \* \*

Kilka dni później siostry Twinning wybrały się do opery. Po raz pierwszy w życiu znalazły się w tym imponującym gmachu. Zmierzając do łoży zarezerwowanej dla nich przez księcia, rozglądały się z wielkim zainteresowaniem. Usadowione na miejscach, z których roztaczał się widok na scenę i widownię, spoglądały na tłum, który przybył zaznać muzycznej rozrywki. W dole widziały morze głów; przy niektórych modnie przystrzyżonych męskich czuprynach widać było swobodne fryzury kobiet, co do których można było podejrzewać, że należą do półświatka.

Jednak ciekawość panien Twinning budziły głównie osoby zajmujące sąsiednie łoża, a te zapełniały się coraz szybciej, w miarę jak zbliżał się czas podniesienia kurtyny. Wszystkie cztery ochoczo machały i kiwały głowami do znajomych, dopóki nie zgasły światła.

Caroline, w eleganckiej sukni ze srebrzystego atłasu zdobionej brązową koronką, siedziała wysunięta nieco przed księcia i z zachwytem chłoneła spektakl. Tydzień wcześniej mimochodem wspomniała Maksowi, że chciałaby pójść do opery, a on od razu zorganizował wszystko co trzeba. Mimo zasłuchania czuła na

swych odkrytych ramionach spojrzenie księcia.

Maks już dawno przestał analizować swoje uczucia wobec najstarszej panny Twinning; był pod jej urokiem i zdawał sobie z tego sprawę. Każda jej radość stawała się jego radością, i tylko to się liczyło. Nagle odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego ciepło; był to najpiękniejszy wyraz wdzięczności, jakiego mógł oczekiwać. Odwzajemnił uśmiech i przez moment patrzyli sobie w oczy, po czym Caroline zarumieniła się i skierowała wzrok z powrotem na scenę.

Maksa niewiele obchodziło samo przedstawienie; w przeszłości więcej miał do czynienia ze śpiewaczkami niż z muzyką. Rozglądając się po otoczeniu, zatrzymał spojrzenie na Sarze. Nie zdołał dokładnie się zorientować w jej zamiarach, ale był pewien, że jej sytuacja nie jest tak prosta, jak by mogło się wydawać. Doprawdy trudno było sobie wyobrazić, by którakolwiek z sióstr Twinning wybrała samotność jako swoje przeznaczenie. Światło ze sceny padało na twarz Sary, bładą w kontraście z ciemną zielenią sukni.

Troski nie zostawiły śladów na jej klasycznych rysach, jakkolwiek Maks odniósł wrażenie, że jej delikatnie wykrojone usta przybrały bardziej zdecydowany wyraz. Wątpił, by Darcy na swoim wygnaniu wiedział, co ostatnio działo się z Sarą.

Za Sarą siedzieli lord Tulloch i pan Swanston, zaproszeni przez Maksa jako osoby towarzyszące dla Sary i Arabelli. Najwyraźniej zaden z nich nie miał szczególnego upodobania do opery. Ziewali dyskretnie w oczekiwaniu na moment gdy kurtyna opadnie, i będą mogli się pokazać w doborowym towarzystwie.

Arabella także się nudziła; na przemian poprawiała fałdy jedwabnej różowej spódnicy i obracała w dłoniach wachlarz. Maks uśmiechnął się, widząc, że próbuje zajrzeć do sąsiednich łoży. Powinien był jej oszczędzić trudu, wyjawiając za-wczasu, że Hugo Denbigh nie cierpi opery i dotąd nie przestąpił progu Covent Garden.

Lady Benborough, spowita w fioletowy aksamit, z uwagą słuchała arii. W pewnym momencie zniecierpliwiona zachowaniem Arabelli, skarciła ją ostrym szeptem, na co dziewczyna ściągnęła usta w wyrazie skruchy.

W drugim końcu łoży siedział Martin, a obok niego Lizzie, pochylona do przodu, chłonęła każdy trel wydobywający się z gardła sopranistki. Martin natomiast nie zwracał najmniejszej uwagi na wysiłki rozłożystej śpiewaczki, wpatrzony w Lizzie, którą nieprzyzwoicie trzymał za rękę. Maks westchnął; miał nadzieję, że jego brat zdaje sobie sprawę z tego, co robi.

Aria dobiegła końca i kurtyna poszła w dół. Kiedy wreszcie ucichły oklaski,

na widowni znów zrobiło się jasno i gwarno.

- Chodźmy się przejść - zaproponował Maks. Caroline odwróciła się, patrząc na niego pytająco.

- Po to się chodzi do opery, moja droga: żeby patrzeć i być widzianym. Wbrew pozorom najwięcej się dzieje w korytarzach Covent Garden, nie na scenie.

- Oczywiście. - Wstała, wygładzając spódnice. - Nie wiedziałam tego, bo jestem prowincjuską. - Oczy rozbłysły jej figlarnie. - Jakie to wielkoduszne, drogi opiekunie, że tak dbasz o naszą edukację.

Maks podał jej ramię. Kiedy przystanęli, żeby przepuścić innych przodem, nachylił się do jej ucha.

- Wręcz przeciwnie, słodka Caro. Dbam o twoją edukację, ale z całkowicie egoistycznych powodów.

Na widok przewrotnego błysku w jego niebieskich oczach Caroline lekko się zarumieniła. Pomyślała, że właściwie powinna się przyzwyczać do tego rodzaju niestosownych uwag.

- Tak? - Starła się, by zabrzmiało to niewinnie. - Czy to znaczy, że nie odniosę żadnej korzyści ze swej świeżo zdobytej wiedzy?

Znajdowali się sami w łoży, niewidoczni dla innych. Stali nieruchomo, wpatrzeni w siebie. Maks uniósł dłoń Caroline i ucałował koniuszki jej palców.

- Moja droga, kiedy już znajdziesz klucz, odkryjesz, że za tymi właściwymi drzwiami leży raj. Niedługo, słodka Caro, już bardzo niedługo.

Dopiero na korytarzu Caroline nieco ochłonęła. Prawie natychmiast otoczył ich tłum znajomych, a Maks, zachowując się bardziej powściągliwie niż zwykle, oddalił się, żeby rozprostować nogi. Raz po raz zatrzymywał się, by zamienić z kimś słowo, ale nie wdawał się w dłuższe rozmowy i wkrótce dotarł do korytarza przy łożach po przeciwnej stronie widowni. Rozległ się dzwonek wzywający widzów do zajęcia miejsc przed następnym aktem. Maks już miał zawrócić, kiedy przywołał go donośny głos.

- Emmo. - Skłonił głowę.

Wspierała się na ramieniu młodego mężczyzny, którego przedstawiła, i zaraz potem odprawiła, zwracając się do Maksa.

- Wydaje mi się, że powinniśmy odbyć poważną rozmowę.

Ostry ton jej głosu nie wróżył niczego dobrego. Maks, który przez piętnaście lat pracował na opinię hulaki, znał ryzyko wynikające z takiego trybu życia.

- Chyba masz rację, moja droga, ale może w bardziej stosownym miejscu - powiedział.

Wcześniej zauważył w korytarzu niewielką wnękę, do której teraz skierował lady Mortland, podtrzymując ją za łokieć.

- Słucham, Emmo, o co ci chodzi? - zapytał Maks, kiedy już usiedli na osobności.

Lady Mortland nagle zwątpiła w skuteczność wybranej przez siebie strategii. Pod zimnym spojrzeniem, do jakiego nie była przyzwyczajona, wyraźnie się zawahała.

- Właściwie - zaczęła miękko - miałam nadzieję, że przyjdiesz do mnie i porozmawiamy w bardziej... sprzyjających warunkach.

- Dość, Emmo - uciał Maks. - Dobrze wiesz, że nie zamierzam cię odwiedzać.

Stanowczość tego stwierdzenia rozgniewała lady Mortland.

- No tak! Odkąd zobaczyłeś tę małą harpię, którą nazywasz podopieczną, nie masz dla mnie czasu!

- Na twoim miejscu nie czyniłbym tego rodzaju uwag na temat młodej damy do jej opiekuna - ostrzegł niewzruszony Maks.

- Opiekun, dobre sobie! Lepiej powiedz, że się w niej kochasz!

Bez słowa uniósł brwi.

- Zaprzeczysz? Oczywiście, że nie! Wiele się o tym mówi, możesz mi wierzyć. To wszystko nic w porównaniu z burzą, jaka się rozpęta, kiedy ja się za ciebie zabiorę. Powiem... Au! - Urwała gwałtownie, spoglądając na swój przegub, uwięziony w prawej ręce Maksa. - Puść, to boli!

- Emmo, niczego nie powiesz.

Lady Mortland spojrzała mu w twarz i nagle się przestraszyła. Maks pokiwał głową.

- Słuchaj uważnie, Emmo, bo nie będę się powtarzał. Nie będziesz szkalować, słownie ani w żaden inny sposób mojej podopiecznej... żadnej z moich podopiecznych. Ponieważ jeśli to zrobisz, możesz być pewna, że się o tym dowiem. Wówczas twój pasierb dowie się, jak czcisz pamięć jego ojca cnotliwym wdowim życiem. Czerpiesz dochody z rodowych posiadłości, prawda? Lady Mortland zbladła.

- Nie... nie zrobiłbyś tego. Maks puścił jej rękę.

- Nie zrobiłbym. Chyba że ty zaczniesz. Wtedy możesz być pewna, że zrobię. - Spojrzał na siedzącą przed nim kobietę bez złości, raczej ze współczuciem. - Zostawmy to, Emmo. To, co ma Caroline, nigdy nie należało do ciebie, dobrze o tym wiesz. Radzę rozejrzeć się gdzie indziej.



Maks pożegnał ją ukłonem i pustymi korytarzami wrócił do łóżka.

Caroline odwróciła się, kiedy zajmował miejsce.

- Coś się stało? - spytała szeptem, przyjrzawszy mu się uważnie. Na jej twarzy malowała się szczerza troska.

Uśmiechnął się, zaprzeczając ruchem głowy.

- Nic ważnego.

W ciemności sięgnął po jej dłoń i podniósł do ust. Caroline powróciła wzrokiem na scenę, ale nie cofnęła ręki. Maks, chcąc uspokoić sumienie, powiedział sobie w duchu, że przecież nikt nie zobaczy, że księżę Twyford trzyma za rękę najstarszą podopieczną.

## *Rozdział dziesiąty*

Wykonanie pierwszej części mistrzowskiego planu, mającego wybawić Amandę i sir Ralpa od skutków machinacji pani Crowbridge, przypadło Sarze. Miało nastąpić podczas wieczornego koncertu. Ponieważ sir Ralph był całkowicie pozbawiony muzycznego słuchu, odciągnięcie go od występu *señority* Muscariny, hiszpańskiej sopranistki zaangażowanej do uświetnienia wieczoru, okazało się łatwiejsze, niż Sara przypuszczała.

Sir Ralph bardzo chętnie zgodził się wyjść z panną Sarą Twinning na balkon, żeby na świeżym powietrzu mogła ukoić ból głowy, na który się wcześniej uskarżała. Ponieważ było powszechnie wiadome, że Sara przeżywa żal po zawiedzionej miłości i nie myśli o flirtach, wierzył, że nic mu przy niej nie grozi. To, że była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widział, stanowiło dodatkowy atut. Rzadko czuł się swobodnie przy takich damach i podczas pobytu w Londynie niejedną raz żałował, że nie pozostał w Gloucestershire. Nawet teraz, kiedy udało mu się wzbudzić przychylność olśniewającej Arabelli Twinning, zdarzały się momenty, gdy twarz Harriet Jenkins uświadamiała mu, o ilez pewniej czuł się w jej towarzystwie.

Prawda była taka, że nie dawały mu spokoju wątpliwości, czy będzie w stanie sprostać oczekiwaniom Arabelli, kiedy już zostaną małżeństwem. Zaczynał bowiem rozumieć, że kobiety pokroju Arabelli Twinning są przyzwyczajone do szczególnego traktowania. Sir Ralph zdawał sobie sprawę, że nie może się równać z takimi dżentelmenami jak księżę Twyford i jego przyjaciele. Spojrzał ukradkiem na pobladłą twarz towarzyszącej mu piękności. Była milcząca i zadumana. Sir Ralph odetchnął z ulgą; panna Sara Twinning z pewnością nie miała wobec niego

żadnych zamiarów.

Nie mógł się bardziej mylić. Mina Sary wzięła się stąd, że gdy próbowała stłumić w sobie tęsknotę, obudzoną wspomnieniem pamiętnego wieczoru w ogrodzie lady Overton, nagle ujrzała Darcy'ego Hamiltona opartego niedbale o drzwi. Ależ była głupia! Miała ochotę przebiec przez pokój i rzucić mu się w ramiona. Z trudem się przed tym powstrzymała. Znaczące spojrzenie Arabelli przypomniało jej, co ma zrobić. Przyłożyła dłoń do czoła, na co Lizzie szybko ją spytała, czy cierpi na ból głowy. Łatwo przyszło nakłonić sir Ralpha, by wyprowadził ją z pokoju muzycznego. Jednak chmurne spojrzenie Darcy'ego, które Sara przyłapała, wychodząc, przyprawiło ją o ucisk w żołądku.

Odkładając na bok własne troski, skupiła uwagę na towarzyszącym jej dżentelmenie.

- Sir Ralphie, chyba nie ma pan nic przeciwko temu, bym poruszyła z panem pewną delikatną kwestię?

Zaskoczony sir Ralph wytrzeszczył oczy.

Sara wcale się tym nie przejęła. Harriet uprzedziła ją, jakiej reakcji może się spodziewać. Miała do spełnienia zadanie i nic nie mogło jej w tym przeszkodzić.

- Obawiam się, że sytuacja Arabelli wymaga podjęcia pewnych decyzji. Może tego nie widać, ale ona jest skryta w tych sprawach. Poczuję się do obowiązku udzielenia panu wyjaśnień. Arabella jest bardzo przygnębiona. Trzeba coś zrobić, bo inaczej może się załamać.

Sir Ralph miał na końcu języka, że według jego pojęcia to Sara jest bliska załamania. Stwierdzenie, że Arabella, którą zaledwie przed chwilą widział promienną, jest przygnębiona, wprowadziło go w osłupienie. Następna uwaga Sary tym bardziej go zdumiała.

- Tylko pan może ją uratować.

Używając rzeczowego tonu, Sara odniosła znacznie lepszy skutek, niż gdyby starała się niepotrzebnie dramatyzować. Sir Ralph zamienił się w słuch.

- Rozumie pan, nie darowałaby mi, że panu o tym mówię, ale powinien pan wiedzieć, że na początku sezonu, zanim pan się pojawił, zadurzyła się w pewnym dżentelmenie. Ten człowiek bawił się jej uczuciami, choć wcale nie był zainteresowany małżeństwem. Jestem pewna, że mogę liczyć na pańską dyskrecję. Na szczęście w porę zorientowała się w jego prawdziwych zamiarach. Nie zmienia to jednak faktu, że jej serce poważnie ucierpiało. A kiedy znalazła pociechę w pana osobie, miałyśmy nadzieję, ja i moje siostry, że pan jej nie zawiedzie.

Sir Ralph wymamrotał, że absolutnie nie zawiedzie panny Arabelli.

- Rozumie pan... - Sara nabierała coraz większego zapału - ...że należy szczególnie się nią zająć. Potrzebuje czegoś ekscytującego, co by ją oderwało od obecnej rutyny balów i przyjęć, i pozwoliło zapomnieć o doznanych przykrościach w blasku nowej miłości.

Sir Ralph, porwany jej elokwencją, zapewnił, że owszem, całkowicie się zgadza.

- Dlatego pojmuje pan, sir Ralphie, to ważne, żeby zawrócić jej w głowie. Ona ma bardzo romantyczną naturę.

Sir Ralph ochoczo zadeklarował, że jest gotów zrobić wszystko, co trzeba, żeby uszczęśliwić pannę Arabelle. Sara uśmiechnęła się do niego ciepło.

- W takim razie mogę panu powiedzieć, co powinien pan zrobić.

\* \* \*

Udzielanie wskazówek sir Ralphowi zajęło Sarze prawie pół godziny. Z początku pomysł nie przypadł mu do gustu, ale gdy Sara przedstawiła głębie potrzeb Arabelli, apelując przy tym umiejętnie do rycerskich instynktów biednego sir Ralpa, w końcu zgodził się na wprowadzenie w życie całego planu.

Wracając do pokoju muzycznego z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, Sara niemal wpadła na Darcy'ego Hamiltona. Podtrzymał ją za łokieć, ale wyrwała mu się, bo odniosła wrażenie, że jego dotyk pali jej skórę. Sir Ralph, który nie miał wcześniej okazji spotkać lorda Darcy'ego, stanął, przyglądając się tej scenie ze zdumieniem.

- Odprawdę pannę Twinning na miejsce - odezwał się Darcy Hamilton, zauważywszy w końcu jego obecność.

Władczy ton poskutkował od razu: sir Ralph skłonił się i odszedł.

Sara odetchnęła głęboko.

- Jak pan śmiał? - rzuciła ze złością, podążając za sir Ralphem.

Jednak Darcy przytrzymał ją za ramię.

- Kim jest dla pani ten wieśniak?

Słyszając to obraźliwe określenie, Sara zapłonęła gniewem. Jednak nim zdążyła dać Darcy'emu do zrozumienia, co o nim myśli, kilka głów odwróciło się w ich stronę z uciszającym syknięciem.

Darcy bez słowa wyprowadził Sarę na balkon.

- Oburzające! - stwierdziła lady Mailing, pochylając się do ucha pani Benn.

Na balkonie Sara usiłowała stać spokojnie, choć obecność Darcy'ego wywołała w niej burzę uczuć.

- Może zechce mi pani wyjaśnić, co robiłaś z tym dżentelmenem na balkonie?

- To raczej nie pańska sprawa, milordzie.

Darcy przybrał srogą minę.

- Jako przyjaciel pani opiekuna...

- Jako przyjaciel mojego opiekuna od pierwszej chwili, gdy się poznaliśmy, próbował pan mnie uwieść!

- To prawda - przyznał Darcy - ale Maks nie miał mi tego za złe. Poza tym przecież właśnie tego oczekujecie, czyż nie? Proszę mi powiedzieć, ilu innym nieszczęśnikom zawróciła pani w głowie, odkąd wyjechałem?

Sara już miała go zapewnić, że nie brakowało jej adoratorów, lecz w ostatniej chwili coś kazało jej ugryźć się w język.

- Prawdę mówiąc, życie towarzyskie straciło dla mnie urok. Skoro pan pyta, to postanowiłam wstąpić do klasztoru. Jest taki, który szczególnie by mi odpowiadał, urszulanki, niedaleko mojego dawnego miejsca zamieszkania.

Niewątpliwie po raz pierwszy w dorosłym życiu Darcy Hamilton nie wiedział, co powiedzieć. Na usta cisnęły mu się jedynie przekleństwa.

Przełknąwszy je wszystkie, wykrztusił w końcu:

- Chyba nie byłaby pani aż tak głupia! Sara próbowała go z godnością wyminąć.

- Saro!

Ledwie to słowo wyrwało mu się z ust, znalazła się w jego ramionach, tulona i całowana do utraty tchu. Dla Sary było to powtórzeniem ich spotkania w ogrodzie: pozwoliła sobie na moment radości. Zaraz potem przyszło opamiętanie; odsunęła się od Darcy'ego i przez chwilę w milczeniu patrzyła mu w oczy. Następnie odwróciła się i wolnym krokiem weszła do pokoju muzycznego.

Darcy z głębokim westchnieniem oparł się o balustradę i patrzył niewidzącym wzrokiem na starannie wypielęgnowany trawnik.

\* \* \*

Księżę Twyford uważnie przyjrzał się twarzy Sary Twinning, kiedy wróciła do pokoju muzycznego i dołączyła do sióstr na czas, by brawami nagrodzić operowe dokonania śpiewaczki. Caroline, siedząca obok niego, nie zauważyła ani wyjścia siostry, ani jej powrotu. Widząc, jak mocno jest zasluchana i jaką przyjemność sprawia jej muzyka, Maks postanowił nie mówić jej o zachowaniu Sary. Nie miał wątpliwości, że za nieoczekiwanym zainteresowaniem młodszych

panien Twinning sir Ralphem Keighlym musi się coś kryć. A cokolwiek to było, wolał, żeby Caroline nie brała w tym udziału. Zdążył się już przyzwyczaić, że to jemu poświęca całą uwagę, i wcale nie miał ochoty tego zmieniać.

Nie spuszczał oka z drzwi na balkon i kilka minut później, kiedy sopranistka znów cieszyła ich uszy perlistymi trelami, dostrzegł Darcy'ego Hamiltona chyłkiem przemykającego przez pokój. Uchodził on za człowieka w pełni panującego nad emocjami. Jednak w przypadku Sary Twinning wycucie najwyraźniej go zawiodło. Maksowi ciężko było patrzeć na ponurą minę przyjaciela. Nie miał dotąd okazji z nim porozmawiać, jedynie skinęli sobie głowami na powitanie. Zastanawiał się, z jakimi przemyśleniami Darcy wrócił z wyprawy do Irlandii. Mógł się spodziewać, że wkrótce przyjaciel zechce mu je wyjawić... zabierając mu w ten sposób czas, który mógłby poświęcić własnej sprawie.

Spojrzał na Caroline, a ona, jakby w odpowiedzi, uśmiechnęła się do niego ciepło. Zaprzagnął ją pocałować, poprzestał jednak na odwzajemnieniu uśmiechu i patrzył z przyjemnością, jak Caroline z wdzięcznie przechyloną głową wsłuchuje się w śpiew. Był pewny, że będzie należała do niego na długo przed tym, nim sprawy jej siostr staną się naglące.

\* \* \*

Bal maskowy wydawany przez lady Penbright miał być ukoronowaniem wyjątkowo udanego sezonu. Pani domu nie szczędziła sił i środków. Salę balową udekorowano draperiami z białego atlasu, a na tarasach i trelażach, w które obfitował Penbright House, zawieszono tysiące lampionów. Dźwięki muzyki spływały z galerii dla orkiestry na fantazyjnie przybrane głowy bawiącego się towarzystwa. Wszyscy goście mieli na sobie długie do ziemi domina, a kaptury na głowach pań nie dawały żadnej szansy na ich rozpoznanie. Obowiązkowe maski zasłaniające górną część twarzy znacznie skuteczniej ukrywały rysy niż te mniejsze trzymane w ręku, nadal popularne w niektórych kręgach. Przed jedenastą wszyscy zgodnie uznali, że bal jest przebojem sezonu, a gospodyni opuściła swój posterunek przy drzwiach, żeby bawić się razem z resztą gości.

Maks, podchodzący nieufnie do takich wydarzeń i wciąż jeszcze nieświadomy, co knują panny Twinning, dokładnie przyjrzał się ich strojom przed wyjazdem na bal u Penbrightów.

Wiedział, że nie będzie miał trudności z rozpoznaniem Caroline. Znalazłby ją z zawiązanymi oczyma w najbardziej zatłoczonej sali, nawet gdyby nie wiedział, że nosi domino w oryginalnej srebrnej barwie. Lekko podenerwowana Sara

narzuciła domino w kolorze mchu na suknię w nieco jaśniejszym odcieniu. Arabella mocno się natrudziła, żeby schować bujne miedziane loki pod różowym kapturem, natomiast z głębi lawendowego kaptura wyzierały wielkie szare oczy Lizzie. Zadowolony, że udało mu się zapamiętać kolor wybrany przez każdą z podopiecznych, Maks ponaglił je do wyjścia.

W domu Penbrightów trzy młodsze panny Twinning od razu wtopiły się w tłum wypełniający salę balową, a Caroline pozostała przy Maksie, przytrzymywana przez niego za łokieć. Ku swemu zdumieniu odkryła, że jednym z głównych powodów organizowania tego rodzaju balów było umożliwienie wspólnej zabawy parom, które w innych okolicznościach, spędzając razem cały wieczór, stałyby się obiektem skandalu. Mogła być zatem pewna, że jej opiekun nie oddali się nawet na chwilę.

Ledwie muzycy zaczęli grać, podeszło do niej szare domino, pod którym bez trudu rozpoznała mizerną postać pana Willoughby'ego. Biedak nie był do końca przekonany, czy aby na pewno ma przed sobą Caroline, a ona nie zamierzała niczego mu ułatwiać. Pan Willoughby spojrzał surowo na towarzyszącego jej wysokiego mężczyznę, otrzymując od niego w odpowiedzi irytująco szeroki uśmiech. Nie udało mu się też zaprosić Caroline do pierwszego walca, bo Maks go ubiegł, pociągając ją na parkiet.

Po drugim walcu przetańczonym z księciem Caroline zgodziła się na spacer po innych pomieszczeniach domu. Główną salę balową otaczał ciąg połączonych ze sobą salonów. Powinna mieć się na baczności, przebywając w towarzystwie Maksa, ale skupiając uwagę na opowiadanej przez niego anegdocie, zupełnie o tym zapomniała. Dopiero gdy weszli do kolejnego pokoju, zorientowała się, że są w sypialni zapewne przygotowanej na wypadek, gdyby ktoś z gości nadmiernie zmęczył się zabawą. Caroline odwróciła się gwałtownie, słysząc odgłos zamykanych drzwi.

Maks stanął przed nią, a ona położyła mu dłonie na ramionach, żeby utrzymać go na dystans, ale w jej geście nie było cienia stanowczości. Kiedy przyciągnął ją do siebie, odruchowo zarzuciła mu ręce na szyję. Była gotowa mu się poddać, gdy tylko dotknął wargami jej ust. Maks wiedział o tym, ale nie zamierzał się śpieszyć. Napawając się bliskością Caroline, pociągnął ją na kozetkę pod oknem. Przyglądał jej się leżącej na kolorowych poduszkach. Przymknęła oczy, kiedy ujął w dłonie jej piersi, tak jak kiedyś w powozie, gdy wracali z balu u Richardsonów.

- Caro?

- Mm? - wymruczała w sennym rozmarzeniu Caroline.

- Caro, pamiętasz, spytałem cię kiedyś, czy gdybym nie był twoim opiekunem, zgodziłabyś się zostać ze mną sam na sam. Czy gdyby tak było, nadal byś mi się opierała?

Pytanie z trudem przedarło się do świadomości Caroline. Wydało jej się niedorzeczne. Nie rozumiała, po co w ogóle je zadał.

Maks znieruchomiał, co świadczyło o tym, że czeka na odpowiedź.

- Zawsze ci się opierałam. Po prostu nie chciałeś przyjąć tego do wiadomości. Nawet gdybyś nie był moim opiekunem, nadal próbowałabym ci się oprzeć. - Przymknęła oczy, czując, jak jego palce podejmują wędrówkę po jej ciele. Szybko jednak znów zastygły w bezruchu.

- Nawet gdybym nie był twoim opiekunem?

- Maks! - jęknęła Caroline.

Wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że nie ustąpi, dopóki nie usłyszy wszystkiego, co chce wiedzieć.

- Będąc razem, wywołalibyśmy skandal, nawet gdybyś nie był moim opiekunem, ale nim jesteś, więc sytuacja przedstawia się dziesięć razy gorzej. Przecież to wiesz.

Owszem, wiedział, ale nigdy nie powstało mu w głowie, że Caroline mogłaby dać mu się uwieść, nawet gdyby nie istniała między nimi zależność związana z jego rolą. Uśmiechnął się z szeroko. Cóż, powinien był pamiętać, że nazwisko Twinning przyciąga niepoprawnych uwodzicieli. Caroline, leżąc z na wpół przymkniętymi powiekami, skupiona bez reszty na doznaniach, jakie spływały na nią spod palców Maksa, nie widziała jego uśmiechu ani błysku w niebieskich oczach. Oprzytomniała gwałtownie, kiedy pochyliwszy głowę, objął ustami nabrzmiałą brodawkę jej piersi.

- Och! - wydała z siebie zduszony okrzyk.

Maks popatrzył pytająco na Caroline, ale nie była w stanie powiedzieć ani słowa więcej, więc zajął się drugą piersią, czując, jak tężeje pod jego dotykiem. Pieścił ją coraz śmielej, wiedząc, że nie napotka oporu. Odpowiadała na jego gesty tak ochoczo, że niełatwo mu było nad sobą panować. Owszem, był doświadczony w tych sprawach, ale żadne jego wcześniejsze przeżycie nie mogło się równać z tym, co czuł przy Caroline Twinning.

Szybko doszli do punktu, po przekroczeniu którego nie było już odwrotu. Maks to wiedział, ale nie sądził, by Caroline była tego świadoma. Oderwał się od niej, a potem przygarnął ją do siebie, muskając pocałunkami miękkie zagłębienie u

nasady jej szyi i jednocześnie gorączkowo zastanawiając się nad tym, jak powinien postąpić.

Wiedział, że Caroline jest gotowa mu się oddać, kiedy tylko po nią sięgnie, natychmiast lub w przyszłości, na przykład nazajutrz. Niedługo musieli wrócić na salę balową. Taka okoliczność byłaby sprzyjająca, gdyby miał do czynienia z kobietą, którą chce jedynie osiąść, niekoniecznie pozostać z nią przez całą noc. On jednak wolałby spędzić z Caroline w łóżku przynajmniej dobę, wynagradzając sobie i jej mężowi oczekiwania. Poza tym były przecież jej siostry, o których nawet w takich chwilach nie był w stanie całkiem zapomnieć. Westchnął ciężko. Rozsądek mówił jedno, a ciało domagało się zupełnie czego innego. Bojąc się, że nie starczy mu woli, by wytrwać przy powziętej decyzji, przygarnął Caroline mocniej, szepcząc jej do ucha:

- Caro?

Wymruczała jego imię, gładząc go czule po policzku.

- Skarbie, bardzo bym chciał dokończyć obecną lekcję, ale aż boję się pomyśleć, jaki skandal mogą wywołać twoje siostry pod naszą nieobecność.

Nie mógł użyć bardziej odpowiedniego argumentu; Caroline natychmiast oprzytomniała.

- Chyba masz rację.

- Mam - przyznał, pomagając jej wstać. - Chodźmy, czas zadbać o pozory.

\* \* \*

Lizzie Twinning, gdy tylko poczuła, że bajecznie kolorowy tłum wystarczająco ją zasłania przed wzrokiem opiekuna, skierowała się do okna sali balowej najbardziej odległego od drzwi. Było to miejsce wyznaczone przez Sarę, gdzie sir Ralph miał czekać na dalsze wskazówki. Rzeczywiście stawił się tam w ciemnozielonym dominie i czarnej masce.

Podając mu rękę na przywitanie, Lizzie poczuła, że dłoń sir Ralpha mocno drży. Próbowwała zajrzeć pod czarną maskę.

- Świetnie! - pochwaliła przebranie. - Chyba nie sprawi pan Arabelli zawodu, prawda?

Ku jej uldze sir Ralph energicznie pokręcił głową.

- Nie. Oczywiście, że nie. Mój powóz czeka, tak jak kazała panna Sara. Za nic w świecie nie zawiódłbym panny Arabelli.

Lizzie była zadowolona; starała się nie słyszeć lęku w jego głosie.

- Arabella ma na sobie różowe domino. To jej ulubiony kolor, powinien pan



ją łatwo rozpoznać. Zresztą przyprowadzimy ją do pana. Proszę się o nic nie martwić. - Poklepała go po ręce i odeszła.

Przechodząc przez salę balową, rozglądała się po tłumie i po chwili dostrzegła srebrzyste domino Caroline i czarne, które bez wątplenia należało do księcia. Zapatrzona na tę parę, wpadła na ciemnoniebieskie domino, które zniecka wyrosło jej na drodze.

- Och! - Cofnęła się gwałtownie, przytrzymując opadającą maskę.

- Lizzie - odezwało się niebieskie domino dobrze jej znanym głosem - o czym rozmawiałaś z sir Ralphem Keighlym?

- Martin, ależ mnie przestraszyłeś! O mało mi maska nie spadła. O co... o co ci chodzi?

- Chodzi mi o to, moja ty chodząca niewinności, że widziałem, jak weszłyście na salę i ledwie Maks spuścił was z oczu, natychmiast podeszłaś do sir Ralpha. Mów, co się dzieje.

Lizzie ani przez moment nie łudziła się, że Martin zgodzi się przymknąć oko na ich spisek. Nie umiała dobrze kłamać, ale nie pozostawało jej nic innego, musiała spróbować. Na szczęście maska zakrywała górną połowę twarzy, więc istniała szansa, że Martin nie dostrzeże jej wzburzenia.

- Nie wiem, co masz na myśli. Rzeczywiście rozmawiałam z sir Ralphem, ale dlatego, że po prostu tylko jego rozpoznałam.

Wyjaśnienie było tak logiczne, że Martin zawstydził się swoich podejrzeń. Nagle wydały mu się zupełnie niedorzeczne.

- Aha.

- Ale skoro już tu jesteś - ciągnęła Lizzie, biorąc go pod ramię - mogę rozmawiać z tobą.

Martin całkiem się rozchmurzył.

- Oczywiście. - Zerkając w stronę drzwi prowadzących na taras i do ogrodu, dodał: - Może się przejdziemy?

Lizzie uparcie odmawiała tego rodzaju zaproszeniom, ale tego wieczoru była gotowa przyjąć każdą propozycję, byle odwrócić uwagę Martina od spisku. Skinęła głową i razem wyszli przez taras na żwirową ścieżkę, która zawiodła ich do porośniętej krzewami części ogrodu. Znaleźli się dość daleko od rześkiego oświetlonego i pełnego radosnej wrzawy domu. Idąc wzdłuż ozdobnego strumyka, dotarli do stawu. Na niewielkiej wysepce pośrodku stał letni domek, do którego można było się dostać, przechodząc przez drewniany mostek. Okazało się, że domek jest otwarty.

- Ślicznie tu, prawda? - zachwyciła się Lizzie.

Światło księżyca wdzierało się do środka przez szczeliny w rzeźbionych okiennicach. Jedynym odgłosem był szum wody opływającej trzciny przy brzegu.

- O tak, ślicznie - przyznał Martin, zachwycony jednak czymś zupełnie innym.

Mimo braku doświadczenia Lizzie wyczuła ostrzegawczy ton w jego głosie. Odwróciła się i znalazła w ramionach Martina, który przygarnął ją do siebie i z uśmiechem zajrzał jej w oczy.

- Słodka Lizzie, czy wiesz, jaka jesteś piękna?

Trzymał ją delikatnie, a jednak miała trudności z zaczerpnięciem tchu. Zamierzała spytać siostry o radę, jak powinna się zachować w takich sytuacjach, ale była tak zaabsorbowana spiskiem, że zupełnie o tym zapomniała. Instykt podpowiadał jej, że należy wykonać sprytny unik, ale nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa, więc tylko pokręciła głową w nadziei, że zostanie to właściwie zrozumiane.

- Aha. - Martin uśmiechnął się szerzej. - Jesteś tak piękna, skarbie, że chyba nie zdołam się powstrzymać i znowu cię pocałuję. Sprawি nam to obojgu wielką przyjemność.

Pochylił głowę i zrobił to, co zapowiedział. Lizzie nie próbowała się wrywać, więc całował ją coraz bardziej namiętnie. Z początku zeszywniała, ale po chwili odprężyła się, przywierając mocniej do Martina. Bał się ją przestraszyć, ale też pragnął więcej, znacznie więcej. Powoli, wciąż pamiętając o niewinności Lizzie, uczył ją, jak przyjemny może być pocałunek.

Lizzie czuła, że z całowaniem sobie poradzi. Wtulanie się w ciepłe ramiona Martina także jej nie przerażało. Ale gdy poczuła jego dłoń na piersi, odskoczyła jak oparzona i się rozplakała.

- Lizzie? - Martin przeklął się w duchu za głupotę, przez którą nieopatrznie posunął się za daleko. - Przepraszam. Wiem, że zanadto się pośpieszyłem. Kochanie? - Objął ją czule.

Lizzie próbowała się opanować.

- To prawda! - chlipnęła żałośnie. - Mówiły, że jesteś rozpustnikiem i że będziesz chciał zaciągnąć mnie do łóżka, a ja im nie wierzyłam. Ale to prawda!

Nie mogąc z czystym sumieniem zaprzeczyć tym oskarżeniom, Martin uczepił się jedynej wątpliwości.

- One? To znaczy kto?

- Sara, Bella i Caro. Mówiły, że wszyscy jesteście rozpustnikami. Ty i Maks.

Lord Darcy i lord Denbigh. Mówiły też, że jest w nas coś takiego, że przyciągamy rozpustników.

Nie wiedząc, co powiedzieć, Martin milczał. Nadal trzymał Lizzie w ramionach, dotykając policzkiem jej włosów.

- I co według nich powinniście z tym zrobić? - spytał w końcu, bez specjalnej nadziei, że usłyszy jakąkolwiek odpowiedź.

A jednak usłyszał i mocno go zaniepokoiła.

- Czekać.

Martin nie musiał pytać na co. Sam dobrze to wiedział.

Później, kiedy odprowadzał Lizzie do sali balowej, Maks dostrzegł ich z drugiego końca pomieszczenia. Musiał zrewidować początkową opinię na temat najmłodszej z panien Twinning. Swoją drogą, nie mógł zrozumieć, jakim cudem tak młode i niedoświadczone dziewczę zdołało owinać sobie Martina wokół małego palca, a że jej się to udało, wyczytał bez trudu z twarzy brata, mimo że była do połowy zasłonięta maską. No cóż, ostrzegał go zawczasu...

\* \* \*

Rola Arabelli w wielkim planie sióstr Twinning polegała na flirtowaniu ze wszystkimi dokoła w tak ostentacyjny sposób, by nikt nie miał wątpliwości, że pod różowym dominem kryje się żywiołowa panna Twinning. Żadna z konspiratorek w tym akurat względzie nie przewidywała najmniejszych trudności i rzeczywiście po półgodzinie większość sądziła, że dobrze ją rozpoznała. Opuściwszy grupę gości z wesołym śmiechem, przechodziła przez salę, gdy znienacka wpadła w ramiona olbrzyma odzianego w czarne domino. Własne odczucia w zetknięciu z imponującym męskim torsem podpowiedziały jej nieomylnie, z kim ma do czynienia.

- Och, sir! Ależ mnie pan zaskoczył!

- W takim tłumie? Chyba pani żartuje?

- Chce pan się spierać z damą? To by znaczyło, że nie jest pan dżentelmenem.

- Ma pani rację, piękna damo. Dżentelmeni mają bardzo nudne życie. Kim jesteś, piękna?

Arabella zadarła dumnie podbródek.

- Tego nie mogę ci zdradzić, sir. Moja reputacja mogłaby ucierpieć z powodu tego, że rozmawiam z tak niekonwencjonalną osobą.

Hugo wydał z siebie basowy chichot. Dzięki szybkiemu refleksowi i

błyskotliwości Arabella bez trudu radziła sobie z zaczepnymi uwagami, ripostując celnie i dowcipnie. Flirtowała z Hugonem i jednocześnie była na niego coraz bardziej zła. Użyła jakiejś mało przekonującej wymówki, żeby uciec.

\* \* \*

Dokładnie obliczyły czas niezbędny na przeprowadzenie kolejnych elementów planu, żeby uniknąć ewentualnych kłopotów. Zdjęcie masek przewidziano na pierwszą po północy. Dokładnie o wpół do pierwszej Sara z sir Ralphem opuścili salę balową i ruszyli pustą alejką w stronę niewielkiej altany. Altana stała pośrodku ścieżki, która dalej prowadziła do bramy, gdzie znajdował się podjazd dla powozów.

W pewnej odległości przed altaną Sara przystanęła.

- Arabella jest w środku - oznajmiła. - Zaczekam tu i przypilnuję, żeby nikt nie przeszkodził.

Sir Ralph skinął głową. Sztywno wyprostowany, wszedł na schodki. Mimo panującego w środku półmroku od razu dostrzegł postać w różowym dominie i masce. Podeszedł do niej i przyklęknął na jedno kolano.

Sara, obserwująca scenę, uśmiechnęła się z zadowoleniem. Osoby w altanie zamieniły ze sobą kilka słów, po czym sir Ralph podniósł się i pocałował kobietę. Sara wstrzymała oddech, ale wszystko poszło dobrze. Trzymając się za ręce, zeszli po schodkach z drugiej strony i skierowali się ku bramie. Chcąc mieć całkowitą pewność, że plan się powiódł, Sara weszła do altany i patrzyła, jak para znika za bramą. Po chwili rozległ się klekot końskich kopyt. Odwróciła się z uśmiechem do wyjścia... i zamarła.

U szczytu schodków stał wysoki mężczyzna odziany w czarne domino. Opierał się o słupek w tak charakterystycznej pozie, że poznałaby go wszędzie.

- Czyżbyś przypadkiem czekała na spotkanie, moja droga? - Sara gorączkowo usiłowała zebrać myśli, lecz nim jej się to udało, czarne domino znów przemówiło: - Nie uciekaj. Ganiecie po krzakach nie wygląda zbyt dystyngowanie, a poza tym i tak bym cię złapał.

Sara uniosła brwi w wyrazie dezaprobaty. Była na siebie zła, że wcześniej zdjęła maskę, która teraz zwisała jej bezużytecznie z ręki. Zakołysała nią nerwowo.

- Uciekać? Dlaczego miałabym uciekać? - Udało jej się zachować w miarę spokojny ton.

Darcy nie odpowiedział. Odepchnął się ramieniem od słupka i stanął tuż przed nią. Ściągnawszy maskę, spojrzał jej w oczy.

- Nadal zamierzasz ukryć się w klasztorze?

- Owszem. - Wytrzymała jego palące spojrzenie.

Ni to gorzki, ni ironiczny uśmiech wykrzywił mu usta.

- Wiesz, że to niedobre rozwiązanie. Nie nadajesz się na oblubienicę Chrystusa.

- Lepiej być oblubienicą Chrystusa niż kochanką jakiegokolwiek mężczyzny.

- Widziała, jak grają mu mięśnie na mocno zaciśniętych szczękach.

- Tak uważasz?

Mimo iż wiedziała, że to nastąpi, i była gotowa stawić opór, pod dotknięciem Darcy'ego wszystkie jej wcześniejsze postanowienia stopniały. Wiedziała, dokąd prowadzi droga, na którą wstępowała, ale nic nie było w stanie jej powstrzymać.

Jednak gdy Darcy wziął ją na rękę, by zanieść na wyściełaną poduszkami szeroką ławę, gwałtownie potrząsnęła głową.

- Darcy, nie! Proszę cię, Darcy, puść mnie. - Głos jej zadrżał, zaczęła pochlipywać.

Łzy Sary podziały na niego otrzeźwiająco. Wolno postawił ją na ziemi. Szlochała coraz bardziej rozdzierająco, jakby serce miało jej pęknąć.

- Saro? - Darcy niepewnie pogłaskał ją po włosach. Wyjęła chusteczkę i wycierała oczy, odwracając głowę, żeby na nią nie patrzył.

- Proszę cię, odejź.

Darcy zeszywniał. Po raz pierwszy chciał wziąć kobietę w ramiona tylko po to, żeby ją pocieszyć. Opuściły go wszelkie lubieżne myśli. Czując, że Sara potrzebuje samotności, by rozwiązać jakiś niewypowiedziany problem, skłonił się z westchnieniem i zrobił to, o co prosiła.

Sara słuchała jego oddalających się kroków. Pozostała w altanie, dopóki całkiem nie doszła do siebie. Następnie zadowolona, że może ukryć zaczerwienione oczy pod maską, wróciła do sali balowej, żeby powiedzieć reszcie konspiratorek o pomyślnym przebiegu planu.

\* \* \*

Hugo jeszcze raz rozejrzał się po sali, szukając w tłumie Arabelli. Jednak nigdzie nie było widać różowego domina. Był głęboko zaniepokojony, co przy jego z natury opanowanym charakterze zdarzało mu się niezmiernie rzadko. Szczerze się martwił, że przez nieroztropne decyzje Arabella może skończyć w małżeństwie pozbawionym miłości, tymczasem okazała się zwykłą kokietką. Istotą bez serca. I gdzie się, u diabła, podziewała?

Aż podskoczył, czując na ramieniu dotyk drobnej dłoni. Jednak zmysły go oszukały, bo odwróciwszy się, nie ujrzał Arabelli, lecz jakąś kobietę w brązowym dominie z brązową maską przylegającą szczelnie do twarzy.

- Halo, miły panie. Sprawia pan wrażenie samotnego. - Akcent nieznajomej sugerował, że pochodzi ze środkowej Europy, a jej ton miał w sobie uwodzicielskie nuty. - Bo ja jestem sama. A ponieważ pan także jest sam, pomyślałam, że moglibyśmy nawzajem się podnieść na duchu.

Hugo przyjrzał się dokładniej swej rozmówczyni. Wprawdzie sądząc po głosie, można by się spodziewać, że ma bogate doświadczenie, lecz niewielkie fragmenty odsłoniętej skóry wyglądały świeżo i delikatnie, jakby była młodą dziewczyną. Obszerna maska zakrywała więcej niż połowę twarzy, zachodziła nawet na usta, ale i tak było widać, że są kształtne i pełne. Natomiast domino, jak to domino, całkowicie ukrywało sylwetkę. Hugo z rezygnacją po raz kolejny rozejrzał się po sali. Na próżno. A potem powiedział do nieznajomej z uśmiechem:

- Bardzo interesujący pomysł. Może znajdziemy zaciszne miejsce, gdzie moglibyśmy lepiej się poznać.

Obejmując kobietę w talii, odkrył, że jest wyjątkowo zgrabna. Przez moment wydawało mu się, że zeszywniała, ale było to przelotne wrażenie. Do licha z Arabellą! Doprowadzała go do szaleństwa. W towarzystwie tej miłej damy zamierzał zapomnieć o istnieniu Arabelli.

- Nie dosłyszałem, jak się pani nazywa, moja droga? Kobieta uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

- Maria Pawłowska - powiedziała, pozwalając mu się wyprowadzić z sali.

Bez trudu znaleźli puste pomieszczenie, gdzie nie marnując czasu na niepotrzebne rozmowy, Hugo wziął Marię Pawłowską w ramiona. Jej zachowanie rozпалиło w nim żądzę. Kiedy powiódł dłońmi po jej plecach, zachichotała gardłowo, co odebrał jako zachętę do śmielszych pieszczot. Bez namysłu pociągnął ją na stojący w pobliżu fotel i posadził sobie na kolanach. Z cudowną skwapliwością odpowiadała na każdy jego gest. Oszołomiony przyjemnym zrzędzeniem losu, który mu ją zesłał, uśmiechnął się ze zrozumieniem, gdy szeptem oznajmiła, że na moment go opuści.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, wyciągnął przed siebie długie nogi i pograżył się w nastroju miłego oczekiwania.

W miarę jak mijały minuty, a Maria Pawłowska się nie pojawiała, rozgorączkowany umysł Hugona stopniowo stygł. Gdzież ona się podziewa? Opuściła go. Podobnie jak Arabella. Porażony tą myślą, aż się wyprostował.

Podobnie jak Arabella? Nie, chyba wyobraźnia go ponosiła. To prawda, że Maria Pawłowska podziałała na jego zmysły tak, jak dotąd udawało się tylko Arabelli.

Do diabła! Ona nawet smakowała jak Arabella. Tylko że domino Arabelli było różowe, a Maria Pawłowska była ubrana na brązowo. Kiedy się nad tym głębiej zastanowił, przypomniał sobie, że jej domino było trochę za krótkie i spod spodu wystawały różowe pantofelki i brzeg różowej sukni. Arabella najbardziej lubiła róż, ale ostatecznie był to bardzo popularny kolor. Do licha, gdzie ona mogła być? Gdzie obie się podziewały? Hugo z westchnieniem rezygnacji podniósł się z fotela i przeklinając w duchu wszystkie kobiety, opuścił bal, zamierzając spędzić resztę wieczoru w bezpieczniejszym towarzystwie, jakie oferował męski klub White'a.

## *Rozdział jedenasty*

Powróciwszy z Caroline do sali balowej, Maks stwierdził, że nie ma ochoty na dalszą zabawę. Bolała go głowa. Wyglądało na to, że młodsze panny Twinning wbrew jego obawom sprawują się przyzwoicie, nie widział więc powodu, by dłużej pozostawać w domu Penbrightów. Jako że wieczór dopiero się zaczął, a przeżycia z Caroline nie dawały nadziei na to, że łatwo zaśnie, przeprosił najstarszą podopieczną oraz ciotkę Augustę i udał się na poszukiwanie innej rozrywki.

Nie zadbał o to, by zastąpić kimś Carmelitę, a obecnie nie widział takiej potrzeby. Wątpił też, by w przyszłości tego rodzaju kobiety były mu potrzebne... choć musiał przyznać, że akurat w tym momencie... Uśmiechając się pod nosem, postanowił odwiedzić któryś z klubów. Miał nadzieję, że odrobina hazardu poprawi mu nastrój.

Powóz dojeżdżał do Delmere House, gdy nagle Maks kazał woźnicy zawrócić i zawieźć go do nierzucającego się w oczy budynku przy Bolsover Street. Odesławszy pojazd do rezydencji Penbrightów, Maks wstąpił w progi najnowszej londyńskiej jaskini gier. Naturalnie powitano tam księcia Twyford wylewnie. Musiał przyznać, że wybór oferowanych rozrywek jest bogaty, a i jakości podawanych trunków nie mógł niczego zarzucić.

Miejsce to uchodziło za najmodniejszy tego rodzaju przybytek w stolicy. Odwiedzało je sporo kobiet; jedne zasiadały do gry przy zielonych stolikach, inne jedynie towarzyszyły kochankom. Ku swemu rozbawieniu Maks zauważył, że kilka par kobiecych oczu natychmiast zwróciło się w jego stronę, ale miał dość rozsądku, by nie okazywać im zainteresowania, którego zresztą wcale nie czuł. Pośród

znajdujących się tam panów znalazł niejednego uciekiniera z balu Penbrightów, między innymi Darcy'ego Hamiltona.

Darcy stał oparty o ścianę i przyglądał się grze. Na widok Maksa wyraźnie się ożywił.

- Zauważyłem, że ty i Caroline opuściliście zabawę na nieprzyzwoicie długą chwilę. Oglądaliście ryciny w sąsiednich pokojach, jak rozumiem?

Maks odpowiedział szerokim uśmiechem.

- Owszem, byliśmy tam, ale nie oglądałem rycin.

- Niech cię diabli, Maks. To znaczy, że ci się udało?

- Można tak powiedzieć. Uznałem jednak, że bal to nie jest odpowiedni czas i miejsce. - Uwaga zdumiała Darcy'ego, ale nie zdołał zadać następnego pytania, bo przyjaciel nie dopuścił go do głosu. - Podejrzywałem, że jej siostry coś knują, ale nie miałem pojęcia co. W każdym razie, kiedy stamtąd wychodziłem, wszystko wydawało się w porządku. - Maks spojrzał na Darcy'ego z nagłym zaciekawieniem. - A co ty tu robisz?

- Staram się uciec przed myśleniem - odrzekł z przekąsem Darcy.

- Aha - mruknął Maks ze zrozumieniem. - Chodźmy rozegrać partyjkę pikiety.

Rzadko znajdowali czas i okazję, żeby zasiadać naprzeciw siebie przy karcianym stoliku. Obaj byli wytrawnymi graczami i wkrótce gra zamieniła się w pasjonujący spektakl, gromadząc wokół nich całkiem sporą gromadę widzów. Właściciele klubu, widząc, że goście opuszczają własne stoliki, by oglądać pojedynki dwóch dżentelmenów, zebrali się na pilną naradę, zaniepokojeni ubytkiem spodziewanych zysków. Szybko jednak ustalili, że rozgłos, jaki przyniesie ich lokalowi potyczka tak znakomitych graczy, zawiązką wynagrodzi doraźne straty. Zadbali więc o to, aby jej uczestnikom nie zabrakło w kieliszkach najprzedniejszej brandy i żeby mieli pod ręką świeże talie kart.

Zarówno Maks, jak i Darcy świetnie się bawili, a że dla obu ewentualna wygrana była sprawą drugorzędną, nie zamierzali prędko wstawać od zielonego stolika, znajdując przy nim odprężenie po rozterkach ostatnich tygodni.

Wypita brandy nie wywarła absolutnie żadnego wpływu ani na przebieg gry, ani na ich zachowanie. Dopingowani przez kibiców znacznie bardziej pijanych niż oni, nie od razu zauważyli obecność lorda McCubbina, starzejącego się bogatego Szkota, który zawitał na Bolsover Street z Emmą Mortland uwieszoną u ramienia.

Zaciekawiona gwarnym tłumem otaczającym stół Emma podeszła bliżej i jej wzrok padł na księcia Twyford. Uśmiechając się złośliwie pod nosem, nachyliła



się i szepnęła coś do ucha swemu towarzyszowi.

- Że co? Ach tak - mruknął jakby nieco roztargniony lord McCubbin.

Następnie zwrócił się do głównych aktorów przedstawienia:

- Twyford! Co za spotkanie! Wydaje mi się, że dzisiejszego wieczoru traci pan coś więcej niż tylko pieniądze, co?

Maks, z kartą w uniesionej ręce, zaskoczony spojrzał na lorda McCubbina i ściągnął brwi tknięty złym przeczuciem.

- Co właściwie ma pan na myśli? - spytał.

Lord McCubbin nie przejął się jego niechętnym tonem i groźną miną.

- Cóż, drogi chłopcze, stracił pan jedną ze swoich podopiecznych.

Widziałem na własne oczy tę trzpiotkę w różowym dominie. Przed domem Penbrightów wsiadła z Keighlym do powozu. Cóż, dziwne, że pan nie wiedział.. Pewnie i tak już za późno.

Maks dostrzegł wyraz triumfu na twarzy Emmy Mortland, ale nie zamierzał tracić na nią czasu.

- W którą stronę pojechali? - spytał lorda McCubbina.

Dopiero w tym momencie do niego dotarło, że w pokoju zapanowała grobowa cisza.

- Hm... nie widziałem - odparł niepewnie lord McCubbin. - Wróciłem do sali balowej.

\* \* \*

Martin Rotherbridge zatrzymał się z ręką na klamce. Było po siódmej rano. Wróciwszy z balu, przesiedział resztę nocy przy karafce brandy, rozmyślając o Lizzie Twinning. Nadal widział przed sobą tylko jedno rozwiązanie. Pokręcił głową i otworzył drzwi sypialni. Już miał wejść do środka, gdy jego uwagę zwróciło jakieś zamieszanie w holu na dole. Usłyszał głos brata, który wydał kilka poleceń Hillshawowi, a następnie zwrócił się do Wilsona. Ton brata mocno go zaniepokoił. Zapominając o śnie, Martin zszedł po schodach.

Maks krążył nerwowo po bibliotece; na jego twarzy malowała się wściekłość. Pod oknem stał milczący Darcy Hamilton, wymizerowany i wyraźnie przejęty. Maks przystanął, żeby spojrzeć na zegar stojący na gzymsie kominka.

- Wpół do ósmej - wycedził przez zęby. - Jeśli moi ludzie nie znajdą powozu Keighly'ego do wpół do dziewiątej, będę musiał pojechać do Twyford House.

Znieruchomiał, zaskoczony myślą, która znienacka zaświtała mu w głowie. Dlaczego go nie wezwały? To mogło oznaczać tylko jedno: że Arabelli jakimś

cudem udało się zataić zniknięcie. Znów zaczął chodzić w kółko bez celu. Pokręcił głową, wyobrażając sobie histerię ciotki Augusty i palpacje pani Alford. Jego własna niesława mogła się okazać niczym w porównaniu ze skandalem, jaki mógł spowodować wybryk Arabelli.

Drzwi się otwały i do biblioteki wszedł Martin.

- Co się stało? - zapytał od progu.

- Arabella! - wyrzucił z siebie ze złością Maks. - Ta głupia dziewczyna uciekła z Keighlym.

- Uciekła? - spytał z niedowierzaniem Martin. Maks przystanął na środku pokoju.

- Cóż, rozumiem, że on zamierza ją poślubić. Biorąc pod uwagę, jak wszystkie nalegają na wcześniejsze oświadczyzny, nie mogę uwierzyć, że podjęła tak niespodziewaną i dramatyczną decyzję. Jeśli mam w tej sprawie coś do powiedzenia, to nie będzie ślubu z Keighlym. Zamierzam umieścić ją w klasztorze do czasu, aż odzyska rozum!

- Słyszałem, że jest jeden wyjątkowo dobry, w pobliżu ich dawnego miejsca zamieszkania - odezwał się z goryczą Darcy.

Maks popatrzył na przyjaciela z taką miną, jakby go podejrzewał o szaleństwo.

- Szkoda byłoby - wtrącił z uśmiechem Martin.

- Też tak uważam. - Darcy pokiwał głową, opadając ciężko na fotel. - Maks, usiądź, bo Wydepczesz dziury w dywanie.

Książę usłuchał rady, mamrocząc pod nosem jakieś przekleństwo. Martin przyciągnął krzesło z wysokim oparciem i usiadł na nim okrakiem.

- I co teraz? - zapytał. - Do tej pory nie miałem do czynienia z ucieczką.

Maks zgromił go wzrokiem.

- Skąd mogłem wiedzieć?! - wybuchnął.

Bracia jednocześnie skierowali wzrok na Darcy'ego.

- Nie patrzcie na mnie - powiedział niepewnym głosem. - Ja nie znam się na takich rzeczach. Właściwie to żaden z nas nie ma doświadczenia w namawianiu kobiety do małżeństwa.

- Święta prawda - mruknął Martin.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Wszyscy trzej myśleli zapewne o tym samym.

- I co teraz? - powtórzył Martin.

- Wilson rozesłał ludzi do wszystkich zajazdów w okolicy. Nie mogę nic

zrobić, dopóki się nie dowiem, dokąd pojechali.

W tym momencie drzwi się otwarły i w progu stanął Wilson, najbardziej zaufany sługa księcia.

- Pomyślałem, że zechce pan to wiedzieć. Nie widziano takiego pojazdu na żadnej z dróg prowadzących na północ, północny wschód i na południe. Człowiek wysłany na trasę do Dover jeszcze się nie odezwał, podobnie jak ten z drogi wiodącej na południowy zachód.

Maks pokiwał głową.

- Dziękuję, Wilson. Informuj mnie o wszystkim na bieżąco.

Służący skłonił się i zniknął tak samo bezszelestnie, jak się pojawił.

- Dokąd oni mogli pojechać? - zastanawiał się na głos Maks. - Do Gretna Green? Do Dover? Wiem, że Keighly ma gdzieś posiadłości, ale nigdy nie pytałem gdzie. - Spojrzał z nadzieją na Martina. - Może Lizzie coś ci o tym wspominała? Martin zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, ale widziałem, jak rozmawiała z Keighlym, od razu jak tylko pojawiła się na balu. Spytałem, o czym z nim tak konwersowała, ale powiedziała, że o niczym ważnym. Musiała wiedzieć, co się święci.

- Według mnie Sara też wiedziała - stwierdził z przekonaniem Darcy. - Spostrzegłem, że wychodziła z Keighlym, a potem znalazłem ją samą w altanie niedaleko bramy dla powozów.

- A niech to diabli! - krzyknął wzburzony Maks. - Nie mogły przecież wszystkie równocześnie oszaleć. Nie rozumiem, co kobiecie może się podobać w takim Keighlym?

Żaden z rozmówców nawet nie próbował odpowiedzieć na to pytanie. W progu stanął Hillshaw.

- Lord Denbigh pragnie zamienić z panem słówko, wasza wysokość.

- Wprowadź go, Hillshaw - polecił Maks po krótkiej chwili zastanowienia. - Wcześniej czy później i tak musiałyby się dowiedzieć.

Okazało się, że Hugo już wie. Wszedł do biblioteki z ponurą miną. Przywitawszy się z Maksem uściskiem dłoni, wymienił ukłony z Martinem i Darcym, po czym od razu zadał pytanie:

- Odkryłeś już, którą drogą pojechali?

- Skąd wiedziałeś?

- Całe miasto o tym mówi - odparł Hugo, zajmując wskazane miejsce. - Byłem u White'a, kiedy o tym usłyszałem. A skoro tam dotarło, to znaczy, że do południa twoja podopieczna będzie na ustach wszystkich londyńskich plotkarzy.

Urwę jej głowę!

Słyszając ostatnią groźbę, Maks uśmiechnął się słabo.

- Będziesz musiał czekać w kolejce, bo jest więcej chętnych, żeby to zrobić - rzekł zgryźliwie.

Karafka z brandy dwukrotnie okrążyła pokój, nim Wilson znów bezszelestnie stanął w progu. Odchrząknął, żeby zwrócić na siebie uwagę gospodarza.

- Wasza wysokość, powóz wiozący jakiegoś dżentelmena i młodą damę w różowym dominie zajechał do gospody Pod Koroną w Acton o drugiej nad ranem.

Panująca w bibliotece atmosfera przygnębienia nieco zelżała.

- O drugiej - powtórzył Maks, odruchowo spoglądając na zegar. - Teraz jest dobrze po ósmej. Zatem musieli minąć Uxbridge. Chyba że zatrzymali się na dłużej?

Wilson pokręcił głową przecząco.

- Nie, wasza wysokość. Zmienili tylko konie. - Choć mogło się to wydawać niemożliwe, sucha twarz majordomusa przybrała jeszcze bardziej beznamienny wyraz. - Podobno tej młodej damie zależało, żeby odjechać jak najdalej.

- Można się było tego spodziewać - zauważył Maks. - Każ przygotować mój karykiel. Dobra robota, Wilson.

- Dziękuję, wasza wysokość. - Lokaj skłonił się i odszedł.

Maks dopił brandy, po czym wstał ze swego miejsca.

- Pojadę z tobą - zadeklarował Hugo, odstawiając kieliszek. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami, aż w końcu książę skinął głową.

- Doskonale. - Przeniósł wzrok na brata i Darcy'ego Hamiltona. - A wy dwaj może przekazecie wiadomość paniom w Twyford House?

Martin zgodził się od razu, natomiast Darcy się skrzywił.

- Myślałem, że sam to zrobisz. Mówiłem ci już, że nie mam doświadczenia w takich sprawach, a poza tym w ogóle nie znam Keighly'ego. Wydaje mi się ponadto, że ten człowiek może nie dać się łatwo przekonać. Może nawet zrobić coś nieobliczalnego. Dlatego według mnie powinieneś zabrać ze sobą także to. - Darcy wskazał na drewnianą kasetkę stojącą na komodzie. W środku, jak dobrze wiedział, znajdowała się para pistoletów Josepha Mantona, którymi Maks, umiał się posługiwać po mistrzowsku.

- Chyba masz rację.

Książę przeniósł kasetkę na biurko i szybko sprawdził stan pistoletów.

Długie czarne lufy błysnęły złowrogo, odbijając światło. Wyjmował właśnie drugi

pistolet, kiedy ktoś tak gwałtownie załomotał kołatką u drzwi wejściowych, że wszyscy czterej aż się wzdrygnęli. Po chwili dobiegły ich utyskiwania Hillshawa zmierzającego pospiesznie do sieni, a zaraz potem kobiecego głos.

Caroline popatrzyła na służącego tak, że odechciało mu się cokolwiek mówić.

- Chcę się natychmiast widzieć z księciem.

Hillshaw odwrócił się, żeby ją poprowadzić do salonu, ale zatrzymał go głos pryncypała.

- Caro! Skąd się tu wzięłaś?

Maks wyszedł z drzwi biblioteki, żeby ją przywitać. Caroline szeroko otworzyła oczy na widok pistoletu w jego dłoni.

- Dzięki Bogu, że zdążyłam! - powiedziała z ulgą w głosie.

- Już dobrze. Odkryliśmy, którą drogą pojechali. Lord Denbigh i ja właśnie mieliśmy wyruszyć ich śladem. Nie martw się, sprowadzimy ją z powrotem.

Maks próbował uspokoić Caroline, tymczasem odniósł wrażenie, że jeszcze bardziej się zdenerwowała.

- Nie! Nic nie rozumiesz!

Rzeczywiście nie rozumiał. Nie był w stanie pojąć, dlaczego zamierzała pozwolić Arabelli uciec, i tym samym zrujnować sobie przyszłość.

- Wejdźmy do biblioteki - zaproponował.

Caroline weszła za nim do pokoju, w którym po raz pierwszy się spotkali. Na widok zgromadzonych tam mężczyzn oblała się lekkim rumieńcem.

- Och...

Maks gestem rozwiązał jej wahanie.

- W porządku. Oni już wiedzą. - Usadził ją w fotelu zwolnionym przez Hugona. - Orientujesz się, gdzie leżą posiadłości Keighly'ego?

Caroline próbowała dojść do siebie po tym, co usłyszała. Już wiedzą? Skąd?

- Chyba w Gloucestershire - odparła niepewnie. Kątem oka zauważyła, jak Maks kładzie pistolet na biurku, obok drugiego identycznego, po czym odkłada pustą kasetkę na komodę. Zdrętwiała ze strachu. - Po co ci broń? - spytała słabym głosem.

Odpowiedź padła z ust Hugona.

- Chcemy mieć pewność, że Keighly się opamięta - wyjaśnił. - Trzeba go przekonać, że najmądrzej będzie nie pisać o tym wszystkim nikomu ani słowa.

Caroline spojrzała na niego całkiem ogłupiała.

- Ale dlaczego? Co miałby powiedzieć? Przecież to niedorzeczne.

- Nedorzeczne? - wycedził przez zęby Maks.

- Obawiam się, że pani nie całkiem rozumie sytuację, panno Twinning - włączył się do rozmowy Darcy. - Całe miasto o tym mówi. Jednak jeśli księżę sprowadzi ją z powrotem, a Keighly będzie trzymał język za zębami, plotki w końcu ucichną.

- Ale... ale dlaczego Maks miałby się wtrącać? - Caroline przyłożyła dłoń do czoła, jakby chciała w ten sposób zatrzymać wirujące myśli.

W pokoju zapadła głucha cisza.

- Na miłość boską, przecież jest jej opiekunem! - wybuchnął w końcu Darcy.

Caroline popatrzyła na niego jak na szaleńca.

- Tak? - spytała prawie szeptem.

- Doskonale wiesz, że nim jestem. - Księżę zaczynał podejrzewać, że Caroline postradała zmysły na skutek szoku. Starając się trzymać mocno nadwreżone nerwy na wodzy, powiedział łagodnym tonem: - Hugo i ja zaraz wyruszamy, żeby sprowadzić Arabelle z powrotem...

- Nie! - zawołała Caroline, podrywając się na nogi. Maks zamilkł, z coraz większym trudem próbując stłumić w sobie irytację. - Nic nie rozumiesz! Od początku tak mi się zdawało, ale cały czas powtarzałeś, że już wiesz. - Widząc, jak wychodzi zza biurka i zmierza ku niej z zaciętą miną, dodała szybko: - Arabella nie wyjechała z sir Ralphem.

Maks stanął jak wryty.

- Widziano, jak wsiadała z nim do powozu przed domem Penbrightów - powiedział, mrużąc podejrzliwie oczy.

Caroline szukała odpowiednich słów, żeby wyjaśnić nieporozumienie.

- Widziano postać w różowym dominie, wsiadającą do powozu z sir Ralphem?

Maks starał się odtworzyć w myślach dokładnie to, co usłyszał od lorda McCubbina. Po chwili wolno pokiwał głową.

- Jesteś pewna, że to nie była Arabella?

- Kiedy opuszczałam Twyford House, Arabella siedziała przy śniadaniu.

- Zatem kto...?

- Sara? - wykrztusił przerażony Darcy Hamilton. Caroline nie kryła zdziwienia.

- Nie. Ona też jest w domu.

- Lizzie? - Okrzyk Martina zabrzmiał nienaturalnie piskliwie.

- Oczywiście, że nie. Ona też jest w Twyford House. Maks po raz pierwszy

od kilku godzin był w stanie spokojnie pomyśleć.

- W takim razie kto wyjechał z sir Ralphem? - spytał rzeczowo.

- Panna Harriet Jenkins.

- Kto? - zabrzmiały unisono cztery zdumione męskie głosy.

Caroline wyczerpana opadła na fotel.

- Usiądźcie, panowie, to wszystko wam wyjaśnię - zaproponowała.

Poświęciwszy chwilę na uporządkowanie myśli, zaczęła:

- To wszystko wina pani Crowbridge. Uparła się, że chce mieć sir Ralpha za zięcia. Sir Ralph przyjechał do Londynu, bo przestraszył się małżeństwa, które już prawie obiecał zawrzeć z panną Harriet Jenkins z Gloucestershire. - Rozejrzała się po twarzach słuchaczy i widząc, że bez trudu nadążają za tokiem jej opowieści, podjęła: - Pani Crowbridge nachalnie swatała Amandę sir Ralphowi. Amandzie nie podobał się sir Ralph, a ponadto wolała zaloty niejakiego pana Minchbury'ego, który był bliski oświadczyć, więc Arabella chciała jej pomóc, flirtując z sir Ralphem, żeby go odciągnąć od Amandy. - Urwała, czekając na ewentualne pytania, ale żadne nie padło, więc mówiła dalej: - Cóż, ty, Maks, utrudniłeś jej zadanie, nakazując mieć się na baczności przed sir Ralphem. Dziewczęta poradziły sobie jednak, dzieląc zadanie między siebie. Arabella nadal uwodziła sir Ralpha, ale obie siostry jej w tym pomagały, mówiąc mu o jej uczuciach, kiedy sama nie mogła się z nim widzieć. Potem za sir Ralphem do miasta przyjechała panna Jenkins. Dołączyła do... do spisku. Domyślam się, że Arabella miała utrzymywać sir Ralpha z dala od Amandy, dopóki pan Minchbury się nie oświadczy, a potem skierować go ku panie Jenkins.

Maks chwycił się za głowę. Następnie gestem zachęcił Caroline, by kontynuowała wyjaśnienia.

- Cóż, pani Crowbridge próbowała usidlić sir Ralpha, aranżując kompromitującą sytuację. Po tym dziewczęta uznały, że muszą wykonać stanowczy krok, żeby uratować zarówno Amandę, jak i sir Ralpha. Podczas popołudniowego koncertu Sara nakłoniła sir Ralpha do wyznań na temat Arabelli i wymusiła na nim obietnicę, że będzie postępował zgodnie z ich planem. Przekonała go, że Arabella jest bliska załamania i wymaga pomocy, a tylko ucieczka z nim może ją uratować.

- Musi być wyjątkowym głupcem, skoro uwierzył w te bzdury! - oznajmił Maks.

- A więc po to wychodziła z nim wtedy na balkon - odezwał się z zadumą Darcy. - Spędziła tam przynajmniej pół godziny.

Caroline potwierdziła kiwnięciem głowy.

- Powiedziała, że musiała nad nim popracować. Harriet Jenkins zna sir Ralpa od kołyski i doradziła jej, jak najlepiej go podejść. - Żaden ze słuchaczy nie miał uwag, więc Caroline kontynuowała opowieść. - Wczoraj wieczorem na balu u Penbrightów Lizzie miała się upewnić, czy sir Ralph przygotował powóz i czy będzie czekał na Sarę, która zaprowadzi go na miejsce spotkania.

- To dlatego od razu na początku balu podeszła do Keighly'ego, żeby z nim porozmawiać - rzekł domyślnie Martin.

- Arabelli pozostawało jedynie flirtować jak zwykle, żeby wszyscy, szczególnie zaś sir Ralph, byli przekonani, że to ona kryje się pod różowym dominem. Dwadzieścia minut po północy Arabella i Harriet Jenkins zamieniły się dominami i Harriet udała się do altany przy bramie.

- O Boże! - jęknął Hugo Denbigh. Miał w głosie taką rozpacz, że wszyscy obecni w bibliotece popatrzyli na niego ze współczuciem. Był blady jak kreda. - Jakiego koloru było to drugie domino?

- Brązowego - odpowiedziała Caroline.

- No nie! Powinienem być się domyślić. Ale ten akcent... - Hugo ukrył twarz w dłoniach.

Widząc ogłupiałe miny pozostałych panów, Caroline zachichotała.

- Czyżby poznał pan Marię Pawłowską? - zwróciła się do Hugona.

- Owszem! - przyznał Hugo. - Proszę mi wybaczyć, że to mówię, panno Twinning, ale pani siostra jest szelmą!

- Wiem o tym - przyznała bez urazy Caroline. - Chociaż muszę powiedzieć, że nieprzypadkowo wybrała tę rolę. - Widząc pytające spojrzenie Maksa, wyjaśniła:

- Maria Pawłowska to postać, którą Arabella grała w sztuce wystawianej na statku.

Polska hrabina o... - Caroline urwała, rumieniąc się z zakłopotania.

- Wątpliwej reputacji - podsunął grobowym głosem Hugo.

- Naprawdę była dobra w tej roli - zapewniła Caroline.

Sądząc po minie Hugona, nie należało mieć co do tego żadnych wątpliwości.

- Na czym to ja skończyłam? - podjęła Caroline, starając się nie patrzeć na lorda Denbigha. - Ach tak. Cóż, pozostawało jedynie doprowadzić sir Ralpa do altany, co Sara zrobiła.

Maks czekał na dalszy ciąg. Milczenie pozostałych trzech mężczyzn mówiło samo za siebie.

- Zatem wszystko jest w najlepszym porządku. To Harriet Jenkins wyjechała z sir Ralphem. Rozumiem, że wcześniej jej się oświadczył i rodzina panny Jenkins zaakceptowała ich związek, a ponieważ udali się prosto do Gloucestershire, to



chyba nie ma się czym martwić. Aha, a pan Minchbury oświadczył się wczoraj wieczorem i został przyjęty, więc wszystko dobrze się skończyło.

- Poza nami czterema, którzy postarzeliliśmy się o kilka lat przez jeden wieczór - zauważył z wyrzutem Maks.

- Przyszłam, jak tylko się dowiedziałam - próbowała się usprawiedliwić Caroline.

- Zapomniały o jednym - wtrącił Hugo. - Podobno całe miasto huczy od plotek, że Arabella uciekła z Keighlym.

- Ależ nie. Nie wydaje mi się to możliwe. - Caroline zdecydowanie pokręciła głową. - Wszyscy, którzy wytrwali na balu do momentu ściągnięcia masek, widzieli, że Arabella została tam do końca. - Na widok pytających spojrzeń dodała: - Ściągnięcie masek nastąpiło o pierwszej po północy. Ktoś zaproponował, żeby urządzić... konkurs na najlepiej przebraną osobę. Nikomu nie wolno było zdjąć maski, dopóki ktoś nie odgadnie jego tożsamości. A ponieważ nikt się nie domyślił, kim jest Maria Pawłowska, Arabella wygrała konkurs.

Księżę przybrał wygodniejszą pozycję na krześle i pozwolił sobie na uśmiech.

- Zatem każdy, kto wspomni o ucieczce mojej podopiecznej, zostanie uznany za kłamcę. Tylko z tego powodu jestem prawie gotów wybaczyć twoim siostrom ten szalony wybryk.

Maks wstał, na co reszta zrobiła to samo. Hugo, wciąż kręcąc głową z niedowierzaniem, szybko się pożegnał, a zaraz po nim Darcy. Martin po chwili także udał się na spoczynek i Caroline została sama z księciem.

Podszedł do niej, wziął ją w ramiona i pocałował. Kiedy przytuliła się do niego mocno, powiedział ze śmiechem:

- Skarbie, gdybym sądził, że jeszcze długo przyjdzie mi się użerać z twoimi siostrami, wezwałbym tu Whitneya i kazał mu uwolnić mnie od roli opiekuna.

- Przepraszam - powiedziała cicho Caroline, poprawiając mu fular. - Naprawdę przyszłam tu, jak tylko o wszystkim się dowiedziałam.

- Wiem - przyznał Maks - i bardzo ci za to dziękuję. Wyobrażasz sobie, co by było, gdybyśmy z Hugonem dogonili powóz Keighly'ego i zażądali zwrotu towarzyszącej mu damy? Strach o tym nawet pomyśleć. Teraz powinnaś wrócić do domu i odpocząć. A ja się trochę prześpię.

- Chwileczkę - powiedziała, unikając jego wzroku. - Pamiętasz, jak ustaliliśmy, że gdyby jacyś dżentelmeni poważnie nas zainteresowali, zaraz ci o tym powiem?

- Owszem, pamiętam - potwierdził Maks.

Chyba nie miała na myśli Willoughby'ego? Co jeszcze mogło się zdarzyć ostatniej nocy, po jego wyjściu z balu? Nagle zrobiło mu się zimno ze strachu.

Caroline jednak szybko rozwiała jego obawy.

- Zatem gdyby lord Darcy przypadkiem się oświadczył, nie byłbyś zaskoczony?

- Nie. Darcy byłby świetnym mężem dla Sary. Miałyby przy nim dość rozrywek, żeby się powstrzymać od spiskowania. - Uśmiechnął się na widok rumieńca barwiącego policzki Caroline. - Masz rację. Spodziewam się, że lada moment wystąpi z oświadczeniami. Zatem Sara dopięła swego.

- Myślałam też o lordzie Denbighu jako mężu dla Arabelli, ale po tym incydencie z Marią Pawłowską...

- Och, sądzę, że nie ma powodu do obaw. Ciotka Augusta pewnie ci mówiła, że Hugo jest doskonałą partią... pod warunkiem, że da się go nakłonić do oświadczeń.

- No i... - Caroline wciąż nie miała odwagi spojrzeć Maksowi w twarz. - Nie jestem całkiem pewna, ale...

- Myślisz, że Martin może poprosić o rękę Lizzie - podsunął domyślnie Maks. Czuł się bardzo zmęczony. W głowie mu się roilo od różnych fantazji, które, gdyby chciał, mógłby wprowadzić w życie. Ale powziął już inne, znacznie lepsze plany. - Nie przewiduję w tym względzie żadnych problemów. Martin ma więcej pieniędzy, niż potrzebuje. Jestem głęboko przekonany, że przy Lizzie będzie zajęty, wyciągając ją z opałów, w które zapewne będzie nieustannie wpadać przez swą naiwność.

Próbował zajrzeć Caroline w oczy; zastanawiał się, czy są szarozielone, czy zielonoszare, ale nie był w stanie tego od razu sprawdzić, bo uparcie skrywała je pod na wpół przymkniętymi powiekami.

- Cieszę się, że podoba ci się mój fular, skarbie, ale czy jeszcze o czymś chcesz ze mną rozmawiać? Padam z nóg - dodał przepraszająco, modląc się, żeby Caroline nie miała mu już nic więcej do powiedzenia.

- Och, oczywiście, że musisz być zmęczony. Nie, to już wszystko.

Maks wychwycił tęskną nutę pobrzmiewającą w jej głosie i właściwie ją zinterpretował. Odprowadzając Caroline do drzwi, rzekł z uśmiechem:

- Jak już dojdę do siebie po wyczynach twoich siostr, odwiedzę cię... powiedzmy dziś po południu? Zabiorę cię na przejażdżkę. Chciałbym z tobą omówić pewne sprawy. - Już w sieni, widząc jej pytające spojrzenie, dodał: -

Chodzi o twój bal.

- Och, prawie o nim zapomniałam.

Wziął od Hillshawa płaszcz Caroline i narzucił jej na ramiona. Bal na cześć sióstr Twinning miał się odbyć w Twyford House w następnym tygodniu.

- Porozmawiamy o tym o trzeciej po południu - zapowiedział Maks, po czym ucałowawszy dłoń najstarszej panny Twinning, sprowadził ją po schodach do powozu.

## *Rozdział dwunasty*

Sara zmarszczyła nos na widok zimnej grzanki. Odsunawszy talerz, odchyliła się w krzesło i popatrzyła na starszą siostrę, siedzącą po drugiej stronie niewielkiego stołu w przytulnej jadalni. Urodziwa, okolona miedzianymi lokami twarz Caroline była tego dnia blada, a z szarozielonych oczu, zazwyczaj błyszczących wesołością, wyzierał smutek. Sarę ogarnęły wyrzuty sumienia. Czyżby Maks się pogniewał, a Caroline im o tym nie powiedziała?

Wstały wcześniej, jak przystało na dziarskie panny nie lubiące długo się wylegiwać w łóżku i zgromadziły się w jadalni, by omówić wydarzenia poprzedniego wieczoru. Ich smutne miny zdradzały, że bal maskowy nie należał do udanych. Sara dobrze wiedziała, co jest przyczyną jej przygnębienia; zdążyła także poznać powody złego humoru młodszych sióstr, nie miała jednak pojęcia, czym można wyjaśnić ponury nastrój Caroline. Doskonale bawiła się na balu, a mimo to Maks wyszedł wcześniej.

Sara zastanawiała się, czy nie doszło między nimi do kłótni. Jednak gdy widziała ich razem przy pożegnaniu, sprawiali wrażenie pozostających w doskonałych stosunkach; zapatrzeni w siebie, nie kryli swego szczęścia. Sara pomyślała wtedy, że to do nich niepodobne - zazwyczaj nie uzewnętrzniali uczuć. Później dobry humor Caroline się ulotnił. W drodze powrotnej do domu nie odezwała się ani słowem.

Od dzieciństwa miały zwyczaj mówienia Caroline o wszystkim, co się zdarzyło. Wierzyły, że siostra będzie w stanie właściwie ocenić sytuację i ochronić je przed konsekwencjami lekkomyślnego postępowania. Tego ranka, gdy opowiedziały jej o swym planie i o zamianie strojów, Caroline zbladła, a potem zachowała się inaczej niż zwykle. Cichym, lecz stanowczym tonem oznajmiła, żeby zaczekały, aż powiadomi o ich poczynaniach księcia. Wypiła zaledwie łyk kawy, wstała od stołu, kazała przygotować powóz i wyjechała do Delmere House.

Wróciła półtorej godziny później. Cierpliwie czekały w jadalni, wiedząc, że nie należy lekceważyć poleceń Caroline. Prawdę mówiąc, pogrążone w niewesołych rozmyślaniach, nie zdawały sobie sprawy z upływającego czasu. Caroline weszła do pokoju, spokojnie zajęła miejsce przy stole i sięgnęła po filiżankę kawy, podaną przez Arabellę. Wzmocniła się kilkoma łykami parującego napoju, po czym jednoznacznie dała do zrozumienia, co myśli o wybrykach na balu.

Wcześniej nie przyszło im do głowy, że ktoś mógł zauważyć Harriet wychodzącą z balu w dominie Arabelli, i wyciągając narzucające się wnioski, powiadomić o tym Maksa. Teraz z przerażeniem zdały sobie sprawę, jak bliskie były wywołania skandalu. Pozostało im okazanie skruchy. Caroline podsumowała swą wypowiedź:

- Sądzę, że nie musimy nic robić w tej sprawie. Dzięki temu, że Arabella wzbudziła ogromne zainteresowanie jako polska hrabina, Maria Pawłowska, wszyscy wiedzą, że nie uciekła z balu. Mogłybyśmy teraz wybrać się na przejażdżkę, ale nie mam ochoty.

Nie próbowały się z nią spierać; posłusznie kiwnęły głowami.

- Maks uważa, że powinniśmy zachowywać się tak, jakby nic się nie stało - odezwała się po chwili milczenia Caroline.

- Błagam, nie wymyślajcie żadnych niedorzecznych opowieści. Bello, przypuszczam, że będziesz musiała przyznać, że zamieniłaś się dominami z Harriet Jenkins, ale to może zostać uznane za niewinną zabawę. I pamiętajcie, żeby udać odpowiednie zaskoczenie, kiedy usłyszycie, że Harriet uciekła z balu z sir Ralphem. - Zamyśliła się, wyraźnie zaniepokojona, po czym zapytała: - Czy panny Crowbridge będą umiały trzymać język za zębami?

Dziewczęta pospieszyły z zapewnieniami o dyskrecji siostr Crowbridge.

- Przecież zrobiliśmy to wszystko właśnie ze względu na Amandę - powiedziała Lizzie.

Caroline nie była o tym przekonana, lecz nie było jej dane zastanawiać się nad tym dłużej. Jej rozmyślania przerwała Arabella. Sądząc po tym, że Caroline użyła zdrobniałej formy jej imienia, najgorsze miały za sobą.

- Czy Maks jest na nas bardzo zły?

Caroline nie odpowiedziała od razu, pozostawiając siostry w niepewności.

- Odniosłam wrażenie, że skoro jest po wszystkim i nikomu nie stała się krzywda, zamierza przymknąć oko na ten wybryk. Na waszym miejscu nie wchodziłabym mu jednak w drogę.

Odetchnęły z wyraźną ulgą. Mimo swej reputacji księżę Twyford sprawiał na młodych podopiecznych wrażenie człowieka, który nie puści żadnego występku płazem i gotów jest uciec się do drakońskich kar. Dowiedziawszy się, że opiekun nie zamierza ich ukarać, Lizzie i Arabella serdecznie wyściskały Caroline, dziękując jej za okazaną pomoc, i wyszły z pokoju. Sara przypuszczała, że siostry zaszyją się teraz w jakimś zakamarku, by zastanawiać się nad stanem swych uczuć.

Co dziwne, Sara nie odczuwała takiej potrzeby. Podczas niezliczonych bezsennych nocy doszła do wniosku, że nie potrafi żyć bez Darcy'ego Hamiltona. Poprzedniego wieczoru miała ochotę poprosić go, by zabrał ją z balu w jakieś odosobnione miejsce. Pragnęła wyjść za mąż, założyć rodzinę, jednak gdyby Darcy odrzucił możliwość ożenku, była gotowa przystać na inne propozycje. Musieliby wtedy zwalczyć opór Maksa, z czego Darcy doskonale zdawał sobie sprawę. Była pewna, że wkrótce ukochany znów zapragnie znaleźć się w jej towarzystwie, i wtedy będzie mogła wprowadzić w życie swój plan.

Uśmiechnęła się do siebie na tę myśl.

Caroline odsunęła talerz z grzanką, wstała i wygładziła spódnicę. Sara zastanawiała się, czy starsza siostra znajduje się w podobnym stanie ducha, co pozostałe panny Twinning. Ich kłopoty były przecież w istocie jedynie odmianami tego samego problemu. Cztery siostry kochały się w rozpustnikach, nieskorych do żeniaczki, niepoprawnych uwodzicielach. W przypadku Sary uwodziciel odniósł zwycięstwo. Miała nadzieję, że Maksowi się to nie uda. Przecież jest ich opiekunem, a to oznacza, że Caroline nie podzieli losu Sary. Była z nich wszystkich najmądrzejsza. Dlaczego więc sprawiała wrażenie szczerze zatroskanej?

Tymczasem przez głowę Caroline przebiegały tysiące myśli. Zostawiwszy przy stole pogrążoną w zadumie Sarę, przeszła do salonu, a stamtąd udała się na niewielki dziedziniec. Delikatnie muskając palcami płatki kwiatów, podeszła do rozwieszonego pomiędzy drzewami czereśniowymi hamaka, chronionego przez gęste listowie przed porannym słońcem. W hamaku z ulgą oparła głowę o poduszki, zamierzając spokojnie nad wszystkim się zastanowić.

Ostatnio miała wrażenie, że istnieją dwie Caroline Twinning. Jedna z nich mocno stąpała po ziemi, zdawała sobie sprawę z ludzkich oczekiwań i nie wyobrażała sobie dzielenia z mężczyzną pozamałżeńskiego łoża. Taką Caroline Twinning znała od lat. Druga z niewiadomego powodu pojawiła się całkiem niedawno, by ulec pokusom Maksa Rotherbridge'a. Prawdę mówiąc, Caroline często się zastanawiała, które wcielenie jest jej bliższe.

Nie była dzierlatką i trudno było jej udawać, że nie wie, jakie zamiary przyświecały Maksowi, gdy zaprowadził ją do sypialni. Nie mogła pocieszać się myślą, że nie ponosi winy za to, co się stało. Gdyby naprawdę nie życzyła sobie jego pieśczoć, Maks z pewnością by się wycofał. Nie wyobrażała sobie, żeby próbował ją do czegoś zmusić. Tymczasem druga Caroline Twinning rozchyliła przed nim ramiona i dała się porwać namiętności.

Nie udało jej się poruszyć tematu małżeństwa. Była pewna, że księżę pragnie uczynić z niej jedynie kochankę. Nie przypuszczała jednak, że sama będzie zainteresowana takim rozwiązaniem. W jego objęciach odnalazła rozkosz, a gdy przerwał rozpoczętą lekcję, poczuła rozczarowanie. Zapewne następnym razem Maks już się nie zawaha, a ona nie stawi mu oporu ani nie będzie potem czuła żalu. Pierwsza Caroline Twinning byłaby z tego powodu upokorzona.

Łagodnie kołysząc się w hamaku, wystawiając twarz na delikatne podmuchy wiatru, starała się przywołać na pamięć wszystkie argumenty przeciwko tej występnej znajomości. Robiła już to tysiące razy; wszystko na próżno. Wystarczyło przypomnienie o pocałunku, by zawładnęło nią pożądanie.

- Jestem głupia - powiedziała spokojnie do gałęzi nad głową.

Martin Rotherbridge kopnął leżący na ścieżce kamyk. Przechadzał się już od dobrych dwudziestu minut, starając się zapanować nad zdenerwowaniem. Wolałby raczej stawić czoło kawaleryjskiej szarży, niż mierzyć się ze swym obecnym zadaniem. Nie miał jednak innego wyjścia.

Brat będzie się z niego śmiał do rozpuku, jednak Martin musiał pogodzić się z rzeczywistością. Mimo że spędzał z Lizzie każdą wolną chwilę, udało jej się zrealizować szalony plan, który nawet teraz, gdyby prawda wyszła na jaw, mógł narazić ją na wykluczenie z towarzystwa. Naiwna i niedoświadczona, nie przewidziała skutków lekkomyślnego postępowania. Zbyt ufała w swoje możliwości. Potrzebowała męża, który mądrze by nią pokierował, obronił przed niebezpieczeństwami, na jakie była narażona z racji swej urody i niewinności, a on tak szaleńczo jej pragnął, że gotów był podjąć się tej roli, choćby miało to oznaczać pożegnanie z kawalerskim stanem.

Dalsza zwłoka mijała się z celem. Musiał jak najszybciej porozmawiać z Maksem. Skierował się w stronę Delmere House. Za zakrętem, o kilka kwartałów od domu, zauważył lorda Denbigha, śpieszącego drugą stroną ulicy. Ruszył mu na spotkanie.

- Hugo!

Lord Denbigh zatrzymał się. Chociaż dzieliła ich różnica wieku, mieli wiele

wspólnych zainteresowań, a ich przyjaźń zaczęła się na długo przed pojawieniem się sióstr Twinning. Na twarzy Hugona pojawił się leniwy uśmiezek.

- Witaj. Wracasz do domu?

Martin kiwnął głową i zrównał krok z przyjacielem.

Widok Hugona obudził w nim zainteresowanie sprawą Marii Pawlowskiej. Długo obmyślał sposób podjęcia rozmowy na ten temat.

- Skaranie boskie z tymi pannami Twinning! - powiedział w końcu.

- Owszem - burknął głębokim basem Hugo. Martin postanowił brnąć dalej.

- Ciągle coś knują. Co się stało, kiedy Arabella przebrała się za tę polską hrabinę?

- Nawet o tym nie wspominaj - odrzekł Hugo. - Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, to zachowała się tak, że... że trudno byłoby powiedzieć, kto kogo uwodził.

Martin wybuchnął śmiechem, lecz szybko się opanował, napotkawszy karcące spojrzenie Hugona.

- Nie bądź taki ostrożny - powiedział Martin, odzyskawszy pewność siebie. - Wkrótce cały Londyn będzie się trząsł od plotek. Idę właśnie do Maksa. Zamierzam prosić go o wyrażenie zgody. Chcę się oświadczyć Lizzie Twinning.

Na twarzy Hugona odmalowało się zaskoczenie. Wymamrotawszy zwyczajowe słowa współczucia, dodał:

- Nie sądziłem, że tak szybko dasz się zakuć w małżeńskie kajdany.

Martin wzruszył ramionami.

- Możesz to sobie nazywać, jak chcesz. Zamierzam ułatwić sobie życie, a poza tym jako mąż będę mógł zadbać o to, by Lizzie nigdy już nie popełniła żadnego głupstwa.

- A więc to tak - mruknął Hugo.

Pozostała część drogi do Delmere House upłynęła im w milczeniu.

- Dokąd idziesz? - zapytał Martin, gdy stanęli przed domem.

Hugo zaczerwienił się. Wyraźnie tym poirytowany, przystanął. Martin również się zatrzymał.

- No dobrze, powiem ci. Ja też zamierzam porozmawiać z Maksem.

Martin zaniósł się serdecznym śmiechem. Ochłonawszy, mocno klepnął Hugona w plecy.

- Witaj w rodzinie! Co to będzie za rodzinka! O ile się nie mylę, widzę powóz Darcy'ego Hamiltona.

Ze spacerowego karykła, który zatrzymał się przed Delmere House, wysiadł

elegancko ubrany lord Darcy. Wydawszy polecenie stangretowi, ruszył w stronę schodów. Po chwili dołączyli do niego Martin i Hugo.

Martin zapytał z uśmiechem:

- Ty również zamierzasz zobaczyć się z Maksem? Twarz Darcy'ego pozostała nieprzenikniona.

- Tak się składa - odparł spokojnym tonem. Popatrzysz na Martina i Hugona, dodał: - Czyżbym musiał stanąć w kolejce?

- Obawiam się, że tak - odrzekł Hugo. - Może będziemy ciągnąć losy?

- Chwileczkę - powiedział Martin, zauważając powóz stojący obok karykla Darcy'ego. - To powóz mojego brata. Czyżby dokądś się wybierał?

Skierował to pytanie do Darcy'ego Hamiltona, lecz ten tylko potrząsnął głową.

- Nic mi o tym nie mówił.

- Może ma już dość sprawek siostr Twinning i chce odpocząć? - zasugerował Hugo.

- To byłoby zrozumiałe, ale nie wydaje mi się, żeby to była prawda - rozmyślał głośno Darcy.

Drzwi Delmere House otworzyły się i ze schodów zbiegł Masterton. Gdy wsiadł do stojącego nieopodal pojazdu, stangret ruszył. Powóz Maksa wolno podjechał na zwolnione miejsce; zniecierpliwione gniadosze potrząsały łbami. Martin uniósł brwi.

- Masterton wyjechał z bagażami? Co tu się dzieje? - dziwił się Martin.

- Wszystko jedno - rzucił stanowczym tonem Darcy. - Myślę, że powinniśmy jak najszybciej zobaczyć się z twoim bratem, bo inaczej będziemy tkwili w niepewności przez tydzień albo i dłużej. - Roześmiał się, widząc przerażenie malujące się na twarzach dżentelmenów.

- Święta racja! - podsumował Hugo.

Nie tracąc czasu na dalsze rozważania, weszli na schody. Drzwi znów się otworzyły i ukazał się w nich Maks. Lekki wiatr kołysał połami jego peleryny.

- Chcielibyśmy z tobą porozmawiać.

- Dokąd się wybierasz?

- Nie możesz teraz wyjechać.

Książę uniósł dłoń, a gdy zapadła cisza, powiedział:

- Cieszę się, widząc was tutaj. - Ponownie uniósł rękę, by zapobiec wyjaśnieniom. - Nie mam teraz czasu na rozmowy. Moja odpowiedź na wasze pytania brzmi: „tak”, „tak”, „tak”. Jesteście zadowoleni?



Darcy Hamilton się roześmiał.

- Ja jestem.

Hugo w zakłopotaniu skinął głową.

- Wyjeżdżasz? - zapytał Martin. Maks kiwnął głową.

- Potrzebuję odpoczynku w spokojnym miejscu, Martin uśmiechnął się domyślnie.

- Zamierzasz odpoczywać sam czy w towarzystwie?

- Nie twoja sprawa, drogi bracie. Będę zadowolony, jeśli uda ci się powstrzymać Lizzie przed następnymi krucjatami na rzecz potrzebujących. - Popatrzył na stojące przed domem powozy. - Postaram się ułatwić wam życie. Proponuję, żebyśmy pojechali do Twyford House. Zamierzam wywabić stamtąd pannę Caroline. Ciotka Augusta i pani Alford odpoczywają przez całe popołudnie, a dom jest duży. Jeśli w takich okolicznościach wasze oświadczenia nie zostaną przyjęte przez siostry Twinning, nie chcę mieć z wami więcej do czynienia.

Chętnie przystali na tę propozycję i natychmiast ruszyli w drogę: Maks z bratem w jednym powozie, lord Darcy i Hugo Denbigh w drugim.

\* \* \*

Caroline, siedząca wraz z siostrami w bocznym salonie, usłyszała dobiegający z holu gwar męskich głosów. Czowała zmęczenie po nieprzespanej nocy, w czasie której przewracała się na łóżku, dręczona tęsknym pragnieniem. Na szczęście udało jej się zdrzemnąć w hamaku pod drzewami czereśniowymi. Siostry znalazły ją tam, lecz pozwoliły jej pospać i obudziły ją dopiero przed późnym lunchem, po którym czekała ją zaplanowana przejażdżka z księciem.

Idąc korytarzem do holu, czowała radosne podniecenie, jakie zawsze ogarniało ją przed spotkaniami z Maksym Rotherbridge'em. Na samą myśl o tym, że będą mogli cieszyć się swym towarzystwem choćby tylko w spacerowym powozie, w świetle dnia, w samym środku Londynu, brała w niej górę druga Caroline Twinning.

Siostry, najwyraźniej przejęte jej poranną przemową, postanowiły nie wychodzić na powitanie opiekuna. Weszła więc do holu sama, by ku swemu zdumieniu zobaczyć tam czterech dżentelmenów.

Maks natychmiast z upodobaniem objął wzrokiem postać Caroline i wyszedł jej na powitanie. Ujął jej dłoń, z uznaniem zerkając przy tym na kapelusz trzymany za wstążki.

- Cieszę się, że jesteś gotowa. Gdzie są twoje siostry?

- W bocznym saloniku - odparła Caroline, witając się z Darcym Hamiltonem.  
- Millwade, zaprowadź panów do bocznego salonu - polecił Maks, zwracając się do służącego.

Na twarzy Millwade'a, któremu wyraźnie brakowało klasy Hillshawa, odmalowało się zdumienie, nie mógł jednak zlekceważyć polecenia chlebobdawcy. Caroline, wymieniająca uprzejmości z gośćmi, nie zdążyła zaprotestować, bo Maks narzucił jej pelerynę na ramiona i niemal siłą wyprowadził z domu. Dopiero gdy polecił odejść chłopakowi pilnującemu koni, dała upust niezadowoleniu.

- Jesteś naszym opiekunem! Nie uważasz, że poważnie uchybiasz etykiecie, pozwalając, by twoje podopieczne spotykały się z trzema mężczyznami bez przyzwoitki?!

Maks zachichotał i zaciął konie batem.

- Myślę, że żadna z nich nie potrzebuje przyzwoitki. Mężczyźni wolą się oświadczać bez świadków.

- To znaczy, że zamierzają prosić moje siostry o rękę? Maks skinął głową.

- Chyba jesteś zadowolona?

- Oczywiście. Nie kryję jednak, że przeżyłam zaskoczenie. Nie spodziewałam się tego po tych dżentelmenach. A ty nie byłeś zdziwiony?

- Od pewnego czasu byłem przekonany, że Darcy się oświadczy. Tego ranka zyskałem pewność co do Hugona. Martin był ostatnio podejrzanie cichy i spokojny... Skłamałbym mówiąc, że mnie zaskoczyli. - Uśmiechnął się szeroko. - Mam nadzieję, że twoje siostry wycierpiały tyle samo, co ich adoratorzy, bo im się to należało.

Ostatnia uwaga Maksa skierowała rozmowę na bardziej ogólne tematy. Wdali się w długą dyskusję, to śmiejąc się, to próbując utrzymać komiczną powagę, a potem zaczęli omawiać przygotowania do balu w Twyford House.

Bal miał się odbyć w najbliższy wtorek, za pięć dni.

Spodziewano się przybycia ponad czterystu osób. Na szczęście ogromna sala balowa była w stanie wszystkich pomieścić. Maks wiedział, że siostry Twinning od dawna przygotowują się do balu pod kierunkiem lady Benborough. Miał w związku z tym mnóstwo pytań do Caroline. Zajęta odpowiadaniem, nie zwracała uwagi na otoczenie. W pewnej chwili postanowiła poruszyć temat, który spędzał sen z powiek jej i siostrom.

- Czy nie sądzisz, że skoro nie jest to bal debiutancki, zważywszy, że bywałyśmy w towarzystwie przez cały sezon, przyjęcie może się wydać mdłe, bez wyrazu?

- Zapewniam cię, że nie będzie nudne. Możesz mi wierzyć, ten bal zostanie uznany za jedno z głównych wydarzeń sezonu.

Caroline oczekiwała wyjaśnień, lecz Maks wyraźnie nie zamierzał ich udzielić.

Czas płynął im niezwykle szybko i dopiero zimny podmuch wiatru przypomniał Caroline, że zbliża się wieczór. Powóz jechał bitą drogą okoloną niskimi żywopłotami, za którymi rozciągały się pola oświetlone słabymi promieniami zachodzącego słońca. Widok pasących się krów i owiec uzmysłowił Caroline, że znajdują się na wsi. Ustaliwszy kierunek na podstawie pozycji słońca, zorientowała się, że jadą na południe, coraz bardziej oddalając się od Londynu. Zaniepokojona popatrzyła na Maksa.

- Chyba powinniśmy wracać.

Na jego wargach pojawił się szelmowski uśmiezek.

- Nie wracamy.

Zaszokowana, nie była w stanie zebrać myśli. Miała nadzieję, że Maks żartuje.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała, siląc się na opanowanie.

- Minęliśmy Twickenham.

Powóz zwolnił. Skręcili w wysadzaną bukami aleję. Gdy mijali bramę z kutego żelaza, Caroline zobaczyła na niej herb Delmere'ów. Zatem znajdowali się na terenie posiadłości Maksa. Z zainteresowaniem rozejrzała się dookoła, starając się nie dopuszczać do siebie podejrzeń. Wjechali w gęsty las bukowy, za którym rozciągały się porośnięte trawą pastwiska łagodnie opadające ku dolinie rzeki. Za wzniesieniem droga kończyła się zwirowanym podjazdem prowadzącym do kamiennej rezydencji usadowionej nad niewielkim strumieniem, zasilającym Tamizę.

Caroline zobaczyła mansardowy dach i liczne ozdobne kominy wznoszące się wysoko nad dachówkami. W zachodzącym słońcu dom wydał jej się ciepły i przytulny. Jedną ze ścian zdobiły pnące białe róże, wypełniające powietrze upojnym zapachem. Caroline pomyślała, że oto ma przed sobą jeden z najpiękniejszych domów, jaki zdarzyło jej się widzieć.

Najwyraźniej ich tu oczekiwano. Usłyszawszy chrzęst kół na podjeździe, stajenny wybiegł im naprzeciw. Maks pomógł Caroline wysiąść i poprowadził ją do drzwi.

Znalazła się w niewielkim holu ze ścianami wykładanymi dębową boazerią i kamienną posadzką. Na środku pomieszczenia stał niewielki okrągły stół. Ujawszy

Caroline za łokieć, Maks ruszył przez korytarz kończący się misternie rzeźbionymi dębowymi drzwiami.

- Gdzie są służący? - zapytała Caroline, widząc, że Maks przekreśla gałkę u drzwi.

- Och, gdzieś w pobliżu. Są zbyt dobrze wyszkoleni, by się pokazywać.

Tknięta nagłym przeczuciem, weszła do dużego pokoju urządzonego w nieznanym jej dotąd stylu.

Podłogę wyścielały miękkie, różnobarwne dywany. Wokół niskiego stołu i ław leżały obficie wypchane poduchy w kolorowych poszewkach z jedwabiu i satyny. Pod ścianą stał sekretarzyk, lecz nad wszystkim górowało podwyższenie, częściowo ukryte za jedwabnymi kotarami. Zauważyła ozdobne mosiężne żyrandole zwisające z sufitu. Olbrzymie, lekko uchylone drzwi prowadziły na brukowany dziedziniec, zza którego dobiegał kojący szum strumienia. Panował tu cudowny spokój. W pewnej chwili uzmysłowiła sobie, że za stertą poduch i jedwabnymi zasłonami znajduje się ogromne łóżce. Popatrzyła pytająco na księcia. Jego pałający wzrok przyprawił ją o mocne bicie serca.

- Maks... - zaczęła niepewnie, jak przystało na konserwatywną pannę Twinning.

Diabelski błysk w jego oczach i czarujący uśmiech sprawiły, że wszystkie jej postanowienia wzięły w łeb.

- Tak?

- Co my tu robimy? - spytała Caroline.

- Uzupełniamy twoje wykształcenie.

A czego się spodziewałaś? - odezwała się w myślach druga panna Twinning, gdy Maks pochylił się, by ją pocałować. Rozchyliła wargi i poddała się jego pieścizotom, bezwolna w silnych męskich ramionach.

Gdy pocałunek dobiegł końca, Maks powiedział:

- Zauważyłem, że przestałaś mi przypominać, iż jestem twoim opiekunem.

Objąwszy go za szyję, Caroline wsunęła palce w jego włosy.

- Podałam się - wyznała z rezygnacją. - Zresztą i tak nie zwracałeś najmniejszej uwagi na moje słowa.

- Nie zaprotestowałabyś, nawet gdybym był twoim opiekunem.

Nie protestowała, gdy rozsznurowywał jej suknię. Przechyliła głowę, by nie przeszkadzały mu jej pukle. Niespodziewanie dotarło do niej znaczenie jego słów.

- Nawet...? Maks... - Usiłowała się odwrócić.

- Nie ruszaj się - powiedział stanowczym tonem. - Nie zamierzam się z tobą

kochać w ubraniu.

Cierpliwie czekała, aż rozsupła ostatnią sznurówkę.

- Co ty mówisz? - natarła na niego. - Co mają znaczyć słowa „nawet gdybyś był moim opiekunem”? Przecież nim, jesteś... - Urwała. Suknia spłynęła na podłogę do jej stóp. Po chwili dołączyła do niej halka.

- Wiem - przyznał, rozsznurowując jej gorset. - Kłamałem. Jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie.

- C... co? - Myślenie przychodziło jej z najwyższym trudem. Mając na sobie tak niewiele ubrań, powinna czuć dziewiczy wstyd... - Co to znaczy? Dlaczego kłamałeś? I dlaczego uważasz, że to było nierozsądne?

Zdjął z niej gorset i zaczął rozpinać guziczki koszulki.

- Nigdy nie byłaś moją podopieczną. Przestałaś być podopieczną księcia Twyford, gdy skończyłaś dwadzieścia pięć lat, jednak pozwalałem ci wierzyć, że wciąż nią jesteś, obawiając się, że gdybyś знаła prawdę, nie pozwoliłabyś mi się do siebie zbliżyć. - Uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją, gdy koszulka dołączyła do leżących na podłodze ubrań. - Nie wiedziałem jeszcze, że panny Twinnings lubią rozpustników.

Caroline z niedowierzaniem kręciła głową.

- Wcale ich nie lubimy.

- Czyżby? - Uniósł ciemne brwi.

Zamknęła oczy, gdy dotknął jej nagich piersi. Kiedy złączyli się w namiętym pocałunku, ugięły się pod nią kolana, lecz Maks w porę ją podtrzymał, a potem chwycił w ramiona i zaniósł na łóżko.

W oszołomieniu patrzyła, jak Maks zdejmuje z siebie ubranie. Kiedy położył się obok niej i dotknęła jego torsu, nieznacznie się odsunął, lecz natychmiast przywarła do niego z całej siły i z westchnieniem zadowolenia skupiła się na przyswajaniu ostatniej lekcji.

## *Rozdział trzynasty*

- Sara? - Darcy popatrzył na opartą o jego tors kobiecą głowę.

- Uhm - mruknęła sennie Sara, ocierając się o niego. Darcy poddał się z uśmiechem i postanowił jej nie budzić.

Delikatnie głaskał ją po plecach, pragnąc ją ukoić.

Wraz z Martinem i Hugonem udali się za zgorzonym Millwade'em do bocznego salonu. Służący zaanonsował ich przybycie, wzbudzając tym zakłopotanie trzech młodych dam. Darcy uśmiechnął się szerzej na wspomnienie tej sceny. Arabella najwyraźniej była dręczona wyrzutami sumienia, Lizzie nie wiedziała, co ma o tym wszystkim sądzić, a stojąca przy oknie Sara przyglądała mu się w milczeniu. Na dany przez niego znak podeszła i razem opuścili salon.

Gdy poprosił ją o rozmowę na osobności, zaprowadziła go do pokoju porannego. Zamierzał jej się oświadczyć. Przez dłuższą chwilę stał w milczeniu na środku pomieszczenia i z upodobaniem przyglądał się Sarze. Potem zaczął ją całować. Choć w pełni zasłużył na miano wytrawnego uwodziciela, był zaskoczony jej zachowaniem.

Wiedział wprawdzie, że Sara jest obdarzona ogromnym temperamentem, lecz wcześniej zachowywała dużą powściągliwość. Teraz, gdy zostali sami, odwzajemniała jego pocałunki i pieszczoty tak ochoczo, że po kilku minutach zamknął drzwi na klucz, by mogli w pełni dać upust namiętności.

Później, gdy pomału dochodzili do siebie, jakby od niechcienia poprosił ją o rękę. Na jej twarzy odmalowało się ogromne zaskoczenie. Zdał sobie sprawę z tego, że nie spodziewała się oświadczyn, co szczerze go wzruszyło. Odpowiedziała mu bez słów, lecz jej skinienie głowy było w pełni zrozumiałe i w zupełności mu wystarczyło. Pragnęła zostać jego żoną. Roześmiał się na tę myśl. Zastanawiał się, czy podoła małżeńskim obowiązkom przy tak żywiołowej istocie.

Na odgłos jego śmiechu Sara poruszyła się niespokojnie, lecz po chwili wtuliła głowę w zagłębienie jego ramienia i znów zapadła w sen. Darcy ułożył się tak, by było jej jak najwygodniej.

Cudowne chwile w ramionach Sary sprawiły, że zaczął z niepokojem zastanawiać się nad przyszłością. Przyzwyczajony do towarzystwa znudzonych mężatek, postanowił zadbać o to, by Sara nigdy nie zainteresowała się innym mężczyzną. Pragnął jak najszybciej się z nią ożenić choćby po to, żeby bez kłopotu móc przeżywać nieznaną dotąd rozkosz. Przenosiny do Hamilton House, objazd jego wiejskich posiadłości, a potem dzieci powinny zająć do tego stopnia Sarę, że

nie przyjdzie jej do głowy flirtowanie z innymi mężczyznami.

Zapadał zmierzch. Darcy popatrzył w okno, westchnął i delikatnie potrząsnął ramieniem Sary.

- Uhm - zaprotestowała cicho, starając się odtrącić jego dłoń.

Zachichotał.

- Kochanie, obawiam się, że musisz się obudzić. Słońce zachodzi i lada chwila domownicy zaczną nas szukać. Wolałbym, żebyśmy byli ubrani, gdy ktoś tu przyjdzie.

Ciężko wzdychając, Sara wsparła się na łokciu i popatrzyła na twarz Darcy'ego, a potem rozejrzała się dookoła. Leżeli na sofie przy kominku, a na podłodze wały się ich ubrania.

- Obawiam się, że masz rację.

- Jestem tego pewien - potwierdził z uśmiechem. - Pozwól mi dodać, kochanie, że jako twój mąż zawsze będę miał rację.

- Czyżby? - spytała z miną niewiniątka.

Usiadła na sofie i poprawiła zmierzwiłone włosy. Darcy nie potrafił się oprzeć chęci głaskania jej aksamitnej skóry. Z radością patrzył na jej uszczęśliwioną twarz.

- A tak na marginesie, kiedy weźmiemy ślub? Jestem pewien, że Maks pozwoli nam o tym zdecydować.

- Myślę, że powinniśmy się pobrać jak najszybciej.

- Mądra decyzja - pochwalił Darcy. - Chcesz mieć wielkie wesele czy też zarezerwujemy huczny ślub dla Maksa i Caroline?

- Myślę, że ślub naszego opiekuna powinien przyćmić inne.

Darcy tylko uśmiechnął się w odpowiedzi, lecz następne pytanie Sary wprawiło go w niemałe zakłopotanie.

- Jak szybko możemy wziąć ślub? Przez chwilę rozważał różne możliwości.

- Możemy się pobrać choćby jutro - powiedział niepewnie.

- Naprawdę? W takim razie to zrobmy - rzekła przyszła żona, okraszając swą wypowiedź figlarnym uśmiechem.

W rezultacie tej rozmowy ich wyjście z pokoju mocno się opóźniło.

\* \* \*

Zobaczywszy w salonie Hugona, Arabella pomyślała, że musiał dowiedzieć się o jej podstępie i wpadł w złość. Pochłonięta swymi myślami, nie zauważyła wychodzącej z pokoju Sary, nie widziała też, jak Martin zabiera Lizzie na spacer

po ogrodzie. Przeżyła więc niemałe zaskoczenie, uzmysłowiwszy sobie, że jest w pokoju sama z Hugonem Denbighem.

- Pani Maria Pawłowska? - zapytał i stanął tuż przy Arabelli.

Miała ochotę przytulić się i błagać o przebaczenie, lecz zaraz potem przypomniała sobie, jak wielkie wrażenie wywarła na nim Maria Pawłowska.

- Cieszę się, że dobrze pan się bawił.

Hugonowi zabrakło słów. Nie zamierzał poruszać tematu Marii Pawłowskiej, dopóki Arabella nie zgodzi się zostać jego żoną, jednak na widok Arabelli-Marii ogarnęło go tak wielkie pożądanie, że poczuł pustkę w głowie. Nie czas był teraz na słowną szermierkę z damą dorównującą mu w umiejętności udzielania ciętych ripost. Uśmiechnął się łagodnie, rozpaczliwie szukając tematu mogącego skruszyć jej szyki obronne.

- Ależ z ciebie sprytna osóbką - powiedział, chwycił ją w ramiona i zawładnął jej ustami.

Arabella nie była w stanie zaprotestować. Zarzuciła Hugonowi ręce na szyję i z ochotą odwzajemniła pocałunek, przyprawiając go o jeszcze większy zawrót głowy. Nie tak zręczny w postępowaniu z kobietami jak Maks albo Darcy, z trudem zmuszał się do opanowania. W końcu udało mu się usiąść w fotelu, z Arabellą na kolanach.

- Zgodzisz się wyjść za mnie za mąż? Niespodziewanie spochmurniała.

- Dlaczego chcesz się ze mną ożenić? Poczul się pewniej.

- Myślę, że odpowiedź na to pytanie jest aż nadto oczywista.

- Chodzi mi o to, co nie jest oczywiste.

Westchnął, zamknął oczy i wygodnie się rozsiadł w fotelu. Wiele razy zadawał sobie to pytanie i doskonale znał odpowiedź, nie spodziewał się jednak, że będzie musiał ubrać ją w słowa. Przez głowę przebiegały mu tysiące chaotycznych myśli. Uniósł powieki i popatrzył na swą niepokorną wybrankę serca poważnym wzrokiem.

- Chcę się z tobą ożenić, bo nie mogę znieść myśli o tym, że flirtujesz z każdym napotkanym Tomem, Dickiem i Harrym. Jestem gotów rozedrzeć na strzępy każdego twojego adoratora, więc jeśli nie chcesz być współodpowiedzialna za morderstwo, zaprzestań tych flirtów. - Usłyszał tłumiony chichot. - A poza tym - ciągnął - mam nadzieję, że nie całujesz wszystkich mężczyzn tak jak mnie?

Arabella nie miała pojęcia, co kryje się pod tym „tak jak”, lecz ponieważ nigdy nie całowała namiętnie żadnego mężczyzny, odpowiedziała szczerze:

- Oczywiście, że nie! Całowałam się tylko z tobą.



- Dzięki Bogu - odrzekł z ulgą Hugo. - Proszę, żeby tak już pozostało. Wolno ci całować jedynie przyszłego męża, czyli mnie - dodał, by wyjaśnić wszystkie ewentualne wątpliwości.

Arabella w milczeniu uniosła brwi. Hugo wodził dłońmi po jej biodrach. Zastanawiała się, czy wypada jej po prostu powiedzieć „tak”.

- I jeszcze jedno - dodał, patrząc na nią rozplomienionym wzrokiem. - Nie chcę więcej słyszeć o Marii Pawlowskiej.

- Naprawdę? - spytała. Hugo udał, że się zastanawia.

- No dobrze - powiedział po chwili. - Zgadzam się na Marię Pawlowską, o ile będzie ona istnieć tylko dla mnie. Rzekłbym nawet, że nie mam nic przeciwko nawiązaniu z nią bliższej znajomości.

Arabella zachichotała, a Hugo skorzystał z okazji, żeby ponownie ją pocałować. Czujnie przy tym spoglądał w stronę drzwi, skupiony wyłącznie na doznaniach Arabelli. W końcu cofnął się i z satysfakcją popatrzył na zaróżowione policzki ukochanej. Potrząsnął nią delikatnie.

- Nie udzieliłaś mi jeszcze odpowiedzi na moje pytanie.

- Moja odpowiedź brzmi: tak - odparła uszczęśliwiona.

- Kiedy ślub?

- Powinniśmy z tym poczekać?

Usłyszawszy niewysłowioną tęsknotę w jej głosie, odpowiedział bez namysłu:

- To zależy tylko od ciebie. Arabella roześmiała się.

- Jeśli chodzi o mnie, możemy wziąć ślub choćby jutro.

- Czemuż by nie? Zamyśliła się.

- Czy to możliwe? Myślałam, że ślub wymaga wielu przygotowań.

- Tylko jeśli marzy ci się wielkie wesele. W takiej sytuacji ostrzegam, że to może potrwać nawet kilka miesięcy. Mam liczną rodzinę, rozproszoną po całym kraju i za granicą. Samo nawiązanie z nimi kontaktu zajmie mi wiele czasu.

Konieczność tak długiego czekania wydała się Arabelli przerażająca.

- Jeśli to możliwe, weźmy ślub jutro. To będzie wspaniała niespodzianka... uprzedzimy innych.

Martin Rotherbridge nie miał żadnych wątpliwości co do stanu uczuć Lizzie. Wszystko mógł wyczytać z jej twarzy, na której malowało się zaskoczenie i zmieszanie. Podeszedł do Lizzie z uśmiechem, ujął jej dłoń, ucałował i wsunął pod swe ramię.

- Przejdźmy do ogrodu. Chciałbym z tobą porozmawiać.

Nie po raz pierwszy otrzymała takie zaproszenie, prawdę mówiąc, zdążyła się przyzwyczaić do randek w ogrodzie. Posłusznie udała się z Martinem na dwór, ciekawa, co ma jej do powiedzenia.

Martin poprowadził ją ścieżką otaczającą główną rabatę, ku pergoli z pnącymi różami. Usiedli na ławeczce w ogrodzie różanym, skąpanym w ciepłych promieniach popołudniowego słońca. Muślinowa suknia Lizzie cicho szeleściła przy każdym ruchu. Roztaczał się przed nimi wspaniały widok. Między krzewami róż rozkwitały pierwsze letnie kwiaty. Pszczoły brzęczały, uwijając się w poszukiwaniu nektaru, ważki przelatywały nad ich głowami, kierując się w stronę stawu. Dookoła panowała błoga cisza.

Przez cały ranek Lizzie zastanawiała się, czy decyzja o udzieleniu pomocy Amandzie Crowbridge nie rozzłości Martina. Nie wiedziała wprawdzie, dlaczego tak jej zależy na jego opinii, jednak musiała pogodzić się z rzeczywistością.

- Co chcesz mi powiedzieć?

Martin spoważniał, jakby zamierzając skarcić młodego porucznika za jego wybryki. Ujął dłoń Lizzie i pogładził jej smukłe palce.

- Chodzi mi o wasz spisek. Postąpiłyście bardzo nieroztropnie. Mam nadzieję, że Caroline powiedziała wam, jakie to było niebezpieczne. Gdyby nie nadeszła w samą porę, Maks i Hugo zdążyliby wyjść i nie byłoby szansy, by ich dogonić. Lepiej nie myśleć, co by się stało, gdyby spotkali sir Ralphi Keighly'ego.

Usłyszał cichy szloch.

- Lizzie? - Żaden napominany przez niego porucznik nie szlochał. Martin natychmiast porzucił ton surowego mentora i mocno przytulił Lizzie. - Kochanie, nie płacz. Nie chciałem doprowadzić cię do łez, choć przyznaję, że zamierzałem cię trochę przestraszyć. Szalałem z niepokoju, myśląc, że uciekłaś z sir Ralphem Keighlym.

- Myślałaś, że... Jak mogłaś? Martin nieznacznie się zaczerwienił.

- Cóż, wiem, że to było głupie, ale nic na to nie poradzę. Nie wiedzieliśmy, kto wsiadł do powozu. - Urwał, po czym kontynuował poważnym tonem: - Naprawdę, kochanie, nie wolno ci w ten sposób pomagać ludziom. Nie powinnaś narażać się na niebezpieczeństwo. Gdyby wszystko się wydało, nie zyskałybyś ludzkiej wdzięczności. Wręcz przeciwnie, znajomi odwróciliby się do ciebie plecami.

Znając Lizzie o wiele lepiej niż Maks, Martin nie miał wątpliwości, kto kierował siostrzanym spiskiem. Choć wykonaniem planu zajęła się Arabella, a Sara zapewne opracowała całą rzecz w szczegółach, to jego słodka Lizzie dała sygnał do

akcji.

Skruszona Lizzie machinalnie bawiła się guzikami jego surduta. Martin tulił ją, czekając, aż na niego spojrzy.

- Musisz mi przyrzec, że jeśli kiedykolwiek jeszcze będziesz miała ochotę komuś pomóc, powiesz mi o tym, zanim przystąpisz do działania. Obiecujesz?

Twarz Lizzie natychmiast się wypogodziła.

- Tak będzie bezpieczniej. - Niespodziewanie znów zmarkotniała. - Ale przecież może cię nie być. Teraz, kiedy rana się zagoiła, będziesz częściej bywał w towarzystwie, spotykał się z różnymi damami i tak dalej...

- I tak dalej? - Martin z trudem utrzymywał powagę. - Co masz na myśli?

- Dobrze wiesz. Te rzeczy, które robisz... z damami. - Nie zwracając uwagi na wybuch śmiechu Martina, kontynuowała: - Poza tym możesz się ożenić, a twojej żonie może nie podobać się to, że będę prosić cię o radę. - Lizzie była zadowolona, że w końcu udało jej się wyrazić swe najgłębsze obawy.

Martin wciąż się śmiał i najwyraźniej nie zamierzał jej pocieszyć, zapewnić, że wszystko jakoś się ułoży. Zniecierpliwiona, posłała mu karcące spojrzenie, a gdy to nie pomogło, uderzyła go drobną pięścią w tors.

Odzyskawszy oddech, Martin chwycił jej dłonie i z rozbawieniem popatrzył na zaczerwienioną z gniewu twarz Lizzie. Przez chwilę sycił się zmieszaniem widocznym w jej oczach, po czym mocno przyciągnął ją do siebie i zaczął namiętnie całować.

Lizzie myślała, że wie już o pocałunkach wszystko, jednak Martinowi znów udało się ją zaskoczyć. Otoczył ją ramionami w pasie, tak by nie, mogła się wyrwać. Nie zamierzała nawet próbować, z rozkoszą poddając się pocałunkom. Gdy oderwali się od siebie, wpatrzyła się w niego rozplómiętym wzrokiem.

- Moja słodka Lizzie... Na litość boską, powiedz, że zostaniesz moją żoną i położysz kres moim męczarniom.

- Mam za ciebie wyjść?

- Myślę, że to doskonały pomysł. - Przeniósł wzrok z jej twarzy na koronkę okalającą dekolt sukni. - Byłbym wtedy blisko ciebie, żeby móc omawiać z tobą twoje szalone pomysły - ciągnął lekkim tonem - a poza tym mógłbym cię nauczyć „tych rzeczy”, które twoim zdaniem robię z damami.

- Na jego wargach pojawił się szelmowski uśmiezek. - Co ty na to, Lizzie? Jak ci się to podoba?

Nieznacznie skinęła głową. Dopiero po dłuższej chwili odzyskała głos.

- Och, tak! Bardzo mi się podoba!

Zarzuciła Martinowi ręce na szyję i zaczęła obsypywać go pocałunkami. Wydobywszy się z jej uścisku, odchylił głowę i roześmiał się radośnie. Lizzie poczuła się odtrącona, czekała jednak cierpliwie, aż Martin odzyska powagę. Powiedział jednak tylko:

- Och Lizzie, jaka ty jesteś cudowna!

Chwycił ją w ramiona, by dać wyraz swemu zachwytowi. Jakiś czas później Martin zmusił się do opanowania i przerwał pieszczoty, obawiając się nadejścia ogrodnika. Lizzie wtuliła się w niego, przepelniona szczęściem.

- Kiedy weźmiemy ślub? - zapytała, snując marzenia o wspólnej przyszłości.

Martin poważnie się zastanawiał nad odpowiedzią. Gdyby Lizzie zadała mu to pytanie przed paroma godzinami, uznalby, że powinni się pobrać za kilka miesięcy. Teraz jednak, spędziwszy dwie godziny z Lizzie w ogrodzie, gdzie w każdej chwili ktoś mógł im przeszkodzić, doszedł do wniosku, że ślub powinien się odbyć jak najszybciej, najlepiej nazajutrz. Przypuszczał jednak, że Lizzie będzie chciała mieć huczne wesele, wymagające wielu tygodni przygotowań.

Ku jego zaskoczeniu Lizzie zupełnie nie była zainteresowana ucztą weselną. Z wahaniem, niepewna, jak Martin przyjmie jej wyznanie, dotknęła szpilki w jego fularze.

- Zastanawiam się, czy moglibyśmy się pobrać... jutro?

Martin popatrzył na nią z niedowierzaniem. Miał wrażenie, że się przesłyszał. Lizzie najwyraźniej czytała w jego myślach.

- Chodzi mi o to, że niedługo będziemy mieli liczne śluby w rodzinie...

Arabella, Sara...

- I Caroline - dokończył Martin. Lizzie popatrzyła na niego zaskoczona.

- Maks wyjechał gdzieś z Caroline. Nie wiem dokąd, ale jestem pewien w jakim celu.

- Och. - Lizzie domyślała się, że Martin uważa, iż wszyscy dookoła mają ochotę na to co on. Korciło ją, żeby zapytać go o to, co jego zdaniem może teraz przeżywać Caroline, najpierw jednak pragnęła omówić kwestię ślubu. - Tak więc w domu będzie mnóstwo zamieszana i pewnie znajdziemy się na szarym końcu.

Martin sprawiał wrażenie szczerze przejętego tematem.

- Ale - ciągnęła Lizzie, zadowolona z zainteresowania Martina - jeśli weźmiemy ślub jutro, nic o tym nie mówiąc nikomu, wszyscy będą musieli się z tym pogodzić i nie będziemy musieli czekać - oznajmiła triumfalnym tonem.

- Kochanie, udało ci się mnie przekonać. Dobrze, pobierzemy się jutro. To świetny pomysł. A skoro już doszliśmy w tej kwestii do porozumienia, chciałbym

zauważyć, że jesteś dziwnie spokojna. Życie nauczyło mnie, że najbezpieczniej dla wszystkich jest pozostawiać cię w stanie zmieszania. Pozwól, kochanie, że trochę zmacę ten twój spokój.

Lizzie zachichotała i z rozkoszą poddała się pieszczotom Martina.

\* \* \*

Caroline obudziła się, słysząc brzęk zastawy stołowej. Z rozkoszą przeciągnęła się na miękkim pościeliu. Wciąż czuła rozkoszne mrowienie i miała żywo w pamięci wydarzenia minionych godzin. Była teraz sama w łóżku. Za jedwabną zasłoną dostrzegła Maksa w długim szlafroku. Drobnym, żwawym służącym stawiał talerze na stole w przeciwległym końcu pomieszczenia. Migoczący blask niezliczonych świec w okazałych żyrandolach tworzył na ścianach miękkie światłocienie. Zastanawiała się, która może być godzina.

Oparta o wspaniałe poduchy, rozmyślała nad tym, co zdarzyło się w tym pokoju. Jej ostatnia lekcja składała się z dwóch części. Pierwsza szybko dobiegła końca; druga ciągnęła się przez wiele wieczornych godzin. Ku zaskoczeniu Caroline Maks poprosił ją o rękę. Musiał trzykrotnie powtarzać oświadczenia, po czym odmówił zadania jej tego samego pytania po raz kolejny, twierdząc, że Caroline i tak nie ma wyboru, gdyż jest skompromitowana. Następnie zajął się kompromitowaniem jej do ostatka. Nie protestowała, czując słodką bezwolność.

Dobiegł ją odgłos zamykanych drzwi i kroki Maksa. Po chwili zasłona odchyliła się i stanął obok łóżka. Powoli przewędrował wzrokiem wzdłuż jej ciała, okrytego jedynie delikatnym jedwabiem, od nóg aż po głowę. Z ulgą stwierdził, że Caroline jest w doskonałym humorze. Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

- Chodź, zjemy coś. Umieram z głodu.

Caroline miała ochotę zapytać, na co Maks ma szczególny apetyt, postanowiła jednak się powstrzymać, by nie podsuwać mu pomysłów, które mogły uniemożliwić zjedzenie kolacji. Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu sukni, jednak wszystkie ubrania zniknęły. Popatrzyła pytająco na Maksa, lecz w odpowiedzi jedynie uniósł brwi.

- Stanowczo odmawiam spożywania kolacji tylko w tej osłonie z jedwabiu - powiedziała Caroline.

Maks roześmiał się i sięgnął po peniuar przewieszony przez oparcie krzesła. Gdy się ubrała, pomógł jej zejść z podwyższenia.

Posiłek był wspaniały. Maks pochłaniał kolejne dania z takim apetytem, jakby jedzenie było dlań odmianą zmysłowych doznań; Caroline chętnie poszła za

jego przykładem. Po kolacji powrócili do łóżka, trzymając w dłoniach kieliszki z winem.

Niezwykłe z siebie zadowolony książę objął ramieniem Caroline i poruszył przerwany temat.

- Kiedy weźmiemy ślub?

- Nie zastanawiałam się nad tym. Nie sięgam myślą aż tak daleko.

- Radzę ci to zrobić, bo spodziewam się pewnych kłopotów.

- Jakich?

- Zważywszy na to, że mój brat, Darcy Hamilton i Hugo Denbigh zamierzali się oświadczyć moim trzem podopiecznym, proponuję, byśmy wrócili do Londynu jutro po południu. Jeśli chciałabyś wyprawić okazałe wesele, ostrzegam, że Rotherbridge'owie są bardzo liczni, a ja jestem głową rodu, więc powinienem wszystkich zaprosić.

- Nie myślałam o hucznym weselu. Wygląda na to, że w rodzinie Twinningów będzie więcej ślubów... - Urwała. - Ale może twoi bliscy chcieliby być obecni na twoim ślubie?

- Zapewne tak, ale zdążyli się już przyzwyczaić do tego, że robię różne dziwne rzeczy. Będą szczęśliwi, że w ogóle się żenię, a w dodatku z kobietą tak wspaniałą jak ty, najdroższa. Caroline wyprostowała się gwałtownie.

- Maks! Właśnie sobie przypomniałam... Która godzina? Wszyscy będą się martwić, że nie wróciłam do domu...

Maks przyciągnął ją do siebie.

- Cii... Zostawiłem wiadomość dla ciotki Augusty. Wie, że jesteś ze mną i że wrócimy jutro.

- Nie będzie zgorszona?

- Myślę, że będzie tańczyć z radości. - Uśmiechnął się promiennie. - Jeszcze nie przejrzałaś planów ciotki Augusty? Przypuszczam, że od samego początku liczyła na to, że się z tobą ożenię. To dlatego tak bardzo nalegała, bym zgodził się pełnić rolę waszego opiekuna. Zapewne miała nadzieję, że jeśli często będziemy się widywać, w końcu cię zauważę.

- Zachichotał. - Mężczyzna musiałby być ślepy, żeby nie dostrzec twoich uroków. Pierwszego wieczoru w Almacku ciotka zdała sobie sprawę, że nie musi działać, wystarczy tylko nam nie przeszkadzać. Zna mnie dobrze i była pewna, że nie grozi ci z mojej strony żadne niebezpieczeństwo.

- A ja się zastanawiałam, dlaczego mnie przed tobą nie ostrzegła - wyznała Caroline.

- Proponuję, żebyśmy powrócili do sprawy naszego ożenku. Jeśli chcesz wziąć cichy ślub, bez udziału londyńskiej śmietanki, pozostaje nam tylko ustalenie daty.

Caroline potrzebowała chwili do namysłu. Spodziewała się, że po powrocie do Londynu będzie musiała zająć się przygotowaniem do wesel sióstr, a jej własne powinno odbyć się pierwsze. To wszystko wymagało czasu. Przed ślubem będzie musiała mieszkać w Twyford, a nie w Delmere House. Po tym, co się stało, trudno jej było wyobrazić sobie samotne noce.

- Jak szybko możemy się pobrać?

- Choćby jutro, jeśli sobie tego życzysz. Gdzieś tutaj - zatoczył ręką krąg, wskazując pokój - znajduje się specjalne zezwolenie, a wśród naszych sąsiadów jest emerytowany biskup, wieloletni przyjaciel mojego świętej pamięci ojca. Jestem pewien, że z radością zgodzi się połączyć nas węzłem małżeńskim. Jeśli chcesz, pojedę do niego z samego rana i jeszcze przed obiadem będziemy mężem i żoną. Potem wrócimy do Londynu. Czy takie rozwiązanie ci odpowiada?

Caroline odstawiła kieliszek na stolik przy łóżku, po czym wsunęła ręce pod szlafrok Maksa.

- Tak - zamruczała rozkosznie. - Bardzo mi odpowiada. Maks patrzył na nią roziskrzonym wzrokiem.

- Droga pani, muszę przyznać, że jest pani tak rozpustna, jak się tego spodziewałem.

- Czy to ci odpowiada, milordzie?

- Ogromnie - odpowiedział, całując ją w usta.

\* \* \*

Księżę Twyford powrócił do Londynu następnego dnia w towarzystwie swojej księżnej. Udali się prosto do Twyford House, w którym wszystko zdawało się stać na głowie. W bocznym salonie zastali lady Benborough odpoczywającą z błogim uśmiechem na szeszlunku. Na widok Maksa i Caroline natychmiast usiadła, starając się naprędce poprawić przekrzywioną perukę.

- Przybywacie w samą porę! - Zmierzyła ich bystrym spojrzeniem, zauważając promienną twarz Caroline i wyraz ogromnego zadowolenia na obliczu bratanka. - Gdzie się podziewaliście?

Maks uśmiechnął się łobuzersko i pocałował ją w policzek.

- Jak zapewne się domyślasz, znalazłem księżnę.

- Wzięliście ślub? - spytała z niedowierzaniem ciotka Augusta.

Caroline kiwnęła głową.

- Dzięki temu nie będziemy przeszkadzali innym młodym parom.

- Pff! - prychnęła ciotka, wyraźnie zawiedziona, że nie była świadkiem ślubu niepoprawnego bratanka. Z wyrzutem spojrzała na Maksa.

- Myślałem, że się ucieszysz, zważywszy twoje dziwne zachowanie. Nawet Caroline zaczęła się zastanawiać, dlaczego jej przede mną nie ostrzegłaś, choć przyznaję, robiłem wszystko, by niczego się nie domyśliła.

Augusta zaczerwieniła się po czubki uszu.

- Hm, cóż... - zaczęła, wyraźnie zakłopotana, lecz rozpromieniła się, dostrzegłszy wesoły błysk w oczach Maksa. - Dobrze wiesz, łajdaku, że jestem w siódmym niebie na wieść o tym, że nareszcie się ożeniłeś, ale gotowa byłam włożyć swoją najlepszą perukę, by zobaczyć wasz ślub!

Caroline się roześmiała.

- Zapewniam, że naprawdę jesteśmy małżeństwem. A gdzie są moje siostry?

- Ach, to zupełnie inna sprawa! - Lady Benborough popatrzyła na Maksa. - Kiedy następnym razem zaplanujesz rozpętanie prawdziwego piekła w domu, którym zarządzam, proszę, bądź łaskaw mnie ostrzec! Kiedy zeszłam na dół po poobiedniej drzemce, zastałam Arbellę siedzącą na kolanach Hugona Denbigha. Na domiar złego drzwi do pokoju porannego były zamknięte na klucz. W końcu wyszli stamtąd Sara i Darcy Hamilton... ale po jakim czasie! - Z oburzeniem popatrzyła na Maksa, z trudem utrzymującego powagę. - Najgorsze jednak było to - ciągnęła udreńczonym tonem Augusta - że Miriam tuż przed zachodem słońca poszła doglądać róż, i okazało się, iż Martin wybrał różany ogród na miejsce spoufalenia się z Lizzie. Palpitacje Miriam ustały zaledwie godzinę temu; wysłałam ją do siostry, by mogła w spokoju dojść do siebie. Jesteś na tyle doświadczony, że powinienesz być przewidzieć, co może się stać.

Maks i Caroline nie zdołali poskromić wesołości.

- Zastanawiam się - powiedziała Caroline - do czego by doszło, gdyby pani Alford obudziła się w drodze powrotnej z balu u Richardsonów.

Augusta wyraźnie oczekiwała wyjaśnień, lecz zanim zdołała zadać jakiegokolwiek pytanie, drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Sara w towarzystwie Darcy'ego Hamiltona. Ich rozjaśnione szczęściem oblicza mówiły, że wszystkie kłopoty mają za sobą. Sara promieniała, Darcy nie odrywał od niej wzroku, sprawiając wrażenie głęboko zakochanego. Siostry przywitały się wylewnie, po czym Sara cofnęła się i zobaczyła złotą obrączkę na lewej dłoni Caroline.

- Wzięliście ślub?



- Pomyśleliśmy, że wyświadczymy wam przysługę i nie będziemy wchodzić wam w drogę przygotowaniami do naszego wesela - wyjaśnił Maks, ściskając dłoń Darcy'ego. - Możecie w spokoju zaplanować wasz ślub.

Darcy i Sara wymienili spojrzenia.

- Wygląda na to, że się pośpieszyliśmy - powiedział Darcy.

Sara uniosła lewą rękę; błysnęła cienka złota obrączka na jej palcu.

Księżę i księżna Twyford oraz lord i lady Darcy zaczęli składać sobie gratulacje. Lady Benborough z mieszanymi uczuciami przyglądała się tej scenie.

- Chciałabym wiedzieć - powiedziała, gdy ucichł radosny gwar - dlaczego nie zostałam zaproszona na wasze śluby, choć, Bóg mi świadkiem, nie szczędziłam trudu, by do nich doszło.

- Och, pozostają jeszcze dwie siostry Twinning, więc nie trać nadziei - odpowiedział Maks. - O właśnie, czy ktoś może wie, gdzie podziewają się te szelmy?

Nikt nie miał najmniejszego pojęcia. Millwade wyjaśnił, że lord Denbigh przyszedł po Arabelle tuż przed drugą i razem odjechali lordowskim powozem, a pan Martin wstąpił po Lizzie tuż przed trzecią i pojechali dorożką.

- Dorożką? - zdziwił się Maks.

Millwade przytaknął, po czym pozwolono mu odejść. Maks sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- Dokąd mogli pojechać? - zastanawiał się.

Jakby w odpowiedzi usłyszeli ożywione głosy w holu. Wrócili Arabella i Hugo. Arabella wbiegła do salonu niemal tanecznym krokiem; jej oczy błyszczały radością. Hugo wszedł za nią z uśmiechem, nie dowierzając jeszcze swemu szczęściu. Arabella serdecznie uściskała Caroline i Sarę, po czym zwróciła się do wszystkich:

- Zgadnijcie, co mam do powiedzenia.

Po jej słowach w salonie zapadła cisza. Księżę i księżna Twyford, lord i lady Darcy zamilkli w oczekiwaniu na wiadomość. W końcu Maks nie wytrzymał.

- Wzięliście ślub? Arabella posmutniała.

- Jak się tego domyśliłeś? - spytała, nie kryjąc rozczarowania.

- No nie! - jęknęła Augusta. - Maks, zobacz, co się dzieje, kiedy wyjeżdżasz z Londynu. Nie zniosę tego!

Nikt jej nie słuchał. Upojeni własnym szczęściem małżonkowie złożyli lady i lordowi Denbighom serdeczne gratulacje, po czym przekazali wiadomości o zawartych małżeństwach. Przez następne dziesięć minut salon rozbrzmiewał

śmiechem i życzeniami szczęścia.

Lady Benborough z radością przyglądała się młodym małżonkom ze swego szezlonga. Prawdę mówiąc, brak zaproszeń na śluby aż tak bardzo jej nie zmartwił. Udział w weselach stanowił poważne wyzwanie dla dam w jej wieku. Uśmiechnęła się do siebie na myśl o tym, jaką furorę zrobi wśród przyjaciółek jej opowieść o pośpiechu, z jakim trzej uwodziciele prowadzili narzeczone do ołtarza. Przez wiele lat unikali poważnych zobowiązań, lecz gdy na horyzoncie pojawiły się odpowiednie kobiety, postanowili bezzwłocznie się ożenić. Zastanawiała się, na ile przeżyte rozczarowania pomogły im w podjęciu decyzji.

Zapewnieni przez Arabelle, że Martin także się oświadczył i został przyjęty, książę i księżna Twyford zaczęli zastanawiać się nad miejscem zamieszkania świeżo upieczonych małżonków. Uznali, że w obecnych okolicznościach Sara powinna natychmiast przenieść się do Hamilton House, zaś Arabella do Denbigh House. Caroline miała oczywiście zamieszkać w Delmere House. Uszczęśliwione, że ich opiekun okazał się tak wyrozumiały, Sara i Arabella zamierzały opuścić salon, by zacząć się pakować, gdy wtem otwarły się drzwi salonu.

Do środka weszli Martin i Lizzie.

Zauważywszy rozpromienioną twarzyczkę Lizzie i dumne oblicze brata, Maks natychmiast domyślił się prawdy.

- Tylko mi nie mówcie, że też się pobraliście - powiedział z westchnieniem.

Nie ma chyba potrzeby dodawać, że bal w Twyford House, który odbył się parę dni później, w żadnym razie nie mógł zostać uznany za nudny i bez wyrazu. Cztery świeżo upieczone, promieniejące szczęściem żony i ich przystojni mężowie wzbudzili ogromne zainteresowanie. Tak jak przewidywał Maks, bal został uznany za jedno z najważniejszych wydarzeń sezonu.

